

TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY-END

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1970

HAPPY-END

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 196

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY-END

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1970

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Syn zadżumionych, 1959.

Odkąd wiosna wróciła na Stare Miasto i można już wystawić twarz na cieplejszy podmuch wiatru, Henryk odczuwał przyływ sentymentu do wskrzeszonych kamieni i kipiącego wśród nich tłumku. A więc pogłoski o zniesieniu pór roku nie sprawdziły się! Promienie słońca przywracają barwy kamieniczkom, tuszują zacieki, powstałe po długiej zimie. Rynek jest wprawdzie, jak zwykle, zastawiony samochodami i giną wśród nich zabytkowe studnie, zieleni ani na lekarstwo, połowę gołębi wytruły gazy spalinowe, ale po dawnemu unosi się tutaj radosny gwar.

Mówiąc odświeżnym stylem Bączka:

— Niezmożony, trwalszy od głodu, ognia i wojny ludek Warszawy uwija się z ruchliwością Neapolitańczyków, jakby chciał zademonstrować przed światem, że życie raz jeszcze odniosło zwycięstwo nad śmiercią.

Istotnie! Długowłosi młodzieńcy w kolorowych marynarkach z gitarą pod pachą, biegnąc do „Gwiazdeczki” na Piwną, pewnie już nie myślą o tym jak tutaj wyglądało przed ich urodzeniem, że pod tym brukiem kryją się całe złoża ludzkiego popiołu, że pod fundamentem naszego domu...

Eeech, dajmy już temu spokój! Tylko bez wspomnień — tak zaczyna się starość.

Wiosna na Starym Mieście! Już przewodnik PTTK wartką elokwencją czaruje wycieczkę z prowincji. Już kilku cwaniaków dopadło przed sklepem Cepelii pierw-

szych w tym sezonie turystów zagranicznych. I już przy budce z piwem, przy tej krynicy biednej radości, ktoś podochocony po knajacku podnosi głos. Tak, ten tłumek o którym powiedziano, że nuty „Warszawianki” ma wypisane na twarzach, ten bezimienny ludek o którym się pisze w gazecie najmniejszą czcionką na ostatniej stronie, i to najczęściej wtedy gdy wpada pod tramwaj, gubi legitymację lub poszukuje używanej sofy do nabycia, zawsze był Henrykowi bliski.

— Pewnie dlatego — gasił go Sylwester — że przyglądasz mu się przez szybę kawiarni.

Czy instytucja, od lat kierowana przez Hazdrubala, tylko dlatego przypominała niedobry teatr, że lepiej w niej opłacano tępych suflerów niż zdolnych aktorów? Nie, nie tylko dlatego. Czy Hazdrubał tylko dlatego oświadczył autorów, że był niewyżyty dramatopisem i dzięki swemu stanowisku w partii udało mu się kiedyś umieścić własną jednoaktówkę w *Dialogu*? Nie, nie tylko dlatego.

— Jeśli ci ten temat nie odpowiada — uśmiechnął się przyjaźnie do Henryka — powiedz szczerze. Wiesz dobrze, że nigdy nikomu niczego nie narzucam. Jestem zwolennikiem poszerzania swobód twórczych i walczę o was, pisarzy, przy każdej sposobności. Otóż wierz mi: z listu posła Gammy do *Głosu Kurii* i doniesień PAP’a można by zrobić niezłe słuchowisko. O nienagannym wydźwięku politycznym, rzecz zrozumiała. Pół fikcja, pół dokument. Dwupiętrowiec, że tak powiem. Płaszczyna historyczna... czy notujesz sobie?... wiek siedemnasty, wycieczka w przeszłość à la pan z siwą bródką. No, i warstwa współczesna, w moim mniemaniu najważniejsza: ostatnie dni drugiej wojny światowej. Plus ta bomba, oczywiście. Utwory o bohaterstwie i ofiarności są dziś bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Dlaczego? Bo zagraża nam konsumpcyjny stosunek do świata. Zresztą, sam wiesz o co chodzi. Chyba na godzinę? Z muzyką Stawczyka, ale bez ekstrawagancji. Wyreżyseruje niezawodna

Malinka. I żadnych tam pseudonimów! Nie ma się czego wstydzić. Rzecz pójdzie pod twoim nazwiskiem.

— Czy te rewelacje są prawdziwe? — spieszył się Henryk. — A jeśli ta bomba okaże się niewypałem?

Hazdrubał przygryzł ołówek. Znak że mu pytanie nie przypadło do gustu. I zmarszczył płową brew. Jak się to mówi: przewencyjnie. Kto zgłasza wątpliwości, ten prędzej czy później wchodzi na złą drogę. Znamy te niebezpieczeństwa niegorzej: opór wewnętrzny, niezadowolenie, szeptanka, ferment, opozycja, a kończy się na buncie załogi i katastrofie okrętu. Od nie zdeptanego na czas niedopałka do pożaru lasu droga krótka. Nie chcesz dopuścić do uszczuplenia swej władzy, tłum ducha sprzeciwu, zanim się wyraźnie ujawni.

— Co jest w sztuce prawdopodobne, tym samym jest prawdziwe! — zawyrokował. — Zresztą *ja* tu ponoszę odpowiedzialność. Napiszesz czy nie? Jeśli ci moja propozycja nie przypada do gustu, bądź łaskaw podać na papierze motywy dla których odmawiasz współpracy.

Henryk i tym razem nie miał zamiaru narażać się chlebodawcy: poobozowy nawyk posłuszeństwa, znieczulica i inne dolegliwości. By nie rzec filozoficznie: kłopoty z istnieniem. To ostatnie wyjaśnienie podobało mu się najbardziej. Ale czy to nie jakiś nowy teatrzyk pozorów, zagrany przed samym sobą? Piechur, któremu dokucza gwóźdź w bucie, często pomstuje na życie „jako takie”. A może to po prostu — tylko bez fałszywego wstydu! — zwykła próchnica charakteru? „Niemcy go złamali za młodu i od tego czasu każdy z nim robi co chce” — powiedziała kiedyś pani Bawolak czy też Bawolik, która znała się na ludziach, bo przed Październikiem pracowała w instytucji, zafascynowanej wiedzą o człowieku. Od pewnego czasu i tak miał z prezesem nie najlepsze stosunki. Zresztą trzeba znać Hazdrubala, prestiżowca który każdą odmowę uważa za despekt osobisty, próbę osłabienia autorytetu lub co najmniej przejaw niełojalności. Od

nieprzytakiwania szefowi do zdrady kraju krok tylko. Więc mruknął:

— Spróbuję.

— Basiulek — rzekł wszechwładny do sekretarki — proszę zanotować w dzienniku pilnych zamówień: pan Henryk r a d b y napisać słuchowisko o Polewoju pod Częstochową.

„Radby”! Niedługo się okaże, że to jego pomysł!

— O polnym woju? — zdziwił się Basiulek.

— O Borysie Polewoju! — wyjaśnił Hazdrubal.

Basiulek był nieco głuchawy. Wskutek czego powiódł kiedyś niechcąc czerwona Włoszkę. Podyktowano urodziwej dziewczęcej tajemnicze słowa „*relata referro*”. Dziewczka napisała: „Renata Reniferro”. A biuro studiów, dostrzegłszy nowe nazwisko w maszynopisie, na wszelki wypadek wciągnęło nieznaną na listę działaczek włoskiej partii komunistycznej. Tuż obok Rossany Rossandy.

— Aha, żebyśmy nie zapomnieli! — Hazdrubal uderzył się w czoło. — Rzuć jeszcze, Heniu, okiem na tę karteczkę!

Henryk dostrzegł dziwnie znajome zawijasy:

*„Uważam za swój obowiązek powiadomić Pana Prezesa, że Henryk Ziółkowski znowu rozrabia. Dziś rano tak się wyraził w stołówce: 'Jaka jest różnica między radiem a domem wariatów? Dyrektor domu wariatów jest normalny'.
Życzliwy”.*

Hazdrubal wyjął mu kartkę z ręki i podał w kawałki, mówiąc:

— Jak wiesz, nie przywiązuję najmniejszej wagi do podobnych informacji.

Ciekawe, kto machnął ten melduneczek? Docent Frąś? Stawczyk? Strumiłło? Malinka? Pułkownik Bączek? A może... sam Hazdrubal, intrygant pomysłowy?

Pamiętając o wskazaniach wielkich strategów, że najlepszą obroną jest atak, prezes celnym zaskoczeniem chętnie zapędza swoich rozmówców w kozi róg defensywy.

— Są, co prawda, donosy i donosy — wyłożył kiedyś docent Frąś (specjalność: pogadanki z najnowszej historii Polski) — Ja bym tam instytucji donosicielstwa jako takiej w czambuł nie potępiał. Anonimowy donos, to nieraz jedyna broń niezadowolonych. Dobrze, że chociaż w ten sposób ujawniają się nastroje opozycyjne. Kartkę wyborczą, he-he, też się wrzuca do urny za zasłoną. Lepsza już taka wynaturzona namiastka demokracji niż cmentarne milczenie. Czy wiecie, jak wykończyłem pewnego gagatka, który ludziom u Kasprzaka nie dawał żyć? Ot, takim poufnym pisemkiem: „Rad bym zasygnalizować organizacji partyjnej, że suka sekretarza propagandy komitetu dzielnicowego wabi się... „Aurora”? Czyż by towarzysz Patrzałek nie wiedział, jak drogie jest to słowo każdemu komuniście?” Już w tydzień później, chociaż jebiony przechrzcił swego kundla na „Goplanę”, przeniesiono go karnie w Koszalińskie. Celne, co? W sam podbródek! *Olé!*

Ale co z tym Polewojem, który w czarnych przeczuciach Henryka jał nagle przybierać rysy Frankensteina? Czy warto pod wpływem podobnych urojeń rzucać się pod pociąg? „Tylko bez dramatu z życia wyższych sfer” — jak mawiała w podobnych wypadkach niezawodna pani Bawolak czy też Bawolik, która sztukę panowania nad sobą posiadała w stopniu doskonałym, gdyż pracowała niegdyś w instytucji wyżej ceniącej zimną krew od znajomości ortografii.

Henryk tyle się nachałturzył w ostatnich latach, że właściwie nie miał już moralnego prawa do zgłaszania protestu przeciwko pogwałcaniu, jak się to szumnie powiada, „godności pisarskiej”. Byłby to zresztą sprzeciw po niewczasie. Na co się naraża pensjonariuszka marynarskiego hoteliku w Marsylii, gdy odkryje w sobie tęsknotę do dziewictwa z dwudziestoletnim opóźnieniem?

Na litość czy na śmieszność? Bywało, że teksty dla Teatru Wyobraźni Henryk po kilku wódkach dyktował wprost na maszynę. Co kto woli: o górnikach, o Nowej Hucie, dożynkach, na Dzień Kobiet i Święto Lasu. Więc dlaczego by nie miał machnąć i tej historyjki? Precedens, garb którego nie amputujesz. Wiedzą coś o tym kryminaliści i ludzie pióra. Gromkie „Nie!”, powiedzmy sobie szczerze, efektownie brzmi w ustach dwudziestolatków. Ale chyba nie w drugiej połowie życia a więc u samego zenitu kapitulacji?

„Trzeba mu było odmówić. Dlaczegoś się podjął? Przecież siłą ci tej żaby do gardła nie wcisnął!” — powiedzą później z głupia frant brawuranci, odważniacy na cudzy rachunek, wyszydzacze cudzego nieszczęścia, udając że nie znają naszej planety. Ach, gdyby w tym „Eldorado prawdy” (powiedzenie Sylwestra) panował normalnie przyjęty reżym policyjny, nie byłoby większej tragedii: ucisk budzi sprzeciw, sprzeciw sprzyja zmianom na lepsze; tymczasem rozwinął się tutaj i okrzepł ustrój teokratyczny. Czy po to człowiek stworzył Boga na swoje podobieństwo, by nadać mu rysy Hazdrubala? Większość wiernych nie dopuszcza do siebie bluźnierczej myśli, że Zeus za biurkiem może być nagi, lub, co gorsza, omylny. Wokół śmiałków, głoszących podobną herezję, jakże szkodliwą dla dobra sprawy, wytworzyłaby się pustka towarzyska, zjawisko w naszych warunkach aż nadto zrozumiałe. Dwór Hazdrubala ruszyłby na niedowiarków z widłami. Całowania chlebobdawcy na dzień dobry w rękę z przyklękami na jedno kolano, zwyczaju po dziś dzień praktykowanego na niektórych plantacjach w Ameryce Łacińskiej, nie wprowadzono jedynie dlatego, by nie narażać szefa na śmieszność. Małoż to kpiarzy i szyderców ukrywa się jeszcze po warszawskich kawiarniach?

— Nie znoszę ateistów — mawiała nowa żona Hazdrubala, rezolutne dziewczątko, niewiele młodsze od jego córki z pierwszego małżeństwa — dzisiaj nie wierzą w Boga, a jutro gotowi przestać wierzyć w mojego męża!

Przypomniat sobie powiedzonko krążące po kawiarniach na temat tego stadła:

— Przeciętnie biorąc, jest to para moralna: ona nie ma moralności w ogóle, on za to ma podwójną.

Plotka o władcach, pociecha niewolnika. Dobra pamięć i bystre oko, broń upokorzonego. A swoją drogą, aż strach pomyśleć że w dwudziestym wieku, w kraju na który opatrność i sąsiednie mocarstwo zesłały łaskę „socjalizmu”, mógł się w nienaruszonym stanie zachować klasyczny model feudalizmu i pańszczyzny! Że może istnieć system planetarny z prezesem-słońcem po środku, wokół którego krążą na czworakach dziesiątki księżyców, karmionych światłem jego łaskawości. Znamienne, że najczęściej używanym przez zadufka słowem jest „odpowiedzialność”. W naszym przyjemnym zaścianku, o którym sprowadzona z Kanady piętnastoletnia siostrzenica Sylwestra powiedziała: „Poulska, to *nice country* do myślenia o, ale nie do życia w”, żadne Robespierzątko nie przyzna się, że łaknie absolutnej władzy, ono chce tylko „wziąć na siebie odpowiedzialność”. *Notwendigkeit ist das Argument der Tyrannen* — rzecze niemiecki filozof.

— Karykaturzyści ujawniają tylko nieznaczną część prawdy o świecie. Jeszcze się nie zdarzyło — mitygował Henryka wiecznie wyrozumiały Stawczyk — byś o kimkolwiek wyraził się pochlebnie. Zatrutyś: ocet w żyłach! Nic ci się nie podoba. Już Bawolikowa mówiła, że na nasze sprawy nie patrzysz okiem mieszkańca tego kraju, ale emigranta, który w ileś tam lat po utracie ojczyzny chwyta za pióro, by z oddalenia ocenić tutejszą rzeczywistość. Jest to optyka na wskroś surrealistyczna.

Henryk nie znosił tych patentowanych miłośników obiektywizmu, którzy na nieświeżą bieliznę swego oportunistu narzucali gronostaje bezstronności:

— Wiem, wiem. Krytyka powinna być „twórcza” i „konstruktywna”, przepojona „szczerą troską”, nigdy zaś z pozycji „negacji dla negacji”. Ja też, kotku, czytuję *Trybunę Ludu*. Gorzej, że o tym, co jest „konstruktyw-

ne” a co „nihilistyczne”, w praktyce decydują właśnie ci krytykownicy.

— Hazdrubal ma niewątpliwie sporo wad — ciągnął Stawczyk z landrynką w ustach — któż ich nie ma? Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Ale sam przyznasz, że w odróżnieniu od wielu innych działaczy przynajmniej nie narusza siódmego przykazania.

— Są to kwalifikacje na kasjera. Wszelako autokrata, dużego czy małego formatu, otrzymuje wynagrodzenie w naturze: sprawuje władzę. A to tak jakby alkoholikowi płacono w wódce.

— Monomania! Przestań sobie umysł masturbować Hazdrubalem! — przestrzegł go niedawno brat-łata Sylwester, który zanim odkrył w sobie talent poetycki, był psychiatrą. Za największe osiągnięcie w swej krótkotrwałej karierze lekarskiej (ciekawe, dlaczego jej poniechał, skoro wiersze można pisać, wykonując każdy bez wyjątku zawód) uważał, o czym chętnie mówił, odzwyczajenie pewnego pacjenta od jedzenia staniolu. Chory przed kuracją zjadał srebrny papierek, a czekoladę wyrzucał na śmietnik.

— I ciebie, Henryczku, chciałbym oduczyć zajadania się Hazdrubalem. Staniol zatruwa organizm.

Odwrócić myśl od Hazdrubala? Jak to zrobić? Stwórz ten, na kształt pająka z horror-filmu, złapał ich w swoją pajęczynę. Stał się wszechobecny, wciskał się w każdą szczelinę jak chmura fosgenu, przenikał wszystkie pory istnienia. Nawiedzał ich we śnie. *There is no escape from Mr. Hazdrubal!* — powiedziała kiedyś szkocka żona Stawczyka. Wbrew elementarnym wymogom higieny psychicznej mówiono o nim i myślano także i po powrocie z pracy do domu, nawet w łóżnicach małżeńskich, gdyż żurnaliści, w odróżnieniu od grabarzy, żyją swoim zawodem przez dwadzieścia pięć godzin na dobę.

Cztery ściany własnego mieszkanka przy Jezuickiej (z „puli premiera”) od dawna nie dawały Henrykowi schronienia przed oddechem tego monstrum. Nawet oso-

ba tak zahartowana jak Helenka... No cóż, zdarza się nieraz, że żeglarz który z wielką brawurą opłynął śmieciami oceanów, po powrocie z rejsu tonie w domowej wannie. Podobnie i Helenka, która tak dzielnie zniosła Hitlera i Stalina, nie mogła sobie poradzić z Hazdrubalem. Niechaj nikt nie mówi o nieporównywalności tych nazwisk. Nie wierzymy w fetysza bezstronności. W życiu liczy się tylko subiektywne odczucie własnej sytuacji. Reszta jest hipokryzją.

Otóż gdy wracał, zmęczony, wieczorem do domu, niewiele było w tym schronie tlenu. Jeszcze nie zrzucił z siebie niewidocznego garbu licznych przykrości i upokorzeń, jakich zaznał za dnia, a już w przedpokoju słyszał przerażony głos żony:

— Hazdrubalowice nie przysłali nam pocztówki z urlopu! Co się stało? Powiedz mi prawdę, Henryku!

Albo:

— Ktoś cię musiał opluskwic. Wczoraj była *party* u Hazdrubalów. Na s nie zaprosili.

Nawet szept nocny, wydobyty spod miłosnego uścisku, stawał się ostatnio zwiastunem kosmicznej zgryzoty:

— Musiało się coś stać. Widziałam Hazdrubalową na ulicy. Ledwie mi się odkłoniła. Nie zadzieraj z nim, proszę.

Otóż to: nikogo, nawet najbliższych, nie warto wtajemniczać w swoje kłopoty.

— Mam pomysł! Już wiem jak ci pomóc — zaofiarowała się Helenka. — Spotkam się z pułkownikiem Bączkiem. Wiem, że mu się podobam, dopiero co przysłał mi swoje gawędy myśliwskie z czułą dedykacją. Jeśli mu w zaufaniu podsunę niedyskrecję, że docent Frąś, dowiedziawszy się o twoim częstochowskim słuchowisku, nie tylko zaciera po kryjomu ręce z radości, ale i rozpowiada po kątach, iż ten niefortunny pomysł kosztować będzie Hazdrubala posadę, w godzinę później bystry Bączek podzieli się tą informacją z Hazdrubalem. Nie masz pojęcia jak chętnie ludzie pomagają moźniejszym od siebie. I wte-

dy Hazdrubal, węsząc możliwość komplikacji, zmieni decyzję. Wszystko się dobrze skończy: zamiast o Polewoju, napiszesz program, bo ja wiem o czym? — o „dziesięciu z Pawiaka”, o balladach podwórzowych, o Wawelu, o Koperniku, o wozie Drzymały?

— Już ty się lepiej z Bączkiem nie spotykaj, Talleyrandzie w spódnicy! — pogłodził żonę po włosach. — Nie wypada. To nie w naszym stylu.

— Bączek cię uwielbia!

— Są lekarstwa szkodliwsze od choroby. Są sprzymierzeńcy niebezpieczniejsi od wrogów. Jeśli zjazd partii uchwali budowę pomnika Nieznanego Donosiciela w Warszawie, nie trudno się domysleć, kto będzie pozował do tej rzeźby. Któż, jeśli nie Bączek, podsunął kiedyś Bawolakowej vel Bawolikowej karteczkę z meldunkiem: „W ostatnim felietonie Henryka Ziółkowskiego „Spacer po Starym Mieście” przy opisie kamienicy Pod Murzynkiem zabrakło wzmianki o widniejącej na budynku tablicy pamiątkowej ku czci Feliksa Dzierżyńskiego, który przemawiał tam do robotników w roku 1899. Przeoczenie czy też... coś gorszego?”

Pułkownik od dawna wdzieczył się do Helenki. Przed rokiem, na „śledziu” u Strumiłłów, zanucił Henrykowi pijacką piosenkę do ucha:

*Daj mi setuchnę,
bo ci żonkę zdmuchnę...*

Przechwałki! Zaczna Helenka mogłaby samej Penelopie udzielać korepetycji wierności małżeńskiej. Natomiast zalotnik Bączek... Takie wykopaliska już nawet studentek archeologii nie fascynują. A więc na tym polu, a raczej ugorze, Henrykowi nic nie zagraża. Gorzej, że dzia-dzio kombatan-t czym prędzej pocwałuje do Hazdrubala, jakby mu larum bitewne pod Olszynką Grochowską zagrali, i, nie oszczędzając Helenki, z miejsca raport mu

złoży. Starzy żołnierze nie donoszą. Oni „raportują” lub „składają meldunek”:

— Prezesie kochany, na ten włos, co przedwcześnie w Workucie posiwiął, zaklinam: strzeżcie się szarlatana Ziółkowskiego! Znowu coś kombinuje: podesłał mi swoją Helenkę! Radby mnie wciągnąć do intrygi. Ale ja nie frajer blekotem spojony, by uczestniczyć w rozgrywkach osobistych, mnie tam, wiecie, tylko dobro sprawy leży na sercu. I dlatego też, w zgodzie z żołnierskim sumieniem, przychodzę, by zameldować wam lojalnie co ci Ziółkowsy przeciwko wam i Frąsiowi po cichu knują...

Helenka, niezręcznie jak zwykle, próbowała rozchmurzyć męża:

— Pisać pod cudzy gust, to przykrość, nie przeczę. Ale nie przesadzajmy, to jeszcze nie koniec świata. Kto tyle lat pisuje na zamówienie... Sam mi kiedyś opowiadałeś, że pierwsze honorarium autorskie, jakie otrzymałeś w życiu, zawdzięczasz „pracy zleconej”, która cię zresztą naraziła na zasłużone represje. Czym skorupka nasiąknie za młodu...

— Natrząsasze się ze mnie — westchnął Henryk. — A sprawa jest poważna.

Rzeczywiście: karierę „najemnego pismaka” zaczął wcześniej. Ile lat miał wtedy? Osiem? A może dziewięć? Rzecz rozegrała się na Żurawiej. Zleceniodawcą był nibyle kto: dryblasowaty Walduś, o dobrych dziesięć lat od niego starszy syn stróża z drugiej oficyny, lewoskrzydłowy napastnik w jedenastce juniorów „Warszawianki”. „Aleś się, Walduś, zalakierował!” — powiedział kiedyś stary cieć z podziwem, gdy po raz pierwszy zobaczył swego jedynaka „pod gazem”. Walduś, chociaż sportowiec, pił wódkę od wczesnej młodości, a „narzeczone” zmieniał co kilka miesięcy. Któregoś dnia kochliwy Walduś postanowił się zemścić na szwaczce z sąsiedniej kamienicy, która wzgardziwszy jego zalotami, zaczęła „chodzić” z innym. Ta zniewaga wołała o pomstę do nieba. Będąc, mimo wszystko, młodzieńcem łagodnym, Walduś

odrzuć myśl o pobiciu dziewczyny czy „zrobieniu jej w tulipan”. Chciał natomiast przekłuć ją jakimś ostrym, zatrutym wierszykiem na wylot, ośmieszyć ją publicznie, wyszydzić na oczach wszystkich lokatorów. Niestety, mowa wiązana lewoskrzydłowemu napastnikowi „Warszawianki” przychodziła z nieporównanie większą trudnością niż strzelanie goali do bramki. Musiał więc do tej pracy wynająć „białego murzyna”. No, i znalazł go! Za obrachunkowy czterowersz odpalony konkurent zapłacił małemu Ziółkoszczakowi honorarium w wysokości jednego złotego i pięćdziesięciu groszy. Jak na debiut, była to stawka całkiem przyzwoita, czego nie można powiedzieć o tekście:

*„Małgorzata, córka Gronia,
nochal większy ma od słońca,
na ślizgawkę chodzi z Krystkiem,
który jest największym chłystkiem”.*

— Bardzo dobre! — zaśmiał się mściwie Walduś. — Szlag ją trafi, gdy to przeczyta! Trzeba ten wierszyk wypisać węglem w sieni i na ścianach klatki schodowej, a kredą na drzwiach szwalni. Za to dostaniesz dodatkowo pół złocisca!

Pech chciał, że w trakcie wypisywania utworu poetyckiego na drzwiach szwalni, na schodach pokazał się ten „chłystek” Krystek z dwoma kolegami, tęgimi jak samosiłkami, i... Lepiej już nie mówić co było dalej...

Przebrzmiała pieśń! Niestety: nauczka poszła w las. Już nie za pieniądze zleceniodawcy Waldusia, i już nie na szwaczkę Małgorzatę Groń, podnosisz, Heniutku-filutku, swoje przekupne pióro, ale na kolejno ci wyznaczane przez chleבודawców do „zrobienia na szaro” siły wroga, zagrażające sprawie pokoju, postępu i socjalizmu... Eeech, żyć się nie chce! Pociesz się driakwią tego teologa, który rzekł przed wiekami, że niezadowolenie z siebie, to przedproże świętości, amen. Chociaż w tym stanie ducha nie-

wiele ci już ziółek i maści cudotwórczych zostało, rycerzu o wytartym czole; potrzeba końskiej kuracji.

— Nie dziwię się, że właśnie ciebie Hazdrubał „wy-różnił” tym zamówieniem — dokuczał Sylwester Henrykowi, lecz dokuczał po swojemu. Jakby przez życzliwość. Niby go chciał odzwyczaić od jedzenia srebrnego papierka, ale staniolu mu nie żałował — *Tu l'as voulu, George Dandin!* Boś na ostatniej „nasiadówce” zapomniał przyklasnąć jego poglądom. Jedną ręką klaskać się nie da — mówi arabskie przysłowie. Czcza demonstracja, wicepisarzu! Gimnastyka palca w bucie. Groch o ścianę płaczu. Sala była zgorszona. Maluczko, maluczko, żałosny dysydencie, a z encyklikami polemizować będziesz. A skutki? Bez mściwości nie ma duchowej wielkości władyków. Nie wolno tolerować niezadowolonych gryzipiórków. Krnąbnego czworonoga najlepiej wytarzać w jego własnych nieczystościach. Metoda wypróbowana. Głosiciele tolerancji nie znoszą niesubordynacji, to jasne. Wszystkie zawołania są piękne, Henryczku, póki nie zagrażają naszym interesom.

— Przesada!

— Zwierzyłeś się pewnie długoletniemu powiernikowi tajemnic, że nie masz zaufania do politycznego mózgu Hazdrubala. A do czego służy w naszym delatorium najbliższy przyjaciel? Do pisania donosów! Na kogo? Właśnie na najbliższego przyjaciela. Jest tylko jeden sposób na donosicielstwo: donosić na samego siebie.

— Żartujesz — odrzekł Henryk. — Możesz być pewny, że ja na ciebie donosu nie napiszę. Jako i ty mi świństwa nie zrobisz, co daj, Hazdrubalu, amen.

I pomyślał, że najroztropiej będzie, jeśli to niefortunne bzdurzenie o częstochowskim wyczynie Borysa Polewoja (laureata stalinowskiej nagrody, kurczę blade!) napisze tak, by z trzaskiem wylądowało w redakcyjnym koszu, odrzucone ze względu na przeraźliwie niski poziom. „Nie zrozumieliśmy się” — westchnie właściciel polskiego eteru — „nie obrażaj się, ale napisałeś kosz-

marną bzdurę. Takiego kiczu nie możemy puścić na antenę!” A jeśli Hazdrubał, stary wróbel, przejrzy tę grę? Nagły a niespodziewany spadek formy u literata, to przecież równie podejrzane jak u żołnierza wypadek z bronią w przeddzień wymarszu na front. A jeśli prezes skorzysta ze sposobności, by skompromitować swego współpracownika w oczach opinii? Jeśli nada tej szmirze rangę sukcesu? Jeśli wystara się dla niej o nagrodę Urzędu dla Spraw Wyznań? Lub każe tę chałę przełożyć na obce języki?

— Umrę ze wstydu — zwierzył się Sylwestrowi.

— Gdyby literaci umierali ze wstydu — roześmiał się na to „cieć Parnasu, odźwierny Muz” (taką wizytówkę przybił sobie, wariatuńcio, na drzwiach redakcji „kącika poezji”) — kraj nasz pobili by wszystkie rekordy śmiertelności. Sam się za harcap z topieli nie wyciągniesz. A gdybyś tak poszedł do docenta Frąsia? Frąś, nie byle kto: oko i ucho generała. Z nim się Hazdrubał liczy. Wystarczy szepnąć Frąsiowi, że na obecnym etapie nie powinno się robić zbytnej reklamy jegomościowi, który zjawił się w Polsce w szynelu Czerwonej Armii... Hazdrubał, sam były szynelowiec, ostygnie w zapale na poczekaniu...

— Spudłowałeś. Frąś i jego mocodawcy nie znoszą polskich sowieciarzy, tych z konkurencyjnej mitologii kombatanckiej — machnął ręką Henryk. — Natomiast kult ościennych Polewojów wcale im nie doskwiera.

— Poszedłbyś, Heniuś, do docenta Frąsia — upierał się Sylwester. — On i tak, prędzej czy później, wykołusze Hazdrubała z gondoli. Frąś, to człowiek jutra.

— Nie pójdę. Z rasistą Frąsiem jakoś mi nie po drodze — skrzywił się Henryk. — Do ugaszenia ognia nie wzywa się pyromaniaka.

— Iii! — usłyszał w odpowiedzi. — U podłoża naszej potulności wobec zwierzchnictwa leży fatalistyczny domysł, że ci, którzy przychodzą po Hazdrubalach, mogą być jeszcze gorsi. Nic łatwiejszego pod słońcem jak rządzić Lechitami! Wystarczy ich postraszyć Frąsiem.

Henrykowi przypomniał się nagle wybuch Frąsia w toalecie, w jedynym miejscu gdzie podobno nie ma aparatów podsłuchowych:

— Mówią, że nie ma u nas ciągłości twórczego wysiłku, że gnębi nas płynność kadr i huśtawka koncepcji, że tradycja się jąka. Zawracanie głowy! Dwa najważniejsze środki masowego p r z y k a z u w naszym kraju, a więc radio i telewizja, są prywatnym folwarkiem jednego człowieka. Szczęściarz ten przetrwał na obrotowym cokole wszystkie czkawki historii w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza!

W tym miejscu Henryk miał ochotę przerwać Frąsiowi uwagę, że nie rozumie jego świętego oburzenia na „obrotowy cokol”, skoro od lat żyjemy w systemie w którym poza kultem niekompetencji, nagminnym lękiem przed powzięciem samodzielnej decyzji i premiowaniem miernot obowiązuje nieufność wobec wszelkiej inicjatywy nie nakazanej, każdą winę za niepowodzenia zwała się na podwładnych a „swoim ludziom” z reguły krzywdą się nie dzieje. Ale po co się rozwodzić nad regułami gry! Całą grę trzeba zmienić!

— Studiował kiedyś sinologię — ciągnął Frąś. — Myśli, że ja tego kleksu w jego biografii nie znam! Zasiadał w zarządzie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej. Chwalił wiersze tow. Mao. Trzy razy dziennie ryż jadał. Ale gdy tylko zaczęły się psuć stosunki między Moskwą a Pekinem, odkrył w sobie miłość do Kuby. Gdy z kolei Moskwa ostygła w swym afekcie do Hawany, zapalił się do przyjaźni polsko-mongolskiej. Człowiek-mucha! Nawet gdyby spadł z gzymsu, ma tuzin siatek ochronnych pod sobą i, co ważniejsze, nad sobą. Jego spadochron zawsze się na czas otwiera. Ile to lat świetlnych trwać będzie pontyfikat tej nieświętobliwości? Nie było nas, był Hazdrubał. Nie będzie nas, będzie Hazdrubał. Czas by go wy-ka-ta-pul-to-wać!

To mówiąc, spuścił wodę. Jakby chciał, by splukała również i Hazdrubala.

Ale nie w ciemię bity Henryk wybrał milczenie, nie będąc pewny czy nie ma do czynienia z prowokatorem. Początki manii prześladowczej? Bakcylofobia w stadium początkowym? Nic podobnego. W kraju w którym młody karierowicz bez zmruczenia oka „odcina się” w prasie od poglądów wyrzuconego z partii za „rewizjonizm” ojca lub na odwrót: papa-urzędas ze strachu przed utratą posady (znajdźcie mi takiego księcia Józefa, który zaryzykuje skok w bezrobocie!) potępia publicznie „awanturnictwo polityczne” swego uwięzionego syna, ostrożność nie zawadzi. „Nie dać się wykołować!” — jak mówią spadkobiercy romantycznych uniesień.

Dziwna figura, ten Frąś! Równie dziwna jak jego docentura. Talent życiowy. Życiorys na kółkach. Przed iluś tam laty opowiadał, że jako chłopiec walczył pod Lenino. Od pewnego czasu słyszymy, że zdobył gajówkę w Lasach Parczewskich. „Przeniósł się” więc po latach z Dywizji Kościuszkowskiej do Armii Ludowej. Nie on jeden zresztą. Któż to tylko powiedział: „W komunizmie najtrudniej jest przewidzieć p r z e s z ł o ś ć”? Ilekroć Frąś mówi, że wysłuchał mszy świętej u Wizytek, Henryk ma ochotę go poprawić: „Nie wysłuchałeś jej, bratku! Tyś ją p o d s ł u c h a ł !” Ale nie można mu odmówić swoistego poczucia humoru. Gdy dwóch kolejnych premierów rządu emigracyjnego wróciło z Londynu do Warszawy, Frąś złośliwie chichotał:

— Świat na opak: szczury pchają się na tonący okręt!

Byłe artykułatko w *Życiu Warszawy*, zgodnie z nowym obyczajem, podpisuje tytułem naukowym: „Doc. hab. dr Władysław Frąś”, podczas gdy naukowcy nieco wyższej klasy podpisywali się skromniutko: „Albert Einstein” lub „Bertrand Russell”.

Frąś lubuje się w zdrobnieniach, jakby sądził, że co się wyraża w zdrobniałej formie, przestaje być groźne. Przemykając wypukłe powieki, na tajniaków i osaczników powiada pieszczotliwie: „ubesie”, a na Rosję: „Związu-

nio”. Lubi też nieraz szokować towarzystwo kokieterijnymi zwierzeniami:

— Pół Warszawy się dziwi, dlaczego mając idealne kwalifikacje na kierownicze stanowisko: jestem uległy wobec zwierzchników, potrafię być bezwzględny dla podwładnych, zużywam maksimum słów dla wyrażenia minimum myśli, nie robię kariery w tym kraju? Bo nie mam pamięci do nazwisk. A z takim defektem trudno pisać poufne raporty o bliźnich.

Kto zaprzecza, ten potwierdza. Ale czy królewiatko, które Frąs radby „wykatapultować” z dożywotnego beneficjum, stoi od docenta moralnie wyżej? Hazdrubal, wypiwszy kiedyś o jeden kieliszek za wiele, co mu się zresztą rzadko zdarzało („wybrano” go do Sejmu PRL: okazja usprawiedliwiona) rzekł z tygrysim uśmiechem do swej wiernej drużyny:

— W odróżnieniu od tego faraona-telepaty w starożytnym Egipcie, który twierdził o sobie, że zna wszystkie myśli i uczucia swoich fellachów, ja tam nic o was nie wiem, bo plotkami się brzydzę a donosicieli wyrzucam za drzwi...

— Sam fakt, że mu coś podobnego mogło przyjść do głowy — szepnął Sylwester Henrykowi na korytarzu — najlepiej ujawnia jego ukryte namiętności. Gdyby mógł, w poszukiwaniu kontrabandy przeszukałby każdą komórkę mózgową swych poddanych osobiście.

— Psychoza — skrzywił się Henryk, chociaż dawno już zauważył, że prezes chętnie interesuje się pozasłużbowym życiem swoich współpracowników. Niemal tak chętnie jak pani Bawolak czy Bawolik, absolwentka instytucji o ambicjach poznawczych, specjalistka od „rozpracowań”, która odkryła, że człowiek nie jest niczym innym jak „podsumowaniem” poufnych notatek, teczek personalnych i kartotek, przechowywanych w pancерnej kasetce szefa resortu. I nawet go nie zaskoczyło, gdy zamykając za sobą drzwi obite materacem, Hazdrubal zapytał go kiedyś w swoim gabinecie:

— Co miałeś na myśli, mówiąc do jednego ze swoich przyjaciół... pozwól, że zacytuję dosłownie: „Nie lubię tych komunistów dla których komunizm dopiero wtedy przestaje być szampańską zabawą, gdy komuniści biorą za gardło komunistów”?

— Donosik docenta Frąsia — odbił piłkę spod bramki — tego samego Frąsia, który opowiada ludziom na mieście... pozwól, że zacytuję dosłownie: „Hazdrubał zorganizował O.S.D. w swych latyfundiach”

— Co to za kawały? — prezes przygryzł obsadkę Parkera.

— Głupawy skrót, wymyślony przez Frąsia: ochotnicza służba donosielska.

— Nie, ten raport nie wyszedł spod pióra Frąsia. Ale dobrze, żeś mnie poinformował o jego dwulicowości.

Hazdrubał uściśnął dłoń Henrykowi, a Henryk, chcąc się usprawiedliwić przed samym sobą, przypomniał sobie kojące słowa Wieszcza: „Gwałt niech się gwałtem od-ciska!” Czy wolno w obronie własnej zranić niewinnego człowieka? W zasadzie nie wolno. Ale czy Frąś jest niewinny? Założmy nawet, że tym razem docent rzeczywiście nie napisał poufnego raportu, ale czy nie napisze go przy najbliższej sposobności? Czy warto bronić słusznych zasad na złych przykładach? A zresztą: nie od dzisiaj występujemy w tym samym Westernie. Kto sięgnie po Colta pierwszy, ten żyje dłużej.

Maestro Stawczyk, nie tyle muzyk co wędkarz opętany (dowiedziawszy się, że Stalin wyrażał się przychylnie o wędkarstwie, zawołał: „Dlaczegoście mi wcześniej o tym nie powiedzieli? Ależ ten człowiek jawi mi się nagle w zupełnie innym świetle!”) ostrzegł niedawno Henryka na spacerze:

— Ziółkoszczak! Zgubi cię długi język. Mała amputacja ozorka nieźle by ci zrobiła. W tym kraju przyszłość należy do milczków. Myślisz, że prezes z docentem wybaczyli ci powiedzenie: „Frąś w biegu do Hazdrubala wyprzedził konkurentów o pierś... swej małżonki”? Czyż byś

już zapomniał z jakim trudem wyciągaliśmy cię za uszy z bagniska, gdyś naraził się cioci Neumannowej?

Nie, nie zapomniał. Omal go wtedy nie zlynczowano na partyjnej dintojrze. („Wierzących katolików dopiero po śmierci czeka Sąd Ostateczny. A nas, komunistów, już za życia nęka Komisja Kontroli Partyjnej” — westchnął kiedyś Strumiłło do Frasia). Zarzut, oparty na poufnym raporcie osoby nieznanej (pewnie Bączek?), brzmiał groźnie: Ziółkowski nie tylko fabrykuje i puszcza w obieg niesmaczne żarty o zasłużonej seniorce ruchu rewolucyjnego, ale i natrząsa się, bluźnierca, z pamięci wielkiego Iljicza. Gdyby się nie zaparł w żywe oczy, gdyby nie chody Stawczyka u Zenka i brak świadków oskarżenia, miałby się z pyszna. A rzecz wzięła się stąd, że ojciec Neumannowej przyjaźnił się przed wielu laty, na emigracji w Szwajcarii, z Leninem. Gdy Neumannowa miała kilka miesięcy i beztrzesko fikała nóżkami w kołysce, znany ze swej miłości do dzieci Włodzimierz Iljicz, urzeczony urodą niemowlęcia, pocałował je najpierw w główkę, a później w inną, niemniej apetyczną część ciała, wypowiadając przy tym słowa, które ozdabiają dzisiaj niejednego podręcznik akuszerii w Związku Radzieckim: „Nasza troska o człowieka zaczyna się tuż po jego narodzeniu”. Według innych, mniej wiarogodnych źródeł, miał nawet zawołać: „Przez pielęgnację niemowląt do rewolucji światowej!”, co już zakrawa na antykomunistyczną groteskę i niepotrzebnie podważa wiarę w autentyczność epizodu. Tak czy inaczej, prawdą jest, że Henryk dość chętnie częstował tą historyjką najbliższych przyjaciół, dodając że w pięćdziesięciolecie Wielkiego Października zastanawiano się w Moskwie czy nie urządzić pielgrzymki Komsomołu do mieszkania towarzyszkii Neumannowej na Saskiej Kępie w Warszawie. To znowu fantazjował, że okiem wyobraźni widzi nieraz co się dzieje w samym sercu stolicy: walczący ze wzruszeniem wychowawcy w oczekiwaniu na uroczyste odsłonięcie miejsca, które sam Lenin wyróżnił pocałunkiem, ustawiają młodzież w ogonku przed alkową

zasłużonej rewolucjonistki, dwaj znani pisarze polscy prężą się na honorowej warcie, a Neumannowa na wszelki wypadek konserwuje bezcenną relikwię w spirytusie.

— Zrubaszniależ, sarmato! — krzywił się liryczny Sylwester.

Ale to dygresje, jeśli nie wręcz początki gonitwy myśli, podczas gdy prawdziwej dolegliwości na imię: Polewoj! I tylko to jest w tej chwili ważne. Diabli z tym słuchowiskiem! Za jakie grzechy? I komu na pożytek? Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Skończy się na wielkim wstydzie. Poczul żal do posła Gammy, którego Hazdrubal nie bez pewnego respektu nazywa „jednostką na wskroś konstruktywną”. Po jakiego licha ten jezusek galicyjski napisał list do „Głosu Kurii”? Co sobie po tej rewelacji obiecuje ów mistrz strategii politycznej na szczeblu wojewódzkim? Przez dwadzieścia pięć lat nikt w kraju o Borysie Polewoju, zbawcy Jasnej Góry, obrońcy Maryji, nie słyszał, a teraz imć pan poseł katolicki, jakby nie było u nas etatowych krzewicieli w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, ponakładał robaczków świętojańskich do butelki, by rozświecić mroki najnowszej historii. Póki o zasłudze Polewoja, kto wie czy autentycznej, rozpisują się partyjne gazety, pół biedy: i tak im nikt nie wierzy. Ale gdy *duo faciunt idem*, gdy nadpolak i nadkatolik, sam poseł Gamma, zgłasza się publicznie na świadka, co prawda na świadka „z drugiej ręki”, bo wtedy jego, Gammy, w Częstochowie nie było i rzecz zna jedynie z relacji Polewoja, pewnie z towarzyskiej pogawędki przy koniaczku, efekt propagandowy jest bez porównania większy. I niechaj nam nikt oczu nie mydli, że „przyjaciel Plato, ale prawda historyczna nade wszystko”. Wy-mowa polityczna podobnych legendotwórstw jest jednoznaczna: wazelineum!

I z czego tu ulepić tę sagę o czerwonym Zawiszy? Budulec, zebrany przez archiwistów z ośrodka badań, był wąty. Brak relacji z pierwszej ręki. Podobno ten ge-roj, nieuleczalny stalinowiec i szmiropis w jednej osobie,

gdzieś się już wynurzał na temat swych zasług, ale wycin-ków z prasy nie udało się znaleźć. Z odkładaniem materia-łów do teczek są, co prawda, zawsze kłopoty. I tak opis zgwałcenia znanej aktorki warszawskiej, zamiast w teczce z napisem „Przestępstwa obyczajowe” lub „Z życia teatru”, wylądował kiedyś w skoroszycie z naklejką „Wy-padki drogowe”. Praktykantka tłumaczyła się później, że gwałtu dokonano na leśnej drodze pod Spałą.

Mówią, że zbiorok szkiców kol. Krysi Ossolińskiej pt. „Tajemnice na sprzedaż” (dlaczego to jej Hazdrubał nie ubrał w to słuchowisko?) ma zawierać wywiad z Polewo-jem, ale Basiulek wziął książkę ze sobą do Żłotyh Pias-ków i zgubił ją na plaży. Pewnie jakiś czarnowłosy Bułgar odwiódł naszą blondyneczkę od czytania na słońcu, wy-mysłając dla niej rozrywkę bardziej atrakcyjną.

Przyjrzał się fotografii tego Polewoja w *Literaturze radzieckiej*. Buńczuczna mina. Wąsik. Lok nad czołem. Sprytne wejrzonko spod brwi. Ani chybi: życiowy obrot-niś, zapewne samochwał i mitoman. Światło dzienne ujrzało go po raz pierwszy w roku 1908. A więc jeden z tych posiwiątych w boju statystów epoki, którym dygnitarskie brzuszio nie przeszkadza w zgrabnym złożeniu wieńca pod obeliskiem chwały. Małoż to podobnych ewo-lucji gimnastyczno-patriotycznych w wykonaniu nieźle płatnych kustoszy narodowej pamięci widuje się u nas w dodatkach filmowych i tele-dziennikach?

Z trudem przebrnął przez jego arcydzieła, najwyraż-niej przełożone na kolanie. Od razu poznać, że tłumacze uważali swój wysiłek za karne ćwiczenie. „Opowieść o prawdziwym człowieku”, tryumf pozytywnego bohatera, rzecz o lotniku, który mimo kalectwa latał dalej. To bo-daj jeszcze najstrawniejsze. Utwory o inwalidztwie, kło-potliwa sprawa. Skrytykujesz powieść, powiedzą że nie masz serca dla ludzkiego nieszczęścia. Prasa moskiewska (lipiec, 1953) przyniosła wiadomość, że pod wpływem tej książki Stach Pierunka ze wsi Lutogńew pod Kroto-szynem przemógł kalectwo, wstąpił do partii i został kie-

rownikiem spółdzielni. „Literatura dźwiga człowieka...”. Ale już przy czytankach: „Ludzie naszych czasów”, „Daleko od frontu”, „Ziściło się”, „My, ludzie radzieccy”, włos zmierzwił się Henrykowi na głowie: kliniczny przypadek grafomaństwa, koncert patriotycznego debilizmu, Nikołaj Ostrowskij dla ubogich.

Ze zmarszczką niezadowolenia przestudiował w *Literaturnoj Gaziecie* sprawozdanie z posiedzenia związku literatów ZSRR. Papierek z maja 1957: członek zarządu Borys Polewoj piętnuje polskich literatów Antoniego Słonimskiego, Marka Hłasę i Jana Kotta za niebezpieczne oddalenie się z szeregów walczącej literatury socjalistycznej. Nie dość na tym! Notatka z początku roku 1962: po usunięciu Katajewa z *Junosti*, redakcję tego pisma przejmują Polewoj. Skutki tej zmiany nie dają na siebie długo czekać: „obałamucony odłam młodzieży literackiej zawraca z błędnej drogi, poczucie obowiązku w środowisku twórczym wzrasta”.

— Makabreska! — wzdrygnął się Henryk. — A więc to politruckie nasienie chciałby Hazdrubał moim piórem kreować na św. Jerzego w klechdzie dla grzecznych infantylińtek. Jeśli ulinię pochwałę Polewoja, Słonimski w Warszawie, Sołżenicyn w Riazaniu, Kott w Nowym Jorku nie bez racji pomyśla, że zwariowałem. Rozgłośnie na Zachodzie zrobią ze mnie „zdrajcę polskiego Października”, bo u nich czas zatrzymał się na tamtym miesiącu. Ale cóż tam polityczna nefotogeniczność czy intelektualny deficyt tego ościennego herosa? Nie przesadzajmy: do uratowania klasztoru jasnogórskiego i wejścia (tylną furtką, ma się rozumieć!) do polskiej legendy nie potrzeba zaraz być antystalinowcem czy świetnym prozaikiem: Pan przemawiał w Piśmie głosem oślicy.

Rzecz w tym, czy zamysł wskrzeszenia częstochowskiego stycznia sprzed ćwierć wieku wytrzymuje próbę konfrontacji z faktami? Sekundę! Tylko nie tak z waszecia! Czymże są „fakty” w ogóle? A może to szczególnie wyrafinowana forma mistyfikacji? Rzeczywistość jest nie-

poznawalna, wszystkie pojęcia są umówne, jak tłumaczą milicjantom filozoficznie nastroszeni złodzieje, przyłapani na nieposzanowaniu cudzej własności. Tylko bez wybiegów, syneczku, bez szukania alibi dla swej antyodwagi cywilnej i pisarskiej!

Ciekawe, że w pamiętniku burmistrza Częstochowy nie ma o uratowaniu klasztoru przez Rosjan ani słowa. Ówczesny przeor w oświadczeniach, składanych tuż po wojnie, podobnie jak biskup częstochowski, nie wspomina o tej bądź co bądź niebłahej sprawie. Pomija ją również milczeniem pełnomocnik nowego rządu, gdy wręcza Paulinom pół miliona złotych na remont klasztoru. Nawet marszałek Koniew, który miał wysłać podpułkownika Polewoja do Częstochowy, nie pisze o tym w swoich wspomnieniach. Inna rzecz, że gdyby się Paulinom zachciało wypuszczać powietrze z balona legendy (co by na to powiedziano w Rzymie, gdzie od czasu do czasu pokazuje się duch Possewina?), są na to jeszcze wypróbowane sposoby: cenzura czuwa. O innych, mniej uprzejmych, sposobach mogłaby coś nie coś powiedzieć pani Bawoli-kowa czy też Bawolakowa, osoba kompetentna także i w sprawach kościelnych, gdyż pracowała niegdyś w instytucji słynącej z posługiwania się swoistymi „argumentami” podczas nocnych „dialogów” z krnąbrną katabasierią czyli „reakcyjną częścią kleru”. Chcesz zatem po-folgować lojalistycznej fantazji, nie krępuj się: droga wolna! Nikt niczego nie sprostuje. Wymarzona sytuacja dla mitotwórstwa. Tylko naiwni, jak mawia uroczy Basiulek, nie korzystają ze sposobności, macierzy wielkich karier, a uczciwość to nic innego jak brak okazji lub — są i takie wady organiczne, a jakże! — nieumiejętność popełnienia świństwa, kalectwo, na szczęście, spotykane w Hazdrubalicach niezmiernie rzadko. Nasz prezes zna niezgorzej skład chemiczny wody w której od lat pływa, w której od lat innych topi. Nie tracąc czasu na krytyczną refleksję, kuje żelazo póki gorące. I to cudzą, wynajętą ręką...

— Lepiej się już, zrędo, do tego Polewoja nie uprzedzaj — Helenka znowu się wtrąciła do nieswoich spraw — on razem z Korniejczukiem, wiesz, z tym wdowcem po Wasilewskiej, przemawiał w tych dniach w Moskwie na cześć pana Jarosława, laureata nagrody leninowskiej. Coś go więc jednak do tej naszej Polski ciągnie... A że on tombak trzeciej próby, a nie złoto? A że on ameba a nie mocarz opozycji? Tylko bez pochopnego wystawiania cenzurek! Jeszcze nie wiadomo, co ludzie o tobie powiedzą.

Rozmowa z Bączkiem.

— Muszę z tobą porozmawiać! Po przyjacielsku. W dość delikatnej sprawie — pułkownik wziął Henryka pod rękę i wyprowadził go na korytarz. — Ludzie dziwią się, że nie chcesz się społecznie udzielać. Wykreśliłeś się chorobą od obecności na zjeździe Zbowidu. Nie zgłosiłeś referatu na Miesiąc Pamięci Narodowej. Ani razu nie byłeś na zebraniu Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, chociaż wybraliśmy cię do prezydium, zaszczyt którego ci niejednen zazdrości. Docent Frąś, który, jak wiesz, często widuje generała, zauważył niedawno ironicznie, że w okresie stalinowskim byłeś aktywniejszy. Jego żona wręcz twierdzi, żeś zmylił krok...

— Metale się męczą, a co dopiero ludzie — spróbował uniku. — Czy widziałeś kiedy słonecznik, wydłubany przez ptaki do ostatniego ziarnka? To ja.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni i wszyscy odpoczniemy w grobie — napierał Bączek. — To nie jest odpowiedź. My się, Heniek, naprawdę staramy, aby w tym kraju było lepiej. Ty nas, po prostu, swoją nieobecnością krzywdzisz. Powinniśmy pomóc generałowi...

Henryk miał słabość do tego ramola z ufarbowanym wąsem. Nie cenił jego pióra (szmira, kadzidło i złoto) ani umysłu. Lubił natomiast jego wypłowiałe spojrzenie spod krzaczastych brwi. Takie samo miał jego ojciec.

— Pisać dobre książki, to najpilniejsze zadanie społeczne — rzekł wymijająco.

— Kto jak kto, ale ja chyba wiem najlepiej co dla nas jest dobre a co złe. Jak ci, Heniu, były dowódca kompanii w SGO „Polesie” generała Kleeberga, uczestnik walk pod Kockiem, były łagiernik Workuty, oficer Czwartej Brygady Pancernej, który przez Lubelszczyznę, Pomorze i Dolny Śląsk szedł ku Nysie Łużyckiej, brał udział w zwycięskich walkach pod Budziszynem, Dreznem i Pragą, coś mówi, to możesz mu wierzyć, że mówi z sensem...

O jednym „drobiazgu” Bączek zapomniał: że tuż po wojnie, przeniesiony do 8. Drezdeńskiej Dywizji Piechoty im. Bartosza Głowackiego, wsławił się „umacnianiem władzy ludowej” w południowo-wschodniej części kraju i bezwzględną „pacyfikacją reakcyjnego podziemia”.

— Ja wcale nie twierdzę — Bączek przeszedł na ciepły szept — że mnie się, Heniu, wszystko podoba. O, nie! Tak nie jest! Na przykład: ten niefortunny zajazd na Czechosłowację...

Ho, ho! Henryk nadstawił ucha. Militarysta, który chciałby narodowi wcisnąć hełm na głowę, i to tak głęboko, by spadł mu na oczy i uszy, krytykuje zwycięski marsz na Hradec Kralove. To coś nowego. Przecież cokolwiek zbroją nasze siły zbrojne, nie może być złe. Ze względu na guziki z orzełkiem.

— ... mówiąc między nami — ciągnął pułkownik — to był błąd. Generał też tak uważa, bo on, rozumiesz, ocenia sytuację z naszego, polskiego, a nie kacapskiego, punktu widzenia, i te różne tereferekuku o internacjonalizmie to on, za przeproszeniem, ma gdzieś. Gdybyś ty wiedział, jak jego w Moskwie nie lubią! Ja ci, Heniu, coś powiem: nam jest potrzebny polski Ceausescu. Na Kościuszkę, syneczku, nas obecnie nie stać. Na razie wystarczy Ceausescu. Czyli, rozumiesz, wewnątrz państwa: ład i porządek, na zewnątrz zaś: więcej swobody ruchów. Program jest: okrzepnąć! Tak jest: okrzepnąć! Silna ar-

nia. Więcej sportu. Mniej wódki. Chłopa indywidualnego i kościoła nie ruszać. Ale żadnego tam świętopietrza dla Watykanu! Niech im Niemcy płacą, skoro tak ich tam lubią! Pensjonaty i hoteliki na Wybrzeżu można by na pół reprivatyzować, czemu nie? Od tego się nasz socjalizm nie zawali. Więcej luzu w związkach zawodowych. Ale — bez strajków! Bo to osłabia nasz potencjał. Mniej rozwodów! Niech się Hazdruhal zmartwi, trudno! Żadnych pigułek antykoncepcyjnych, bo to się odbija na przyroście naturalnym, a Polaków powinno być o dwadzieścia milionów więcej! Syjo-trockistów i podobną swołocz, ma się rozumieć, za twarz! Dyskusja, owszem, ale lojalna. Mówię, oczywiście, w skrócie. Program jest. Więc coś ci się, na Boga ojca, nie podoba? Wyjaśnij mi, proszę, skąd u ciebie tyle much w nosie?

— Co tu wyjaśniać? — wzruszył Henryk ramionami, nie chcąc się wdawać z Bączkiem w dyskusję. — Po prostu nie mam ochoty. Na nic. Absolutnie na nic. „Czuję się jak wystrzelona do ostatniego naboju strzelba” — rzekł przed śmiercią Cesare Pavese. To samo ze mną!

Ale pułkownikowi nic nie mówiło to nazwisko. Urażony, puścił ramię Henryka i rzekł zmienionym głosem:

— Jak uważasz, mój drogi. Będziemy się bawić w Polskę bez ciebie.

Następnego dnia Henryk zaryzykował pierwszą próbę wyrwania się z potrzasku.

— Z pewnością żyje jeszcze wielu Paulinów, świadków tamtych wydarzeń na Jasnej Górze. Może bym pojechał do Częstochowy i zasięgnął języka na miejscu? — zagadnął Hazdruhala.

— Wizje lokalne nie sprzyjają wyobraźni twórczej — zawyrokował gromowładny. — Zresztą straciłbyś co najmniej trzy dni na taką wyprawę, a nam się naprawdę śpieszy.

Warszawa jest dużym, półtoramilionowym miastem, ale, niczym na rynku w Kozienicach, co chwilę człowiek

wpada na znajomych. Henryk szedł Koszykową, gdzie podobno w redakcji *Współczesności* mają plan Często-chowy, gdy mu nagle ktoś z tyłu położył dłoń na ramieniu. Nieprzyjemne uczucie. Prąd elektryczny wzdłuż grzbietu. Tętent serca. Zwłaszcza, gdy się ma pamięć niezabliźnioną. Czasy się zmieniły, „jest dobrze, będzie jeszcze lepiej”, (hasło prezesa) ale nuż się za plecami rozlegnie przesadnie grzeczne: „Pan pozwoli z nami”?

Na szczęście, nic złego. To docent Frąś. Ryży wąsik. Wypukłe powieki. Wywinięte rondo kapelusza. Uśmiechając się, już coś wyjmował z wypchanej teczki.

— Serwus, Ziółkowski! Dobrze że was widzę! Chętnie wam coś przeczytam. Nie mam, choroba, pamięci ani do nazwisk ani do żartów, więc zapisałem sobie na karteluszkach. Wierszowane, he-he. Taka mała ankieta socjologiczno-obyczajowa. Posłuchajcie tylko: jak się u nas ludzie bawią, czym podróżują, co piją, jak się kochają. Ale jeśli to znacie, mówcie od razu...

— Nie znam. Chętnie posłucham.

Frąś, rozjaśniony tym rodzajem szczęścia, jakie ogarnia ludzi powtarzających kiepskie dowcipy, już czytał:

— Minister: *Mercedes*, whisky i artystki. Dyrektor Zjednoczenia: *Wołga*, koniaki i kociaki. Dyrektor przedsiębiorstwa: *Warszawa*, starka i sekretarka. Kierownik działu: *Syrenka*, Wyborowa i koleżanka biurowa. Referent: rower, czysta czerwona i własna żona. Robotnik wykwalifikowany: tramwaj, zupa i bylejaka d.... Robotnik niewykwalifikowany: konserwa, dwa piwka i zwykła dziwka. Bezrobotny: jedno piwko, łączka i własna rączka... Dobrze, co? A jakie prawdziwe!

Henryk zaniósł się od fałszywego śmiechu, przypominającego skomlenie psa. Miał ochotę powiedzieć Frąsiowi, że nie wszystko co swojskie i zgrzebne, jest dowcipne, że nie lubi trywialnych tekstów na poziomie świetlicy ORMO, ale ugryzł się w język: z Frąsiem lepiej nie zadzierać, to „człowiek jutra”.

— Dziękuję — uścisnął dłoń docentowi. — Dawnom się tak nie uśmiał.

Fraś odszedł, kreśląc kapeluszem ósemkę w powietrzu, ale po kilku krokach wywinął pirueta na obcasie i wrócił z życzliwym ostrzeżeniem:

— Wiecie, co ta chorobliwa plotkarka, Bączkowa, opowiada o was na mieście? Aż wstyd powtarzać: że kto się raz w życiu zetknął z Luną Rajsową czy Madame Bawolik, nie mógł się nie nabawić wstrętu do kobiet na całe życie. Że Ziółkowskiego coś więcej łączy z Sylwestrem niż zwykła przyjaźń. Śmieszne, co?

Nowy przypływ depresji. Już wiosna na mieście, bzy kwitną w Łazienkach, Wisła skrzy się w słońcu, ale Henryk nie miał ochoty podciągnąć żaluzji i spojrzeć w niebo. Czując się jak galernik, przykuty do wiosła pod dolnym pokładem, kulił się w kącie ciemnego pokoju i odpędzał od siebie natrętnie powracającą myśl o słuchowisku. Jeszcze tylko dziesięć dni do oddania tekstu...

Sylwester z „kącika poezji”, może szczerzy przyjaciel a może tylko przyczajony Fouché w kieszonkowym wydaniu (tej drobnej różnicy nawet sekcja zwłok nie wykaze), zmrużył znacząco bogato urzęsione oko:

— Wszystko rozumiem — zniżył głos — chciałbyś, kochasiu, podobać się „tamtej stronie”, która jawi ci w sennych marzeniach jako alternatywa, ilekroć tutejsi Hazdrubalowicze zajdą ci za skórę. Rozgoryczeni mają prawo do ideologicznego zezna. My wszyscy chcielibyśmy zasłużyć na łaskawy uśmiech Zachodu...

— Chciałbym się podobać samemu sobie, to wszystko.

— Znamy się nie od dzisiaj, przyjacielu. Gdyby cię pochwaliła moskiewska *Prawda*, umarłbyś ze wstydu. Gdyby cię pochwalił *New York Times*, umarłbyś ze szczęścia.

— Przesada, Sylwesterku. Niewyparzona wyobrażenia.

— Nie ma w tym nic zdrożnego. Któż z nas nie lubi

chłopców z Disneylandu? Pamiętasz, co się u nas działo, gdy Armstrong wylądował na księżycu?

— Pamiętam: Hazdrubał czerwonym ołówkiem poprawiał nam w tekstach słowo „Amerykanin” na „człowiek”.

— Ach, ty w kółko o swoim Hazdrubalu! Otóż w chojnickiej Izbie Wytrzeźwień doszło do buntu przymkniętych pijaków. Bijąc pięściami w drzwi, wołali do strażników: „Ludzie! Boga w sercu nie macie? W t a k ą noc trzymać nas pod kluczem?” Kamień by zapłakał nad ich krzywdą, a co dopiero znani ze swego ludzkiego stosunku do obywatela milicjanci. Nic tak ludzi nie brata ze sobą jak historyczna chwila. Ruszyli więc po społu, pijani i trzeźwi w jednym ordynku, na stację kolejową gdzie w poczekalni tłum gapiów oblegał telewizor. A gdy Amerykanin dotknął stopą srebrnego globu, jeden z pijaków zaczął lamentować: „O Jezu! Coś białego się miga! Ledwie go widać. Obraz taki błady! A wiecie dlaczego? Ruskie go nam wyretuszowali!”

— Rodzajowy obrazek — wzruszył ramionami.

— Więcej mówi o nastrojach tego kraju niż niedzielne pogadanki radiowe naszego prezesa. Głos pijanego, głos Boga — zarzął Sylwester.

— Ach, nie mów mi o tym kraju! To jedno wielkie Hazdrubalice! — zmęczył go dobry humorek przyjaciela.

— Znalazłeś się na niebezpiecznym zakręcie — przyrzekał mu się Sylwester. — Niedługo nic ale to nic nie będzie ci się podobać na naszym padole. Znamy tę chorobę. Pierwsze stadium: naturalną niechęć do dozorców zaczynasz zwolna przenosić na współwięźniów. Ostatnie stadium: do tego stopnia obrzydnie ci każdy *socius doloris*, że zaczniesz na niego spoglądać niechętnym okiem dozorczy. Innymi słowy: Hazdrubał zwycięży w tobie...

— Już zwyciężył! — wykrzyknął. — We mnie, w tobie, w nas wszystkich!

— Czego ty właściwie oczekujesz od losu, czarny niewdzięczniku? — dokuczał mu Sylwester. — Osta-

tecznie masz swoich czytelników, dla pisarza rzecz ważna: *scribo ergo sum*. Moimi wierszykami interesuje się garstka liryczącej młokoserii, twoją prozą zajadają się tysiące.

— *Mów do mnie jeszcze, słowa twe dziwnie poją i kołysz!* Lubię ten mit o czytelniczej rzeszy, a jakże. Jechałem niedawno pociągiem do Krakowa. Naprzeciw mnie siedział w przedziale nieznajomy człowiek i, wyobraź sobie, czytał moją książkę! Aż mi dech zaparło z emocji. Dziwne to dla autora uczucie: podejrzeć s w e g o czytelnika na „gorącym uczynku”! Nie taję, że przypatrywałem mu się ze szczerą sympatią. To przecież ktoś bliski, dopuszczony przeze mnie do konfidencji, mój współnik i spowiednik w jednej osobie, dla niego wyrrywam z siebie po nocach serce i wątpia. Tymczasem ten bezbarwny człeczyna o trudnym do ustalenia zawodzie, może niższy urzędnik a może „chłoporobotnik”, tępy okiem wpatrywał się w zadrukowany papier, ślinił palce, wolno odwracał stronicę, harmonijkę zmarszczek ścigał na czole i rozwijał, wreszcie ziewnął szeroko i — wrzucił książkę, moją książkę, do podróźnej torby, i to takim ruchem jakby wrzucał ogryzek do kosza na odpadki. — „Czy to coś warte?” — zagadnąłem nieznajomego. — „Ech, panie! — machnął ręką człowieczek. — A bo to teraz umie ktoś pisać? Kraszewski, ten umiał!” — Po chwili dorzucił: — „Nic się, panie, teraz w książkach nie dzieje. Bohaterowie do de! Nic nie robią, tylko myślą i gadają. — „Oto i mój odbiorca, Sylwesterku. Pomnóż go przez pięćdziesiąt czy sto tysięcy, a legenda o masowym czytelniku ukaże ci się we właściwym świetle.

— Nic z ciebie nie będzie: gardzisz ludźmi — westchnął człekofil Osiński.

Już po kilku dniach Basiulek wiosennym sopranem przypomniał Henrykowi, że pańskie oko Pegaza tuczy:

— Serwus, Ziółkowski! No, jak tam, panie starszy? Zaskoczyło? — roześmiała się w słuchawce. — Chyba powijecie bez bólu jeszcze przed świętami?

— Już kończę — skłamał. — Bóg zapłać za ponaglenie!

— Ukłony od gromowładnego. Tak go przecież nazywacie na mieście. My wszystko wiemy, hi-hi! Dobrzy koledzy donoszą punktualnie. Prezes sugeruje, byście włączyli do swego tekstu coś z „Potopu”. Aktorzy już się cieszą na swoje role. Polewoja, mówi prezes, zagra Strumiłło. Ze względu na ciepło w głosie.

— Sienkiewicza mam skrzyżować z Polewojem? — westchnął. — Albośmy to kółko miczurinowców? Jakież tam ze mnie *T r y l o g i o d y t a* ?

Kalamburu, oczywiście, nie złapała. I miotaj tu perły między Basiulki!

— Prezes nie upiera się — zjawisko szczebiotało w słuchawce dalej — on tylko sugeruje. Zrobicie jak zechcecie. Tu nie Tirana, przymusu nie ma! Byłe prędko!

„Tu nie Tirana, przymusu nie ma” było ulubionym powiedzeniem Hazdrubala. Pojętne sekretarki nie tylko nasiakają zapachem wody po goleniu, używanej przez szefów, ale i przejmują ich powiedzenia, to jasne. „Byłe prędko!” Do dziewczyny żalu nie miał. Robi, ślicznotka, co jej każą. Kazali jej przynaglić znanego z niepunktualności Ziółkowskiego, więc go przynagła. I tak jest o całe niebo sympatyczniejsza od swej ponurej poprzedniczki, która w ogóle nie umiała postępować z ludźmi. Każdą konwersację zaczynała od ustalenia personaliów rozmówcy. Babsko nie rozmawiało z klientami, lecz ich przesłuchiwało. Do małomównych zwracało się pięknym zdaniem: „Już my was rozgadamy!” Z nawyku zawodowego: pracowało kiedyś w „wiadomym resorcie”. Dobrze że tego babozwierz (Bawolik jej było czy też Bawolak, dziś to już nieważne) przeniesiono do Akademii Nauk i straszy teraz w Pałacu Staszica. Wszelako tuż przed swoim odejściem pani Bawolik, aktywistka Ligi Kobiet, pierś owinięta Sztandarem Pracy, zwierzyła się docento-

wi Frąsiowi, że smakosz Hazdrubal najchętniej napastuje sekretarki w kuchni przy zlewie, tłumacząc im iż odzywa się w nim atawizm drapieżnika polującego na sarenki u wodopoju, ale plotka ta dygnitarzowi nie zaszkodziła. Wręcz na odwrót: zjednała mu sympatię rodzimej Papua-serii, bo pociąg do uciech doczesnych nikogo u nas nie hańbi a ludzkie słabości to jakby dodatkowy atrybut siły tych, co na górze.

— Stary cap lubi sobie podskoczyć! — mówił ludek w stołówce z podziwem. — Satyr czosnkiem karmiony, żadnej nie przepuści! Młoda żonka mu nie wystarcza. I szympanse mają swoje romanse. I łysy miewa swoje kaprysy. Wie, co w życiu dobre. Bo najgorsi w tym jejich partyjnym zakonie to ci, co nie palą, nie piją lub sobie czasem nie wierzgną z lalunią na boczku!

— W tym wieku! — zdziwił się Sylwester. — Właściwie należałoby go lojalnie ostrzec piosenką medyków:

*„Gdyby dziadzio Tytus
wiedział, że coitus
to rym do exitus...”*

Na próżno docent Frąś podkreślał w depeszach czerwonym ołówkiem wzmianki o fatalnej w skutkach kochliwości Faruka czy Sukarny. Demonstracja trafiała w próżnię. Pomimo żalosnej aparycji, a może właśnie dzięki niej, Hazdrubal, krzepki sześćdziesięciolatek, dokonywał spustoszeń wśród dziewczęcej fauny bez trudu, prawie od niechcenia, co z początku tłumaczono sobie w ten sposób, że po każdej wojnie, w atmosferze osierocenia, wiele młodych kobiet cierpi na kompleks ojca, ale interpretacja ta już jest niewystarczająca dzisiaj, w ćwierć wieku po wojnie, gdy na Krakowskim Przedmieściu pojawiły się nowe roczniki, już bez kompleksów i historycznej pamięci. Tych wspaniałych, długonogich nastolatek niesposób pomawiać o kompleks dziadka. Pozostaje więc wyjaśnienie najprostsze: magia samego imperium Hazdrubala,

„rajska dziedzina ułudy”. Radio w którym można zaśpiewać, nie mając głosu i słuchu. Telewizja w której można ukazać swe wdzięki bez cienia talentu aktorskiego. W rzeczy samej: jednym telefonem do przyjaciół na mieście Hazdrubal mógłby każdej sarence zapewnić nieśmiertelność na trzy miesiące. Znaleźć się na odkładce *Ekranu!* Która Betty Skowronek oprze się tej pokusie?

— Prezes przeczuwa, że rodzicie arcydzieło — paplał Basiulek dalej. — Że wypśnie się wam spod pióra istna ozdoba sezonu. Tak powiedział dziś rano na konferencji. Gratuluję. Prezes sugeruje, by wasze słuchowisko pułkownik Bączek z żoną przerobili później na sztukę telewizyjną. Dobrze, że się uwijacie. Święta za pasem.

Znał te hazdrubalowe manewry oskrzydłające na pamięć: jutro zadzwoni do niego korpulentna Malinka z zapytaniem czy nie ma życzeń co do obsady, pojutrze odezwie się w słuchawce zawsze chętny Strumiłło („ciepło w głosie”), by podziękować za rolę Polewoja, którą się rzekomo czuje szczególnie wyróżniony (łatwo sobie wyobrazić jakimi kwamaciami obrzuca w duchu sprawców słuchowiska!), następnie przyślą kogoś z wydziału technicznego dla zarezerwowania studia na próbę czytaną, a mniej więcej za tydzień zaczną „umierać z ciekawości” sam Hazdrubal, miłośnik sztuki zaangażowanej.

— Cóż za piękny głos! Hajduczku, wiosna w telefonie! — bredził, coraz bardziej znękany swym urzędniczym losem. A więc już do tego doszło, że wdzięczy się do sekretarek szefa. Ino patrzeć, jak zaczną Hazdrubalowi wyprowadzać psa na spacer.

— Taki głos, to cios — zachichotała radośnie. — Głos do baletu!

A więc już puściła mu w niepamięć „incydent towarzyski” sprzed roku: zapytał go wtedy Frąś, co sądzi o jednoaktówce Hazdrubala, wydrukowanej w *Dialogu*; nie przeczuwając że Frąś powoła się na jego opinię, rzekł: „Jest jak Basiulek: zgrabna, ale pusta”; tymczasem Frąś powtórzył te słowa Frąsiowej, Frąsiowa przetelefonowała

je Basiulkowi, a Basiulek urządził mu przy wszystkich dziką awanturę, gdyż nic tak nie boli ładnej dziewczyny jak pomówienie jej o niedostatek intelektu.

— Czy nie myśli pani o karierze artystycznej? — pastwił się nad najładniejszą odaliską w haremie Hazdrubala. — Z tym sopranem, aniołeczku, sukces w moim wodewilu o Polewoju murowany! Co mówię: „w wodewilu”! Machniemy *Psychedelic-Pop-Musical!* Happening o Jasnej Górze! I to na spółkę z pułkownikiem Bączkiem i jego żoną!

W słuchawce ucichło. Zaczynał Basiulek stropić się, i tym razem nie wiedząc kiedy ten stuknięty Ziółkowski mówi prawdę a kiedy żartuje. Tymczasem Henryk układał sobie w myślach odpowiedź, jakiej z wdziękiem konferansjera udzieli zwierzchnikowi, gdy nadęty kręcinos zacznie w swym gabinecie jojczyć w trakcie lektury słuchowiska o Polewoju. Dokuczliwy to bywał seans. I zawsze według tego samego, zapiekłego rytuału. Teksty przedłożone do aprobaty (wulgarnego słowa „cenzura” unikano jak ognia) Hazdrubał lubił studiować w obecności delikwentów, czekających na werdykt po drugiej stronie biurka. Zaciągał się tym liturgicznym obrzędem jak amerykańskim papierosem. Brał w tym momencie odwet za prestiżowe porażki w przeszłości, choćby za te artykuły, jakie mu w młodości odrzucano w różnych redakcjach. Czuł się jak światły pedagog, poprawiający zeszyty uczniomnieukom, wiecznym repetentom. Do wykreślenia nieprawomyślnych zwrotów zabierał się z uśmiechem, który go upodabniał do malca wydzierającego skrzydełka złapanemu motylowi. „Nie zrozumieliśmy się. Musiałem się wyrazić niedość jasno. Rzecz trzeba napisać na nowo!” — narzekał ze względów wychowawczych, nie oszczędzając nawet noszących za nim teczkę prymusików-lizusków, żeby im się w głowach nie przewróciło. A ponieważ w swoim przekonaniu, znał się absolutnie na wszystkim; rzekłbyś: człowiek Renesansu, udoskonał czerwonym ołówkiem nie tylko pogadanki dla rolników o „hodowla-

nym czasokresie rzeźnych kurcząt”, ale i lirykowi Sylwestrowi „ulepszył” niejedną metaforę w „kąciku poezji”. — „Pan prezes, to faktycznie, jak ten mityczny król Midas — łąsił się król włazików, Stawczyk, widząc swój manuskrypt upstrzony dziesiątkami poprawek — ledwie weźmie do ręki, za przeproszeniem, garstkę zleżącego łajna, od razu zamienia je w szczerę złoto!”

Niech się tylko król Midas skrzywi — przyrzekał sobie Henryk — a zacytuje mu rubaszne powiedzonko chorążego Orzeszki z Aleksandrii. Gdy wybredni chłopcy z Karpackiej Brygady domagali się od pełniącego służbę w świątyni miłości chorążego Orzeszki wiotkich blondynek o ludzkim obliczu a nie spasionych Arabek o gębach czarownic, stary żołnierz-patriota zachrypłym z oburzenia głosem zawołał: „Tylko nie przebierać, panowie! Tym, co zostali pod Ruskiem lub Niemcem, na pewno dziś gorzej. Zamknąć oczy i — kochać jak podleci!”

Otóż to: nie przebierać, Hazdrubalu! Lepszej chałtury nikt ci w całym zamtuzie nie upichci. Dworskie żarciki, ucieczka w niewybredną dykteryjkę. *Aniegdotczyki kanał Wołga-Don stroili*, jak mawia Bączek. Wracając do swej zgryzoty: dlaczego się nie zbuntuje? Czy dlatego, że atmosfera w terrarium podobnym gestykulacjom nie sprzyja, skoro taki Stawczyk, jak mówią, umyślnie wyłysiał, by sprawić przyjemność szefowi, redaktor działu sportowego przyswoił sobie chód chlebobdawcy, a co drugi podwładny Hazdrubala, wiedząc że pryncypał z maniakalnym zapałem zbiera znaczki pocztowe, udaje zagorzałego filatelistę? Strumiłło swym ciepłym głosem zagra każdą rolę w każdej bez wyjątku sztuce, Malinka bez słowa sprzeciwu wyreżyseruje wszystko co jej każą (z jego, Ziółkowskiego, कि-czydłem włącznie), Basiulek pójdzie do łóżka z każdym szefem, i tylko jego, kurza twarz, świat chciałby widzieć w złocistej zbroi pryncypialisty-nieprzejednańca! By później uciekać na jego widok w drugi koniec korytarza. Któż odważy się publicznie pokazać w towarzystwie „spalnego”? Kto w niełasce, ten prątkuje. Po co się „wychy-

łał”? Zasłużył na swoje. Zróbmy znaczące kółko na czole. Człowiek o zdrowych zmysłach, proszę sierotek po Kozie-tulskim, nie stawia się władzy. To jasne.

— Więc co mam odpowiedzieć prezesowi? — Basiulek przypominał o swoim istnieniu. — Co dzień się o was dopytuje!

— Czy o moje zdrowie?

— Wy mnie, Ziółkowski, nie róbcie w konia — piękność lubowała się w nowej polszczyźnie. — Nie o zdrowie, ale o manuskrypt!

— Cieszę się, że mając setki naprawdę ważnych spraw na głowie, prezes pamięta również i o takiej drobnostce jak moje słuchowisko — odrzekł nieswoim głosem.

Właśnie ten pociąg do kapralstwa zdumiewał go w Hazdrubalu najbardziej. Lękając się delegowania choćby ułamka swoich uprawnień w dół, prezes już dawno przes-tał odróżniać sprawy nadrzędne od pochodnych. Doszło do tego, że działacz nie pozbawiony swoistego talentu politykierskiego i umiejętności zastraszania ludzi, co może w jakiejś tam Szwajcarii czy Anglii jest źle widziane, ale u nas ponoć niezbędne, najchętniej wyżywał się w mikro-egzekutywie. A więc sprawdzał jak długo speakerzy piją kawę w barze, czy goniec punktualnie wrócił z urlopu, czy Malinka, zgodnie z jego sugestią, rolę Bony w telewizyjnej przeróbce „Barbary Radziwiłłówny” powierzyła macosze Basiulka. „Każdy szczegół jest ważny — Napoleon eteru polskiego zaperzał się nieraz jak sierżant, który odkrył brak guzika na rekruckim szynelu — człowiek nie potyka się o szczyty Himalajów, ale o kamyk na drodze!” Wierny tej maksymie, między rozmową telefoniczną z Moskwą czy Paryżem a dyktowaniem Basiulkowi artykułu do prasy czy nowego rozdziału swych pamiętników, własnoręcznie podpisywał przepustki upoważniające redaktorów do opuszczenia budynku w celu załatwienia ważnych spraw na mieście. („Tylko na własny pogrzeb przepustek nie trzeba” — chichotał woźny). Zgodnie

z przyjętym obyczajem, pamiętniki Hazdrubala, działacza który w okresie „żdanowszczyzny” należał do czołowych „terrorytów” realizmu socjalistycznego, wszelką odpowiedzialność za ówczesne „przerosty” (śliczne słówko!) przerzucają oczywiście z prześladowców na prześladowanych. Tylko nierozgarnięty oskarżony nie przebiera się w szaty oskarżyciela. Zdaniem prezesa, winni więc byli ci, którzy potulnie spełniali polecenia przełożonych, zamiast odważnie powiedzieć „Nie!”. To niby oni swoją biernością wyzwalali niedobre instynkty w dozorcach i zachęcali ich do ekscesów. Nic nowego pod słońcem: w Buchenwaldzie był strażnik, który tego samego więźnia pobił przedpołudniem za to że się stawiał, a popołudniu za to że zbyt gorliwie spełniał jego rozkazy. Tak czy inaczej winien był więzień: nie umiał się obchodzić ze strażnikiem. Wspomnienia prezesa, których fragmenty już ukazały się w prasie literackiej, nie szczędzą również słów krytyki tym, którzy „wypadli z gry”. Serce rośnie, gdy się czyta z jakim temperamentem pamiętnikarz przygryza tym, którzy odgryźć się nie mogą. Z tej prostej przyczyny, że albo już gryzą ziemię albo też spiłowano im zęby i założono kaganiec. „Nie pociągaj żywego lwa za ogon” — mówią w buszu — „poczekaj aż zdechnie!”

— Hallo, Ziółek? Czyście zasnęli przy telefonie? — nalegał sopranik. — Co wy w nocy robicie, jak babcię-drapcię?

— Nie wolno zasmucać przełożonych niepomyślnymi wiadomościami — ocknął się. — W dawnych wiekach za takie przewinienia obcinano głowy. Führerowi w berlińskim bunkrze do ostatka przekazywano pomyślne meldunki. Proszę więc powiedzieć prezesowi, że kulawy już minął ostatnie okrażenie, właśnie chroma na prostej...

— ... co robi? „Chroma”? — zdziwiła się szczebiotka. — Po jakiemu to? Takiego słowa nie ma w polskim języku. Mówi się „chromolę”!

— ... kuśtyka na prostej, jeszcze sto metrów i zniosą go z bieżni na noszach. Ukłony dla Nieomyślnego. Właś-

nie mija sto lat od ogłoszenia dogmatu o nieomyślności papieskiej.

— Wy się jeszcze dobłaznujecie, Ziółkowski — odrzekł chłodno Basiulek i odłożył słuchawkę. Łatwo się domyśleć, że na jej ładniutkiej, żadnym wysiłkiem umysłowym niezbrukanej twarzyczce pojawił się grymas niechęci.

Prawdę mówiąc, jeszcze się nie zabrał do pisania. Odkładał ten koszmar z dnia na dzień. Ile razy wolnym krokiem podchodził do biurka, mebla smutniejszego od katafalku, tężał ze złości i w ostatniej chwili odwracał się na pięcie, przyrzekając sobie że za żadne skarby świata nie oprze łokci na trumiennej desce. Któryż wyrobnik pióra nie zna tego stanu ducha? Lasso niedotrzymanego terminu na szyi, dziura w mózgu, nietoperz w piersiach i bezwstydnie naga kartka na stole.

Co masz napisać dzisiaj, napisz jutro. A może się coś zmieni do jutra? Nie wiecie dnia ani godziny. Nie musi to być zaraz koniec świata. Wystarczy takie trzęsienie ziemi, które nie uszkodzi ani jednego domu w Warszawie, ale w gabinecie przy Alejach Niepodległości obluźni żyrandol nad czaszką Hazdrubala.

Marzycielu! — przyłapał się na dziecięcym optymizmie. — Nie będzie ten Hazdrubał, to będzie inny. W tych Hazdrubalicach każdy się zhazdrubalizuje. Nie tędy wiedzie droga do dehazdrubalizacji.

A może by się udać do Bączka z prośbą o odsiecz? Gdyby tak starszy pan szepnął prezesowi, że Ziółkowskiemu ten temat „nie leży”?... Pułkownikowi, „absolwentowi” Workuty, na wystawianiu pomników Polewojom chyba nie zależy, skoro tak bardzo tęskni do nowego Kościuszki? Ale — nie łudźmy się! On nie z tych, co to się przełożonym narażają. Dał tego dowody przed miesiącem, gdy zwiedzali razem fabrykę opon samochodowych w Olsztynie, chlubę województwa. Orowadzający ich po halach „Ozосу” delegat dyrekcji tryskał zdrowym optymizmem. Natomiast młody, zuchowaty brygadier

przy prasie wulkanizacyjnej, gdy tylko urzędnika odwoła-
no na kilka minut do telefonu, rzekł rozgoryczony:

— Gdzie nam do „Stomilu” czy Dębicy! Produkuje-
my, a jakże! Ale wcale nie jest tak byczo! Na całym świe-
cie od dawna przestawiono się już na opony radialne,
wytrzymalsze i tańsze w produkcji. A my po staremu im-
portujemy kauczuk i kord stylonowy, nawet sadzę, jak-
byśmy własnej nie mieli. Gorzej, że maszyny mamy poz-
bierane: angielskie, francuskie, niemieckie, radzieckie,
polskie, czeskie! Nie było zakupu z pomysłem. Te
mechaniczne ręce do wyjmowania opon z prasy, co je
panowie widzicie, na nic! Bo ręce, z Anglii, i prasa,
z Czech, nie są dostosowane do siebie. Więc lżejsze sztuki
łapami wyciągamy...

— Trzeba podnieść krzyk na falach naszej rozgłośni!
— zapalił się Henryk.

— Zwariowałeś? — przeraził się pułkownik po wyj-
ściu z fabryki. — Ani słowa na ten temat! Po pierwsze:
mówić o brakach, to jednak defetyzm. Po wtóre: jestem
pewien, że są to trudności natury przejściowej, typowe
dla okresu raczkowania. Po trzecie: nie zapominaj, że
towarzysz Wiesław osobiście otwierał te zakłady! Zjedzie
się komisja, zaczną się dochodzenia, tamci się wykręcą,
i w końcu na nas się wszystko skrupi! Kto winien gorącz-
ce? Termometr! Rozbijesz termometr, i — gorączki nie
ma! Ja tam, Heniu, wolę z tym Olsztynem nie mieć nic
wspólnego!

Nie! Ten śmiałek, tchórzem podszyty, interwencji
„dyplomatycznej” u Hazdribala z pewnością się nie po-
dejmie. Z pasją otworzył radio. Zmiana programu: za-
miast muzyki rozrywkowej pogadanka docenta Frąsia o
wychowaniu obywatelskim. Położył się ciurkiem:

„Na osobowość naszego narodu, na nasz kształt du-
chowy i postawę wobec określonych zjawisk, wpływają
dwa czynniki: samowiedza historyczna i pozytywne do-
świadczenie współczesności. Gdyby zadać sobie pytanie:

dlaczego jako naród i państwo jesteśmy dzisiaj tacy, jacy jesteśmy, odpowiedź byłaby następująca...”

Zamknął radio. Nie był ciekaw tej odpowiedzi, bo znał ją na pamięć. Przysłano ją wczoraj z Biura Prasy K.C. w teczce: „Materiały rocznicowe”. Szalbierz Frąsiunio żywcem zerznął rozdziałik pt. „Po raz pierwszy w historii naszego narodu...” Słowo „naród” znowu robi karierę. O Częstochowie też się dzisiaj więcej pisze niż przed kilku laty. — „Byłe węgierskiego lub czechosłowackiego błędu nie popełnić — rzekł raz Hazdrubal na polowaniu do Bączka — a wszystko się ułoży. Już jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej”...

Docent Frąś upaja się zwrotem o „pozytywnym doświadczeniu współczesności”. Ćwierćintelektualiści, zaraza gorsza od ćwierćinteligentów, mają swój własny język. Dobrze, konfrontujmy! Przypomniały mu się słowa studentki socjologii, niedawno wypuszczonej z więzienia:

— Kiedy się we mnie zrodził bunt przeciwko kłamstwu? Gdy miałam piętnaście lat. W tym wieku słyszy się jak trawa rośnie i naiwnie tęskni do nie pękniętego obrazu świata. Już wtedy zauważyłam że moi rodzice, etatowi wychowawcy klasy robotniczej, co innego mówią na zebraniach a zupełnie co innego w czterech ścianach domu, że jedną prawdę mają na własny, wewnętrzny użytek, a drugą na wynos. Od tego odkrycia wszystko się zaczęło, i to odkrycie kosztowało mnie w konsekwencji dwa lata więzienia.

„Pozytywne doświadczenie współczesności”! A żeby wam brzydko było! Kiedy to było? Czy nie na wiosnę sześćdziesiątego roku? Henryk przechodził Piękną. Pod numerem trzecim, w pobliżu Alej Ujazdowskich, przed szkołą dla dzieci cudzoziemców, spotkał Leonharda, który odbierał swoją córeczkę. Nie, jak dyplomaci, limuzyną z żółtymi znakami rejestracyjnymi, lecz na piechotę, gdyż był pół akredytowanym korespondentem prasy bońskiej. Tego Leonharda, Badeńczyka mówiącego po polsku, poz-

nał kiedyś na oficjalnym przyjęciu u Hazdrubalów i nie było, doprawdy, powodu, by się z nim nie wdać w dłuższą pogawędkę. Tym bardziej że o sprawach polskich Leonhard pisywał ze szczerą, wręcz naiwną sympatią. Zarzucano mu nawet po kawiarniach, że gdy tylko na termometrze nastrojów opozycyjnych w stolicy rtec podskoczy o kilka kresiek, przezorny polonofil czym prędzej wyjeżdża do Zakopanego i wysyła stamtąd za granicę liryczne wypracowania o krokusach i Morskim Oku. Co może o tyle jest słuszne, że trudno Niemcowi po Oświęcimiu udzielać innym narodom pouczeń w sprawie wolności i demokracji. „Nie dajmy się, na Boga, rozbroić legendą o dobrych, przemienionych Niemcach. Takich żyraf nie ma w europejskim zwierzyńcu! — wołał niedawno na zbawidowskiej wieczornicy pułkownik Bączek. — Powinniśmy być jak ta góra ognista na Lanzarote, która nie wystygła w dwieście lat po wybuchu wulkanu!” A w kularach szeptał przyjaciółom do ucha: „Miejmy nadzieję, że NRF nie uzna naszej zachodniej granicy. Gdyby splecali nam tego psikusa, osłabłaby czujność i przeważał tani optymizm. P r z e c i w k o komu będziemy zbroić żołnierza i wychowywać naszą młodzież?” Tak czy inaczej, mała Leonhardówna, zabawne, karzełkowate cokolwiek stworzonko — jak wyjaśnił jej ojciec na rogu Pięknej — niechcący zaawansowała na kartę wizytową „typowo niemieckiego wazeliniarstwa”. A to dlatego, że ilekroć w domu rodzice sadzali dziewczynkę do stołu, żeby ułatwić jej dostęp do talerza z kaszką, podkładali jej pod pupkę opasłe tomisko Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Zdarzyło się, że pani premierowa zaprosiła któregoś dnia żony i dzieci zagranicznych dziennikarzy na *garden-party*. Na lody, lemoniadę, napoleonki i kakao z pianką. Gdy gospodyni zapytała dzieci czy im czegoś nie brak, jedne domagały się dodatkowej porcji lodów, inne chciały ciastek z kremem, a Leonhardówna, która siedziała za nisko, wykrzyknęła: „Ja poproszę o Wielką Encyklopedię Radziecką!” Nastąpiła pełna zdziwienia cisza. I wtedy ojciec jej

usłyszał za swoimi plecami zgorzony szept jednego z kolegów: „Typowo niemieckie włazidupstwo!”

Szczerze ubawiony tą historyjką, niczego złego nie podejrzewając, Henryk zaprosił sympatycznego Niemca i jego małą „encyklopedystkę” na wiosenny obłaz po kawiarniach. Droga wiodła przez Klub Literatów, Telimenę, Ali-Babę, jakąś cukierenkę w Alejach Jerozolimskich i bodaj Klub MHD przy Starym Rynku. W ciągu całego popołudnia nie padło ani jedno słowo o polityce. Nie ujawnił cudzoziemcowi że Wisła ma w najwyższym miejscu, *vis-à-vis* Płyty Czerniakowskiej, 500 m. szerokości, a w Miedzeszynie, przy średnim stanie wody plus 70 centymetrów, równy kilometr. Nie zdradził szerokości torów kolejowych pod Chylicami ani innych tajemnic państwowych. A jednak — anioł-stróż przez cały czas musiał szybować nad ich głowami, skoro jeszcze tego samego wieczora odwiedził go pewien młody człowiek o zatroskanej twarzy z tajniackim wąsikiem, przedstawił się jako „Zawisza”, oficer MSW, i poprosił o garść informacji o czym to właściwie towarzysz Ziółkowski rozmawiał tak długo z „tym Szwabem”?

— Czy pisarzowi, członkowi partii, nie wolno się spotykać z cudzoziemcami? — zirytował się Henryk.

— Wolno — odrzekł ów „Zawisza”, skubiąc wąsik. — A nawet jest to wskazane. Rzecz jednak w tym, żeby po każdym takim spotkaniu napisać nam dokładne sprawozdanie. Dyskrecja zapewniona.

Od tego czasu Henryk wołał nie zaglądać na Piękną, by się przypadkiem nie natknąć na odbierającego córeczkę ze szkoły Leonharda.

— Właściwie mógłbyś się któregoś dnia wypiąć na Hazdribala i jak się to pięknie mówi: „zacząć życie na nowo” — dokuczał mu Sylwester, koleżka który ukrywa życzliwość pod maską złośliwości. To taki fason pseudocyników, żyjących w stałym lęku przed posądzeniem ich o przyływ ludzkich uczuć. — Ale tyś zastygł w bezruchu.

Jak ten więzień, porażony obozową drętwością: strażnika już nie ma, brama otwarta, a on siedzi na pryczy i czeka...

— „Obłomowszczyzna”, jak mawiał wielki Lenin. Lenistwo, jak mawia mały Ziółkowski — z kwaśną miną odpędzał osę od nosa. — Taka sama choroba, Sylwestru, jak każda inna. Czyś nigdy nie słyszał o zaniku woli? Zapadłem na śpiączkę, łudząc się że śmierć można odespać na raty.

— Bla, bla, żarciki i przedrzeźnianki! Kto wie, czy nie plagiat z Leca? Strumiłło, ten przynajmniej wypatruje roli swego życia. Docent Frąs z upartością chasyda, wierzącego w nadejście Mesjasza, czeka na dojście generała do władzy. Basiulek liczy dni do wyjazdu w delegacji służbowej do San Remo. Hazdrubał, okaz organicznie niezdolny do przyjaźni, czeka na Wielką Intrygę, którą radby poczęstować swoich paladynów. Ale ty? Na cóż ty czekasz, żywicielu rodziny, kolekcjonerze życiowych i artystycznych porażek, smętny tatusiu bez progenitury, typowy bohaterze satyrycznych wierszyków Gałczyńskiego? Na desant Amerykanów? Na wojnę chińsko-rosyjską? Na czołg Mijała z żółtym smokiem? Na tę „chwilę dziejową”, co to ponoć nawet pingwinom uskrzydla kalekie lotki? Na spokojną starość w Bieszczadach, gdy będziesz mógł wreszcie pisać już tylko „dla siebie”? A może na otwarcie granic? Czyżbyś nie wiedział, że chociaż tam, w górze, będą regularnie podróżować na księżyc, tutaj, na dole, nadal nie będzie wolno bez przepustki wychylić nosa za palisadę?

Próbował go zbyć żartem:

— Żebyś wiedział, arcypsychologu! Na urlop wiekuisty w piasku czekam z utęsknieniem. A na razie: *chat-turare humanum est*. Małoż to ludzi z duszą Cezara całe swe życie spędza przy okienku urzędu pocztowego w Małkini tylko dlatego, że kontekst historyczny „nie po temu”, że trudności natury obiektywnej nie wynoszą ich na wysoki grzbiet pomyślnej sposobności?

— Myśl na czas nie ujawniona — Sylwester ostrze-

liwał go grochem z procy — nie istnieje. Ziółkowscy, którzy swoje porażki życiowe składają na karb historii, umarli za życia. Gryziściórcze plemię chętnie lubuje się w kompleksie zmarnowanego talentu. Nad lekarzem w Prabutach, w Olsztyńskim, który gdzie indziej byłby sławą medycyny, jakoś nikt nie płacze...

— Może bym się i wypiął na Hazdrubala — westchnął — ale nie zapominaj, miły Sylwesterku, że pamięć o cudzym geście nie żyje u nas dłużej niż bagienna jętka. Męczeństwo dawno już stało się synonimem groteski. Choćby dlatego że niepotrzebnie zakłóca wygodę ducha na widowni. Nie zapomnę niechęci na waszych twarzach, gdy na jednej z konferencji powiedziałem: „W języku autokraty krytyka jest niemal z reguły dowodem „rażącego braku poczucia odpowiedzialności”. Nie znasz naszego hymnu związkowego „Koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go tratuja”? Narazić się władzy, rzecz moja zacna Helenka, to szczyt próżności. Odwaga cywilna, to szczególnie żenująca forma ekshibicjonizmu. A już nic mi tak nie dokucza jak myśl, że ludziom, których najśluszniej w świecie uważam dzisiaj za głupców i szubrawców, przyszłe pokolenia nie odmówią liścia wawrzynu. Historia, specjalistka od fałszywych wyroków! Nie rozumiesz pewnych mechanizmów, syneczku. Jeśli wypadniesz z obiegu w tutejszym Wazelineum, zagraniczni klakierzy, owszem, nagrodzą cię krótkotrwałą owacją, ale już po kilku dniach, jakby zawstydzeni swoim zimnowojennym tickiem, odwrócą się od ciebie, bo takie są obyczaje wolnego świata, że woli mieć lepsze stosunki z dozorcami niż z więźniami. Zaraz ci pięknie wyjaśnią, że kto wypija brudzia z komendantem obozu, ten przyczynia się do złagodzenia stosunków panujących za drutami. Ich tam, na Zachodzie, z reguły fascynuje przeciwnik, a nie sympatyk. A zresztą, wcale nie jestem pewien, przyjacielu, czy namawiając mnie na te miniheroizmy, nie ukrywasz przypadkiem kindżału w rękawie? Załóżmy, że się wychylę. Czy wiesz, kogo przyjmą na moje miejsce do cyrku Hazdrubala?

Twojego bezrobotnego szwagra, który od dawna szyje mi buty u Frasia.

— Tragizabawne, heroiczny oportunisto! — usłyszał w odpowiedzi. Sylwester przynajmniej miał tę zaletę, że o nic się nie obrażał. Bączek już by ten „kindżał ukryty w rękawie” pomścił napisaniem nowego donosu.

— Nie czytujesz romansów? — roześmiał się Henryk. — Są tygrysy, którym serce pęka na wiadomość o śmierci pogromcy. Ot, perwersja pięknoduchów: wypatrywać brutalnych gwałcicieli. I ty byś nie mógł żyć bez swego Hazdribala! Psychologia zna ten niezdrowy pociąg natur cienkich i delikatnych do jaskiniowców z maczugą. Małoż to ofiar podziwia w skrytości ducha swoich prześladowców?

— Przestań się znęcać nad sobą! — Sylwester machnął ręką. — Lęk ma wiele imion i twarzy. Nie pozuj na drugą Annę Boleyn, która na widok pieńka miała się ucieszyć: „Jak to dobrze, że mój kat jest fachowcem, a ja mam szyję delikatną!” Chociaż źródła twego talentu pisarskiego doszukiwać się należy raczej w woreczku żółciowym niż w szarych komórkach, wylecz, proszę, śledzionę i zabierz się wreszcie do swego Polewoja!

— Wolałbym już przepisać książkę telefoniczną Warszawy — zawołał. — Od „Abakanowiczowej” do „Żrubka”.

— Nie desperuj, delikwencie! — zażartował Sylwester. — Tak jak Conrad znany jest w Anglii nie tylko jako autor memoriału o szkoleniu oficerów marynarki handlowej, złożonego armatorom w Liverpoolu, tak i Ziółkowski znany będzie potomności nie tylko jako sprawca słuchowiska o Polewoju.

Smutne żarty. Kąśliwe przygaduszki. Tymczasem rana pulsuje w głębi. O, znał te nagłe przypływy niechęci do samego siebie. Nieraz tak gwałtowne, że przymykał oczy, by nie widzieć własnej twarzy w lustrze, tych ślepiąt wiecznie rozbieganych jakby w nieustannym lęku przed zwierzchnikami. Odwracał głowę, by nie oglądać siebie

na szklanym ekranie, tego grzecznego uśmiechu, który miał ochotę wgnieść butem w głąb telewizora. Na dźwięk swego przymilnego głosu w eterze czym prędzej zmieniał falę w odbiorniku. Brr, ta wyperfumowana swada rutyniarza! Gorzej: symptom niebezpiecznej choroby, która zaczyna się od niedowładu wyobraźni moralnej a kończy się na... Przypominał sobie celne zdanie z wiersza Leśmiana: „*A słowa się po niebie włóczą i łajdaczą i udają że znaczą coś więcej niż znaczą*”. Nie pojmował kolegów, którzy z zadowoleniem wysłuchiwali własnych audycji. Przywodzili mu na myśl zboczeńców, delektujących się podpatrywaniem defekacji. Otwierał okno, by obmyć się świeżym powietrzem, ilekroć przeszywała go myśl, że dawno już umarł, a ta bryła mięsa, przygwożdżona do biurka, nie ma nic wspólnego z „przedwcześnie zgasłym” Ziółkowskim. Słowem: „la Nausée”, mdłości istnienia, samowstręt tak silny że tylko chustkę przyłożyć do spoczonej twarzy lub wyskoczyć z okna na ulicę, by ująć wreszcie przed sobą, przed tą słodką wonią życia w rozkładzie...

Zapadłszy na „Polewoitis” (diagnoza Sylwestra), Henryk sypiał coraz gorzej. Gdyby nie chora wątroba, splukałby z siebie muł troski alkoholem, jak to czyni co drugi mieszkaniec tego kraju. Leżąc w pół śnie, sam już nieraz nie wiedział, co mu bardziej dokucza: spuchnięta wątroba czy spuchnięte sumienie, organ szczątkowy, nie widniejący w żadnym atlasie anatomii, ale chyba nie urojony. Chwileczkę: jakie sumienie? Pisarskie? Polityczne? A cóż to takiego? Docent Fraś mówi nieraz z emfazą, godną rocznicowej akademii: „Sumienie zbowidowca mi na to nie pozwala!” Jest pewnie i sumienie wopisty. Szekspir każe królowi Ryszardowi wyznać: „Moje sumienie ma tysiąc języków”. Sumienie, kwestia świadomości. Świadomość nie bierze się z powietrza. Jest odzwierciedleniem określonych warunków. Co gorsza, można nią dowolnie manipulować. Inna jest świadomość pani Bawolik czy Bawolak, ukształtowana w latach zdejmo-

wania paznokci oficerom Armii Krajowej, a jeszcze inna Basiulka, koliberka wychowanego na reklamach zagranicznych kosmetyków. Więc może nie zaprzętać sobie głowy poszukiwaniem „moraliny”, nowego środka na przeczyszczenie sumienia?

Hazdrubal, zwolennik uproszczeń i uogólnień, uważa go pewnie za wroga Rosjan. Jego, autora nagrodzonych szkiców o Turgieniewie i Czechowie! Pewnie dlatego, że jeden z braci Ziółkowskich zmarł z głodu w łagrze na Syberii, dokąd się w październiku 39 roku „udał na emigrację”. Tak się to grzecznie nazywa w oficjalnej historiografii. Takich eufemizmów używa nawet docent Frąś, który w swoich pogadankach zapuszcza się od pewnego czasu na pola zaminowane: rozwiązanie KPP, pakt Ribbentrop-Mołotow... Przed tygodniem mówił nawet o wrześniowych sukcesach oddziałów generała Andersa w lasach suchowolskich i pod Krasnobrodem. Zachwalani od rana do wieczora nadludzie radzieccy, kwiat rodzaju ludzkiego, są mu duchowo obcy, to prawda, ale ani ich nie nienawidzi ani nimi nie pogardza. Brzydzi się natomiast uciskiem, jaki tam od dawna panuje. I tymi Polewojami, którzy się przeciwko temu uciskowi, podobnie jak ten czy inny Henryk Ziółkowski w naszym kraju, nie buntują. Kto milczy, ten przyzwala. Jeśli potępiam siebie — roześmiał się w duchu z tej moralizatorskiej „dialektyki” — mam chyba prawo potępiać Polewoja? Nie rozgrzeszajcie innych, aby i was nie rozgrzeszono!

Nad ranem, gdy zmora nienapisanego słuchowiska dokuczała Henrykowi najdotkliwiej — rzekłbyś : sam Hazdrubal usiadł mu okrakiem na piersiach — postanowił wprowadzić do akcji Ślązaka, siłą wcielonego do Wehrmachtu. Dajmy na to: niejakiego Gustlika Badurę. Jeśli ten fikcyjny Badura zawczasu ostrzeże zakonników przed niebezpieczeństwem, Polewoj nie wyrośnie na jedynego bohatera powiastki. Słabiutki to, co prawda, piorunochron w godzinie burzy, ale lepszy niż żaden. Oprócz tego zabiegu ochronnego (ratuj się, kto w opinię publicz-

na wierzy!) warto by wydumać jakiegoś sceptyka w habicie. Ot, takie *votum separatum* na stronie, asekurancie alibi dla autora, gdyby go później chciano szyderczy-
mi spojrzeniami kamienować po kawiarniach. Taki niewierny Tomasz w kręgu paulinów mógłby niezgorzej zepsuć zabawę Hazdrubalowi i posłowi Gammie. Wystarczy, by w jego, Ziółkowskiego, imieniu zaczął zanieczyszczać błękitny przestwór fabuły dziesiątkiem „defetystycznych” pytań. Ale czy czujny Hazdrubal nie wykreśli tego *porte-parole* z maszynopisu? Lub, co gorsza, nie prze-
robi jego sceptycyzmu na radosną aprobatę? „Tu nie Tirana, przymusu nie ma”, swobody twórcze poszerzamy przez osiem dni na tydzień, ale — wszystko już było.

A gdyby się tak pokusić o rozgrzebanie śmietniczka, zwanego prawdą historyczną? I znieść się z tymi Paulinami, którzy w styczniu 1945 przebywali na Jasnej Górze? Gdyby choć jeden z nich napisał poufnie do Hazdrubala, że poseł Gamma zbyt pochopnie dał wiarę wersji Polewoja, gdyż w rzeczywistości przebieg wydarzeń był inny, kto wie czy Hazdrubal, asekurant z dziada pradziada, nie skreśliłby w ostatniej chwili zamówionej sztuczki z repertuaru? Nie ma się co łudzić: cokolwiek się u nas łączy z „kochanym Związuniem”, jest tabu. Nikt takiego listu nie napisze. A jeśli by nawet napisał, prezes uparty jest jak kozioł, nieufność jest jego drugą naturą, pójdzie na ustępstwo, choćby najdrobniejsze, z miejsca kojarzy mu się z ponurą wizją podcięcia gałęzi na której nie tylko sam siedzi, ale i innych wiesza. Więc co? Zachorować na kilka tygodni? To tylko podrażni jego upór i podejrzliwość. A gdyby targnąć się na swoje „dzieło”? I tuż przed premierą wykraść taśmę z gotowym nagraniem? Ten rodzaj dzieciobójstwa z pewnością nikogo nie hańbi. Był taki wypadek w latach pięćdziesiątych. Znanemu malarzowi na godzinę przed otwarciem wystawy zginęło płótno z traktorem. Nic z tego. W nomenklaturze hazdrubalczyków rzecz „pachnie sabotażem”. W najlepszym razie skończy się na zwłóce. Mając maszynopis w

tece, Hazdrubal każe aktorom nagrać tę nikczemność na nowo.

Więc co robić, by „nie dać się zwariować” do reszty? Sylwester nieraz pohukuje jak puszczyk po lesie: „Nienawidzisz tego świata, chciałbyś go wysadzić w powietrzu? Zaczynij od siebie!” Gdyby lekarstwo nie było w tym przypadku szkodliwsze od samej choroby, kto wie czy nie wypadaloby, mówiąc polszczyzną Basiulka, wyciąć koguta „nie z tej ziemi”? I odmrozić sobie uszy — ciocia na złość? A więc w ogóle nie podchodzić do biurka, tego stołu ofiarnego na którym ociekający atramentem baran sam się potulnie od lat pod nóż kładzie, nie dotykać klawiszy maszyny do pisania (jeszcze jedno narzędzie udręki), lecz przeprosiwszy towarzystwo, wymknąć się na chwilę z pokoju i — co, proszę? — powiesić się. Tak jest, nikt się z państwa nie przesłyszał: powiesić się niesmacznie na szelkach lub pasku, zostawiając w kieszeni piękny w formie a przejmujący w treści list pożegnalny z wyjaśnieniem motywów, które przyświecały organizatorowi tej demonstracji. Kopię tego dokumentu — proszę się nie śmiać! — należy za wczasu doręczyć warszawskiemu korespondentowi agencji Reutera, bo jak powiada Słowacki: „*Niechaj nas przecież widzą — gdy konamy!*” Kiks bo kiks, ale z jakim fasonem! Nic to, że prezes w czarnym garniturku, ręce złożony w małą rzyg, z rosą smutku w oku, wygłosi wzruszająco piękne przemówienie o przedwcześnie zgasłym ulubieńcu Muz, który odszedł od nas w pełni sił twórczych, w trakcie pisania sztuki radiowej o wypróbowanym przyjacielu naszego kraju, Borysie Polewoju. Jeszcze wczoraj był z nami, pełen zapału i radości, a dzisiaj żegnamy go, dobosza niestrudzonego, towarzysza walki, lojalnego do końca kolegę i przyjaciela. Henryku, tyś odszedł, ale zostaje po tobie nie tylko wierna pamięć, ale i...

Oczywiście, to żarty, ponure żarty, bo któż by w naszych czasach myślał o samobójstwie? Tu się walczy i buduje. Na histerię nie ma czasu. „Już jest dobrze, a będzie

jeszcze lepiej”. Człowiek, co tu wiele gadać, rośnie nam i pięknieje.

— Znowu krzyczałeś przez sen: „Powiesić go, powiesić!” Kogo miałeś na myśli? — zmartwiła się Helenka przy śniadaniu.

— Pewnie jakiegoś greckiego faszystę — uśmiechnął się zalotnie.

Ha, znalazł się i święty Marcin, by podzielić się płaszczem współczucia z nędzarzem:

— Wybacz ten żołnierski ton, ale i tak się od tej lewatywy pisarskiego szczęścia nie wymigasz, Mniszkówno radiofonii polskiej! — poczuł na sobie ramię Sylwestra, pocieszyciela w niedoli. — Zamiast się rzucać w pościeli jak ryba w więcierzu, nadstaw się grzecznie, póki cię pielęgniarze siłą nie przytrzymają na łóżku. Doświadczenie uczy, że bicie goryla pensjonarską piastką po muskularnej piersi gwałtowi nie zapobiega. Kto ustępuje na czas, tego chwalą, że jest roztropny i wspaniałomyślny. Kto ustępuje z opóźnieniem, ten tylko niepotrzebnie ujawnia swoją słabość. Gardzą nim potem, że stchórzył, przerażony własną odwagą. Więc po co zwlekać? Bacz jeno, by wilk był syty i owca cała. Napisz więc tak, by cię Hazdrubal wycalaował z dubeltówki i środowisko nie miało za dostawcę propagandowego nawozu...

— Kwadratura koła — jęknął Henryk.

— Hazdrubal cię w dyby nie zakuł. Sameś w nie łeb wcisnął.

— To taki system, Sylwesterku — przywdział na siebie opończę pokutnika. Tyle różnych kostiumów miał w swej garderobie! — A żyć trzeba. Tej pajęczyny, bracie, nie rozerwiesz. Stalowe ma nici. Lepiej już kochać jak podleci. Robaczkiśmy wszyscy. Każdej chwili rozdeptać nas mogą. Wielki But nad naszymi głowami. Kukielkiśmy w szopce, nieznana ręką pociągani za sznurek. Już święty Augustyn powiedział...

— Ino patrzeć jak zwiejesz w mistykę — przerwał

mu szorstko Sylwester. — Odkąd to brzuchomówcy przechodzą mutację głosu? Coś tam znowu symulujesz, Hamlecie od siedmiu boleści. Znamy się nie od dzisiaj. Już za godzinę powiesz coś zupełnie innego. Wiesz co docent Frąś opowiada o tobie w stołówce? Żeś się odważnie postawił Hazdrubalowi, wysuwając hardy warunek: sztuczkę o Polewoju, owszem, napiszesz, ale częstochowskim rymem. Dowcipne, co?

— Niezwykłe. Tylko mi nie mów, że są wolni ludzie na świecie. Są różne odmiany uwikłań. Są różne stopnie zależności.

A wieczorem, zamiast ciepłej kolacji, oczekiwał go w domu temat dziwnie znajomy: znowu o Hazdrubalu.

— Nie narażaj się prezesowi. Wiesz do czego jest zdolny. Z tym ulubieńcem niebios nikt jeszcze wojny nie wygrał — mówiła Helenka. — Napisz wreszcie to słuchowisko, bo ci żyć nie da. Nie walcz z wiatrakami! Jeszcześmy mebli nie spłacili...

— I ty, Brutusie w minispódniczce, przeciwko mnie? — próbował ją udobruchać. — „Prostoś mnie w serce ukłuła, najdroższa osobo”, jak mawiano niegdyś w sentymentalnych powieściach. Czy wiesz, co powiedział mój ojciec, gdy w piętnastej wiośnie życia napisałem nowelkę o pielgrzymce do Rzymu? „O kościele, rządzie, wojsku i Żydach, mój synku, lepiej nie pisać w ogóle, bo cokolwiek napiszesz, będzie kłopot. Pleć o wiośnie i o pierwszej miłości, a nazwą cię prawdziwym poetą!”

Ale Helenka (czyżby się jednak spotkała z Bączkiem?) nie dawała za wygraną:

— Czy wiesz, co Hazdrubał powiedział na herbatce u Stawczyków?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

— Że odkąd ci wydano w Londynie książkę po angielsku, mizdrzysz się do przeciwnika, jakbyś nie znał jego ulubionej taktyki: zagłaskać kota na śmierć. A czy wiesz co Basiulek, ta „tuba Dei”, powiedział ostatnio do żony Frąsia? Że niewygodne teksty wolisz pisać pod pseudo-

nimem. „Znamienne”, powiedziała. I że Hazdrubal nie raz się zastanawia: jak się to dzieje, że pewne stacje radiowe na zachodzie z taką zjadłością atakują jego, Frąsia, Bączka i tylu innych, ale ciebie zostawiają w spokoju? „Podejrzane”, powiedziała. Znasz chyba mentalność tego towarzystwa: skoro przeciwnik cię nie atakuje, tym samym uważa cię za swego cichego sprzymierzeńca...

— Co mam robić? — poderwał się z miejsca. — Przemycić na zachód paszkwil na siebie? Wynająć na pastnika?

— Ty już lepiej nic nie mów. Nikt nie intonuje „Sto lat” na imieninach Hazdrubala głośniej od ciebie. W jednej ze swych nowelek uwieczniłeś go jako wyrwidęba i waligórę, roznoszącego na bagnecie wrogów pod Lenino, chociaż wiesz dobrze, że facet się tam tylko politruczył.

— Chodziliśmy razem do Górskiego. Wspólna buda, jedyna w Polsce więź mistyczna. Zresztą już w starożytności zalecano: nie możesz być lwem, bądź lisem.

— Wiesz co żona Hazdrubala, ta przemądrzała żmijka, powiedziała do żony Frąsia? Że nie masz się co zgrywać po kawiarniach na szlachetnisia bez skazy i zmazy, bo gdy cię Hazdrubal wysłał służbowo do Paryża, to po powrocie do Warszawy bez większego wysiłku nakłonił cię do napisania poufnych sprawozdań z rozmów, jakie tam miałeś z emigracyjnymi kolegami po piórze. A może cię zainteresuje, co ta cycata dojarka Malinka opowiada o tobie w „Krokodylu”?

— Przestań! — zawołał. — Bo i ciebie znienawidzę!

Spostrzegł przy tym, że ilekroć Helenka zaczyna go drażnić powtarzaniem babskich plotek, brzydnie w oczach, z miejsca ropuszeje, robi się podobna do Bawolakowej. Dobrze, że nie mają dzieci. Przynajmniej nikt go nie może szantażować melodramatycznym apelem: „Jeśli już o żonie nie myślisz, egoisto, pomyśl choćby o przyszłości swych dzieci!”

Przeskakując po kilka stopni, zbiegł schodami w dół

na ulicę, by zanurzyć się w tłumie spacerowiczów. Przy-
najmniej oni nie mówią o Hazdrubalu.

Dni mijały bezlitośnie. Lepiej już nie patrzeć na ka-
lendarz. Skazaniec ma tylko jednego wroga: zegar.

Starym nałogiem chodził po pokoju jak po celi: od
ściany do ściany. Z lękiem omijał czarne pudło po środku
katowskiej izby. Spoczywała w nim maszyna do pisania,
narzędzie tortur piekielnych.

Znowu telefon. Tłusty głos tłustego stworzenia:

— Pan prezes Hazdrubal był łaskaw mnie wyróżnić
reżyserią waszego utworu, jeśli się nie mylę, okoliczno-
ściowego — ponagliła go z kolei Malinka, dziewczę hoże,
które w swym fioletowym swetrze z największym wysił-
kiem dźwiga nie tyle piersi co dwie bańki z mlekiem.
W głosie jej wyczuł pogardę i z trudem ukrywaną niena-
wiść. Ale czy można się jej dziwić? Skrzywdzono awan-
gardzistkę. Wschodzącej gwiazdzie, tęskniącej do między-
narodowego rozgłosu, marzy się teatr eksperymentalny,
a tymczasem dają jej na warsztat zakalec Ziółkowskiego.
— Słyszę, że dyrekcji się pali, że opus już gotów! Więc
może i ja, współarchitektka pana przyszłego sukcesu, do-
wiem się czegoś konkretniejszego o tej duchowej biesia-
dzie? Nie mając, niestety, czasu, by spotkać się z mistrzem
w „Krokodylu”...

I tak bym cię, tłusta plamo, nie zaprosił! — pomyślał
z niechęcią.

— ...zgłaszam się przez telefon.

— Z przyjemnością — poczuł piołun w ustach.

I zacinając się jak uczeń wywołany do tablicy, zaczął
jej streszczać fabułę jeszcze nie poczętej ramoty. Po kilku
minutach nieudanej improwizacji spostrzegł z zadowo-
leniem, że po drugiej stronie przewodu zapanowało prze-
rażenie. Malinka zgasła.

— A więc tak jak sobie myślałam — rzekła głosem
Marii Stuart, idącej pod topór. — Żaden tam Beckett
czy Ionesco. Zwykły wypiek domowy. Swojszczyzna.

— Ziółkowszczyzna! — poprawił ją z jadowitą uprzejmością.

Tonący intrygi się chwyta. Na jakiś tydzień przed upływem terminu oddania manuskryptu do „aprobaty” Henryk wpadł na pomysł, godny powiatowego Machiavella. Bez rumieńca wstydu napisał donos. Na siebie czyli... na swego zleceniodawcę. Żył dostatecznie długo na świecie, by wiedzieć że anonimów nikt nigdzie nie wrzuca do kosza. Poufny raporcik, to przysmak dla smakosza! Więcej: to promyk słońca w szarudze biurowych dni. List, skierowany do redakcji tygodnika, poświęconego krzewieniu kultury świeckiej, z pewnością trafi w odpisie okreśną drogą — Warszawa, to małe miasteczko! — do Hazdrubala, zaniepokoi go, zmusi do refleksji, i koniec końców przymusowego ochotnika uwolni od napisania słuchowiska. „Tu nie Tirana, przymusu nie ma”. Prezes da za wygraną, klechda o Polewoju legnie na cmentarzyku dzieł nienarodzonych...

Było to chyba w sobotę, na co wskazywał wypełniony po brzegi autobus „W” i okrzyki taksówkarzy pod Super-samem, domagających się po 15 złotych od łebka: musiał się już zazielenić tor wyścigowy na Służewcu i tłumek śpieszył na otwarcie sezonu.

Działął jak w transie. Pomknął do Pałacu Kultury. Brr, nie znosił tej katedry kiczu. Wjechał windą na jedenaście piętro. Pamiętał, że w drzwiach pokoju nr 1123, gdzie mieści się redakcja tygodnika o przydługim tytule: *Humanizm-Racjonalizm-Kultura laicka* dojrzał kiedyś szparę na listy. W okularach od słońca, z nastawionym kołnierzem, w rękawiczkach, trwożliwie oglądając się za siebie, z miną włamywacza wrzucił kopertę do środka. Ach, nie warto tej żałosnej epistoły przytaczać w pełnym brzmieniu. Podobne świadectwa ubóstwa moralnego nie pogłębiają naszej wiedzy o świecie i życiu. Wystarczy więc zacytować choćby taki fragment:

„Jestem aktywnym członkiem Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej. Pracuję w F.S.O. na Żeraniu. W chwilach wolnych od pracy zawodowej rozczytuję się w pismach klasyków marksizmu-leninizmu. Szczególnie zaś interesuje mnie religioznawstwo i dlatego też piszę do Szanownej Redakcji w sprawie, która żywo poruszyła mnie i moich kolegów. Otóż w naszym zakładzie pracy rozeszły się pogłoski, że rozgłośnia warszawska powierzyła jednemu literatowi w Warszawie napisanie sztuki radiowej o... O.O. Paulinach na Jasnej Górze, i to z pozycji fideistycznych! Wielu z nas zadaje sobie pytanie, czy polityka partii wobec kościoła i religii uległa aż tak gruntownej zmianie?

Zaniepokojony aktywista z Żerania”.

Ach, ty draniu — uśmiechnął się do siebie i poczuł na twarzy gorącą radość samoudręki. — Ziółkoszczak, daj grabę! Nie posądzałem cię aż o takie wyżyny hazdrubalizmu. Nareszcieś wydorósł! Bijesz przeciwnika jego własną bronią.

Z niecierpliwością oczekiwał dalszego rozwoju wydarzeń. Czy krzewiciele kultury świeckiej ogłoszą ten list drukiem? Czy udzielą nań odpowiedzi? Czy poinformują o donosie kogo trzeba? Czy rzecz dojdzie do Hazdrubala? Czy naiwna intryga nie spali na panewce? A nuż jakiś głuptas rzeczywiście wrzuci anonim do kosza? Mało to tępaków siedzi teraz po redakcjach? Nadprodukcja ćwierćinteligencji, to jedna z większych zdobyczy naszych czasów.

W dwa dni później, przygarbiony dziesiątkiem domysłów, szedł w zamyśleniu Krakowskim Przedmieściem, nie widząc seledynu nieba nad głową ani wiosennie rozfalowanej studenterii dookoła, gdy tuż przed bramą uniwer-

sytetu wpadł niespodziewanie na Frąsia. Znowu na Frąsia!

— Cóż za zbieg okoliczności! — docent zagroził mu drogę. — Świetnie, że was widzę! Słyszając, że Hazdrubał wrobił was w słuchowisko o Polewoju, zainteresowałem się tą sprawą i — co się okazało? Jeden z moich znajomych, nazwiska nie wymieniam, bo i po co, ktoś, kto w hierarchii Zgromadzenia... ale o tym ani słówka!... był naocznym świadkiem tamtych wydarzeń. Poprosiłem go więc, ot, taka koleżeńska przysługa, drogi mistrzuniu, by spisał co pamięta, na dwóch-trzech kartkach papieru...

Uczynny Frąś z miną świętego Mikołaja, który zaraz wypakuje podarki dla grzecznych dzieci, oparł pękata teczkę o kolano, dość długo w niej gmerał, aż znalazł jakiś pomięty papierek.

— O, pardon! To nie to! — mrugnął chytrze oczkiem. — To notatki do ciągle jeszcze niewyświetlonej „sprawy braci Mołojców”. Dreszczowiec. Kulisy wielkiej gry. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment, ale jeśli do tej beczki z prochem wrzucimy któregoś dnia płonąca zapalkę, wióry z tronu i strzępy królewskich portek polecą pod niebo. O, jest tutaj wasza Częstochowa, nieco potłuszczona od bułeczki. Poufnie, ma się rozumieć, i do zwrotu. Włączcie i ten opis do swojej kolekcji. Może się na coś przyda?

Walcząc z nieufnością i siłąc się na obojętność, — Frąś miał za dobre stosunki z „ulicą Rakowiecką”, a jego cudownie upiersona żona, porzuciwszy po wypadkach marcowych fryzjerstwo, pisywała do pism kobiecych artykuły obnażające powiązania światowego żydostwa z imperializmem amerykańskim — Henryk rzekł do nieoczekiwanego ofiarodawcy:

— Bóg zapłać za fatygę. Mam już wprowadzić masę wiarogodnego materiału, ale do zweryfikowania innych relacji przyda się na pewno. Co prawda, moje słuchowisko, jak wiecie, to nie praca magisterska...

— ... ale syzyfowa! — roześmiał się Frąś hałaśliwie.

— Wszystkie Minerwy, które wyskakują z czoła Hazdribala, są do chrzantu tarcia!

— Hadko słuchać, panie docencie!

— Jak wiecie, nie jestem antysemitą... — rzekł Frąś na odchodnym.

Henryk, wiedząc że niemal każdy „antysyjonista” taką właśnie deklaracją poprzedza swój występ, czekał cierpliwie na nieodzowne „ale”.

— ... ale zastanawiam się nieraz czy ten Hazdribal... Nazwisko, sami przyznacie, raczej podejrzane. Wyście chodzili z nim do szkoły... Czy nic nie obito się wam o uszy? Kto wie, czy i on nie jest przypadkiem, jak się to mówi, kozikiem ochrzczony?

— Ojciec jego był polonistą.

— To o niczym nie świadczy — uśmiechnął się docent. — Wręcz przeciwnie: o n i chętnie się garną do naszej kultury. I jeszcze jedno: czy nazwisko Zalcman nic wam nie mówi? Taki smutny „beduin” w binoklach, tłumacz z rosyjskiego, pisywał sonety. To on był niegdyś pierwszym mężem siostry Hazdribala. Ciekawe, co? Zalcman jedzie z odczytem do Kopenhagi, prostować kłamstwa o antysemityzmie w PRL. Sam mu się wystarałem o ten wyjazd.

— Przecież Zalcman jest... pochodzeniowcem.

— Właśnie dlatego. Innemu by nie uwierzyli.

— I on się zgodził?

— Co się nie miał zgodzić? Uczciwa transakcja: jeśli się wywiąże z zadania, dostanie dla całej rodziny paszport na emigrację. *Gentlemen agreement*, można powiedzieć.

Henryk już w najbliższej bramie ręcznie spisana relację Paulina przebiegł chciwym wzrokiem. Nie miał fachowego oka Hazdribala, Frąsia czy pani Bawolik, by ocenić autentyczność zeznania, ale charakter pisma z miejsca wbudził w nim zaufanie do świadka. Wyraźne, z lekka drżące, po staroświecku wykaligrafowane literki przywiodły mu na pamięć listy nieżyjącego już ojca. Ciekawe

jednak, skąd, dlaczego i przeciwko komu docent Frąś wytrzasnął ten papierek? Czy tylko przeciwko prezesowi?

„Notatka naocznego świadka — z prośbą o dyskrecję.

„Szesnasty lub siedemnasty stycznia. Dokładnej daty nie pamiętam. Ale łatwo sprawdzić: we wtorek to było. Niemcy w mieście i na górze. Starszyna zamknęła się w Królewskich Pokojach. Zbliżał się front. O trzeciej po południu trzy czołgi radzieckie wjechały do miasta. Jeden z nich aż pod wielki plac przed klasztorem. Inny na Aleję Sienkiewicza. Po schodach chciał wjechać na górę, ale nie zdążył. Niemcy zniszczyli je przy pomocy „Panzerfaustu”. Ranny czołgista, zanim spłonął wraz z czołgiem, oddał kilka strzałów z działka. Jeden pocisk, ścinając modrzewie, trafił w ścianę klasztoru. Widziałem to z góry. Ojcowie i bracia po południu odmawiali przepisowe modlitwy. Wieczorem, gdy wyrząłem na dziedziniec, nie wiedząc czy Niemcy są jeszcze w mieście i pobliskich bunkrach czy już się wycofali, zobaczyłem dwie ciężarówki. Jedna, naładowana maszynami do pisania, stała w płomieniach. Na drodze od samochodu do pobliskiego magazynu leżały mundury i koce wojskowe, przepojone naftą lub benzyną. Kilka koców się paliło. Ojcowie i braciszkwowie pod kierunkiem komendanta ochotniczej straży pożarnej, prof. Mąkoszy, odrzucili płonące koce i zbudowali wał ochronny, z lodu i śniegu. W tym czasie ciężarówka spłonęła. Gdyby się ogień po kocach i strudze benzyny dostał do magazynu, klasztor mógłby się spalić. Niedaleko były obory, pełne słomy.

„Nadeszła noc podczas której miasto i klasztor były niczyje, bo jeszcze Rosjanie nie weszli, a Niemcy już się wycofali. Nazajutrz o siódmej nad ranem wojska sowieckie weszły do miasta. Dopiero w dzień później przybył do klasztoru ich dowódca. Chciał obejrzeć obraz, powiedział że uszanuje sanktuarium i nie będzie u nas kwaterować żołnierzy. Co do beczek prochu czy też baniek z benzyną, pozostawionych przez Niemców, tej sprawy

nie znam. O depozycie bomb lotniczych i maszynie piekielnej nie słyszałem. Sprawa min: klasztor podminowany nie był. Miny mogły być jednak założone poniżej, na placu. Wiem, że ich później saperzy szukali. Czy klasztor uległby zniszczeniu, gdyby miny te wybuchły? Myślę że nie. Za mała siła wybuchu. Niczego więcej po tylu latach już nie pamiętam”.

Hm, niezła kołomyjka!

Komunikat PAP'a (28. I. 1970) pod tytułem „Piekielna prowokacja: Niemcy chcieli wysadzić klasztor po zajęciu Częstochowy przez wojska radzieckie” mówi o „dwustu bombach lotniczych zakopanych pod Jasną Górą”, poseł Gamma w liście do „Głosu Kurii” (15. II. 1970), powołując się na Polewoja, wspomina o „dużym ładunku wybuchowym bezpośrednio pod kaplicą, w której mieścił się cudowny obraz”, podczas gdy informator Frąsia, anonim w habicie, przypomina sobie tylko ciężarówkę i wojskowe koce w płomieniach.

Co dziwniejsze, sam Borys Polewoj w wywiadzie, nagrany na taśmę magnetofonową w Moskwie, (właśnie Basiulek przez gońca przysłał Henrykowi ten „bezcenny dokument” z upomnieniem, by go nie zgubić, gdyż Hazdrubał przyrzekł taśmę dyrekcji Muzeum Wojska Polskiego) jakby przewidywał wątpliwości późniejszego badacza, skoro w relacji jego pojawiają się zdania: „Benzyną trudno byłoby zniszczyć taki ogromny budynek... Zwiadownicy donieśli nam, że Niemcy zaminowali wzgórze, na którym znajduje się klasztor, za pomocą bomb lotniczych. Nie wiedziało o tym miasto, nie wiedzieli zakonnicy. Niemcy ryli jak krety... Alosza Kapustin powiedział nam, że gdyby nastąpił wybuch, to zniszczeniu uległaby główna nawa i ołtarz a także i ta część gdzie są groby sławnych Polaków i Obraz”.

Czyżby i Polewoj wersję o zaminowaniu klasztoru znał z drugiej ręki?

I pisz tu, niewydarzony detektywie, w zgodzie z prawdą historyczną i własnym sumieniem, słuchowisko

radiowe o „właściwym wydźwięku”! Nawet, jeśli twój „dajmonion”, ofiara niejednej awarii życiowej, już nieco ugładzony i skorumpowany. Wystarczy przemycić ziarnko nieufności lub aluzję między wierszami, a rzuca się na ciebie, żeś „element antyradziecki”, pomniejszyciel historycznej zasługi lub „obrońca Niemców”.

Jeszcze pięć i pół dnia do oddania zeszytu z klasówką. „Do zniesienia jajka”, jakby beztrząsco zaszczebiotał Basiulek.

Telefon od Sylwestra:

— Czy znałeś Zalcmana? Kiepski pocina, tłumacz jeszcze gorszy. Przypominam sobie jego rzewnie groteskowy występ na zebraniu POP’u, jeszcze przed Październikiem — „Mojemu ojcu w Brześciu Kujawskim, przed tamtą wojną — powiedział Zalcman — śniło się, że w ścianę płaczu w Jerozolimie uderzył piorun. Przerażony pobiegł do rabina z prośbą o wyjaśnienie snu, a rabin mu odpowiedział: „Niech sobie Żyd takimi sprawami głowy nie zaprzęta! To nie jest sen dla biednego szewca, to jest sen dla barona Kronenberga!”. I dopiero wtedy, w sferze nadbudowy, że tak powiem, a nie w zetknięciu się z bazą gospodarczą, mój ojciec uświadomił sobie, że są bogaci i biedni Żydzi, i powiedział do mnie: „Mietek, jak podrośniesz, zostaniesz komunistą!”. Po tej wypowiedzi, pamiętam, ktoś powiedział ironicznie: — „Gdyby nie sen waszego ojca i odpowiedź rabina, partia Marksa, Engelsa i Lenina nie miałyby w swoich szeregach towarzysza Zalcmana”...

— Więc co z tym Zalcmanem? — spytał Henryk z niechęcią, zajęty myślą o Polewoju i Paulinach.

— Tej nocy — odrzekł Sylwester — odebrał sobie życie.

Nie mogąc znieść widoku swego biurka, pobojo wiska tyłu przegranych bitew, Henryk wymknął się na miasto. Ledwie przycupnął w barku kawowym, w „Europejskim”, a już dobiegł go cokolwiek za kordialny okrzyk

Strumiły, aktora któremu Hazdrubal powierzył rolę Polewoja „ze względu na ciepło w głosie”.

— Siadaj koło mnie, kochanieńki! Miejsce wolne! — obciągnął czarny sweter pod marynarką z Cedetu, — szysk St. Germain z Muranowa. — Podobno nowe „Dziady” dla mnie piszesz? Bohaterem pozytywnym mnie obwołałeś, Heniu? „Czy to aby nie przesadyzm? — jak mówi u nas pewna krowienta.

Jakie tam „ciepło w głosie”? Zwykła pijacka chrypka. Ile złotych na surowo będzie musiał wbić nasz sławny recytator w gardziółko, zanim swoim chropowatym strunom przywróci lepkość lipcowego miodu, tego miodu który tak bardzo cieszy uszy organizatorów akademii rocznicowych?

— To nie był mój pomysł — odrzekł Henryk. — Pan każe, sługa musi. Każdy orzeł, jak może. Wpływ autora na własną twórczość jest dzisiaj mniej więcej taki jak wpływ meteorologa na stan pogody w kraju. Ja, agnostyk, ja którym się niegdyś w szeregach „Płomienistych” potykał politycznie z korporantami, śpieszącymi na „śluby częstochowskie” i zbiorowy pacierz za zwycięstwo generała Franco, mam się teraz, po wielu latach, stać piewcą fideizmu? Gorzej: mam okłaskiwać jakiegoś Kmicica w krasnoarmiejskim wydaniu! Nic z tego nie rozumiem. Niedługo mi szkaplerz z czerwoną gwiazdą zawieszą na szyi.

Zniżając głos, Strumiłło zaczął się żalić:

— Narzekasz na swój los, a przecież nie ty jeden żyjesz dzisiaj z żabą w przełyku. Myślisz, że nam, premiowanym eunuchom w lupanarze Melpomeny, jest lepiej? Nic podobnego! Mieliśmy w „Ateneum” wystawić *Dialogus de Passione*, rzecz opartą na tekstach staropolskich. Jak to u nas: swobód twórczych nikt nie tłum, ale sztuka poszła do aprobaty. A że męka Chrystusa, to temat drażliwy, aż trzy moce piekielne za nią się wzięły: Główny Zarząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, Wydział Kultury przy Stołecznej Radzie Narodowej oraz

Komitet Warszawski PZPR. Na próbach zaczęły się zjawiać lotne komisje kontrolne, wzmocnione „czynnikami społecznym” czyli „głosem ludu”, bo niedobrze jest, jak wiecie, żeby się twórcy odrywali od mas. No, i zaczęło się! Temat dla Mrożka! Przedstawiciel ORMO zażądał zmian w tekście. „Pałkę” zmieniliśmy na „różgi” a „kajdany” na „sznurek”. Jakiś teatrolog z gazowni miejskiej oświadczył, że biblijny arcykapłan Annasz nie ma prawa pojawiać się na scenie w czerwonej szacie, bo to kolor klasy robotniczej i jako taki nie może być hańbiony przez postać negatywną. Przyjemne, co? Potem nasza stara znajoma, pani Bawolikowa z Ligi Kobiet, powiedziała, że tym razem mądry Polak p r z e d szkodą, że wszystko należy na czas przewidzieć, wyciągając właściwe wnioski z doświadczeń niedawnej przeszłości. I dlatego też Szymon Cyrenejczyk nie powinien się pojawiać na scenie a) z krzyżem b) w stroju chłopskim c) na bosaka. Dlaczego? Ano dlatego, kochanienki, że rewizjoniści nie śpią. Na sali mogą się zerwać oklaski a następnego dnia w prasie zachodniej ukążą się depesze wyjaśniające aluzję reżysera: obecny ustrój, to dla ludzi pracy istny Krzyż Pański. Ale rekord w dmuchaniu na zimne pobił biegły w ortalionowym płaszczyku, doktorant z „wydziału specjalnego”, mówiąc że sztuka w niekorzystnym świetle ukazuje przedstawicieli władzy z Piłatem Ponckim na czele i budzi niewskazane skojarzenia polityczne. Jakże? Przekupywanie Judasza przez zauszników władzy, okrucieństwo żołdaków pastwiących się nad Chrystusem, bądź co bądź więzieniem politycznym, scena bicia tłumu w jerozolimskim zaułku, zaledwie w dwa lata po wydarzeniach marcowych, — wiadomo o co chodzi... „Nas na te kawały nie nabierzecie! — powiedział biegły. — Czemu nie powiecie wprost: Aleje Jerozolimskie? Odwagi nie macie? Wolicie strzelać zza węgła?”

— I co się w końcu stało z tą sztuką?

— Premierę odwołano.

— Nie mogliście się poskarżyć na wyższym piętrze?

— Poskarżyć się? — Strumiłło wytrzeszczył oczy.
— Zadrzesz z piaskami na dole, zagryzą cię brytany na górze. To przecież jedna psiarnia.

— Jakiś nowy Castro, „Che” Guevara, Ondraszek, Janosik przydałby się w tym kraju! — wykrzyknął Henryk. — Ktoś, kto wreszcie wyprowadzi ten naród z krypty wytrzeźwień! Gnuśniejemy, zadowoleni z własnego letargu. Trzeba było się zabarykadować w teatrze, budę puścić z dymem, komisję jaskiniowców kijami przepędzić, ministra smołą oblać! Polsko, twoja zguba w potulności! A tak, a tak, nie przerywaj mi! Robią z nami co chcą. A dlaczego? Bo za wiele każdy z nas ma do stracenia. Niewolnicy martwych przedmiotów! W ćwierćwłasności nasza klęska. Ach, gdybyż to kajdany! A tu stracić można meble, samochód nie splecony, książkę złożoną w lektoracie, przyrzeczony rejs do Meksyku...

Strumiłło, mimo ciepła w głosie, uśmiechem się brzydził. Był to aktor z gruntu smutny, smutny jak Polak bez wódki, ale tym razem nagle cały rozpromieniał, olśniony własnym odkryciem:

— Lepiej już, kochanieńki, uderzyć się w piersi niż być kopniętym w tyłek!

„Filozofia życiowa” na miarę spadkobierców zamachowców na Skąłona i „żywych torped”! Warto było dożyć takich czasów.

Na pożegnanie Strumiłło zapytał:

— Wybiera się do mnie w odwiedzin siostrzeniec z Londynu, syn emigracyjnego „jastrzębia”, Kalinowskiego...

— ...Kalinowskiego! — powtórzył Henryk i poczuł ukłucie pod sercem.

— Czy sądzisz, że mógłbym mieć z tego powodu jakieś przykrości? Czy oni to gdzieś odnotowują?

— Nie moja branża. Zapytaj się Frąsia. On jeździ na polowania z właściwymi ludźmi. Ja jestem od kultu Polewoja, wybawcy Częstochowy.

— Strumiłło ma rację — orzekła Helenka przy kolacji. — On jest przynajmniej sobą. A ty niepotrzebnie zgrywasz się na buntownika. Znamy się, syneczku, nie od dzisiaj. Nie nakładaj frygijskiej czapeczki na siwiejące kędziory, bo ci w niej nie do twarzy.

— W ortalionowym płaszczyku i policyjnych kamaszach podobałbym ci się bardziej?

— Nieostrożny jesteś! Bączek mówi, że już po przemówieniu Gomułki w Pałacu Kultury widziano cię z Jasienicą, Kisielom i Słonimskim. Pobitemu Kisielowi posłałeś czuły liścik, Jasienicy zaś w biały dzień, na ulicy, długo i serdecznie ścisnąłeś dłoń...

— Nieścisle: wycalaowałem go z dubeltówki.

— Jeśli pułkownik wie o tym, to znaczy, że ktoś napisał na ciebie raport. Że mają cię na oku.

— Niech mają. Gwiżdżę na nich.

— Ale wtedy, w lutym 68-ego, na zebraniu literatów w sprawie zakazu „Dziadów”, to cię nie było, bohaterze!

— Miałem anginę!

— Sam w to nie wierzysz!

— A gdy wyzdrowiałem, nakleiłem w nocy na płocie kartkę z cytatem: „Oni wyszukują przyczyny, by uniwersytety znieść, krzyknąć jakubiny — Dziady, cz. III”.

— Winkelried! Można powiedzieć. Dziewica-bohater, Emilija Plater!

Nie dość na tym! Zażyła go jeszcze z „intelektualnej” mańki:

— Żal mi cię, niewyżyty harcmistrzu! Miotasz się, biedaku, trykasz głową w gumową ścianę, nie wiedząc co się za nią kryje. Brak ci perspektywy i dystansu w ocenie zjawisk i ludzi, co zresztą odbija się na twojej twórczości. Czy się zastanawiasz nad umownością, gorzej: nad względnością motywów ludzkiego działania? Czy nie dajesz ci do myślenia fenomen wymienności naszych postaw i poglądów? Czy nie widzisz, jak cienka i krucha jest ta

szybka, która dzieli konspiratora od policjanta, męczennika od prześladowcy, heretyka od dogmatyka, misjonarza od ludożercy, Ziółkowskiego od Hazdribala? Więc po co się bawić, syneczku, w podejrzone pryncypializmy?

Henryk zatkał sobie uszy. Helenka w roli myślicielki! Świat się kończy! Ciekawe, gdzie się natykała tych mądrości?

Znikąd pomocy. Znikąd otuchy. I wciąż to samo: poddaj się! Dlaczego się wzajemnie namawiamy do uległości? Czy im więcej oportunistów dookoła, tym lepsza nasza kondycja moralna? Inni, to nie tylko piekło, ale i instancja rozgrzeszająca. O ile łatwiej usprawiedliwić się przed sobą, przywołując na pomoc statystykę: przegłosowali mnie, uszanuję więc wolę większości...

Nowa ostroga w bok. Żeby się koń przypadkiem w ziemię nie zarył przed wzięciem przeszkody. Jeszcze jeden element „obróbki psychologicznej” autora, — specjalność prezesa. Goniec na motocyklu przywiózł odręczny list Hazdribala. Na kopercie czerwieniły się kulasy Basiulka: „Bardzo pilne! Doręczyć za pokwitowaniem!”, sygnal że Wisła się pali.

„Mój drogi, mam dla Ciebie dobrą nowinę: Twoim słuchowiskiem o Polewoju udało mi się zainteresować przyjaciół z ambasady radzieckiej. Sam radca Wołkow, którego ojciec walczył jako czołgista pod Częstochową, podjął się przekładu. Jeśli się pośpieszysz, dublet zapewniony: jednoczesna premiera u nas i w rozgłośni moskiewskiej. Więcej już dla Ciebie zrobić nie mogę. Pozdrowienia od 'duchowego inseminatora' (tak mnie przecież nazywasz na mieście) — Peemge! — H.”

„Peemge” czyli: „pocałuj mnie gdzieś!”. Tym sztubackim okrzykiem pozdrawiali się kiedyś w szkole. Ho, ho, zimny drań przypomniał sobie, że chodzili do tej samej budy! Musi być w dobrym humorze. Pewnie się do

syta wytarzał z Basiulką na biurowej kozetce. Znowu jakaś życzliwa dusza napisała donosik. Premiera w dwóch stolicach, „sam radca Wołków podjął się przekładu”. Nic, tylko upić się z radości!

Pierwsza od wielu miesięcy sprzeczka z cierpkim trubadurem, Osińskim, który raz się przebiera w spencerek sceptyka, drwiącego ze wszystkich i ze wszystkiego, to znowu, chyba z przekory, symuluje zapal kontraktowego optymisty. Nie wiadomo co gorsze. Na wieczornej przechadzce, gdy razem wyprowadzali niewidzialnego psa na spacer, Sylwester powiedział:

— Brak ci cierpliwości, Henryku Niepobożny! Czy opowiadałem ci już w jaki sposób wyleczyłem kiedyś pacjenta, który zajał się staniolem a czekoladę wyrzucał do kosza?

— Nie, nie opowiadałeś — skłamał Henryk. Znał ten popisowy numer przyjaciela na pamięć, ale nie chciał mu psuć zabawy. — Umieram z ciekawości.

— Grunt to cierpliwość i wiara w lepsze jutro. Nie można przeskakiwać etapów. Jest czas siania i jest czas żniw, mówi Pismo. Zanim tego biedaka oduczyłem pierwszego stadium, namówiłem go do jedzenia czekolady r a z e m ze staniolem, mądre co? I dopiero po tym okresie przysłała kolej na stopniowe rozstawanie się pacjenta ze staniolem...

— Do czego zmierzasz?

— Trzeba stawiać na ewolucję. Był czas, gdy kazano nam wyrzucać czekoladę i odżywiać się staniolem; dzisiaj przeżywamy etap przejściowy: jemy towar razem z niestrawnym opakowaniem, ale nadejdzie dzień, że jeść będziemy samą czekoladę, a staniol wyrzucimy na śmietnik historii...

— Znam tę piosenkę: „już jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej”. Kulą w płot, Gerwazeńku! Wiara w stopniowe przemiany na lepsze, w samoczynne a błogosławione w skutkach działanie Przenajświętszej Ewolucji, ta nowa

religia wygodnych i letnich, to nie tylko grzechotka, to cmentarz naszych nadziei...

— Znasz alternatywę?

— Zamordyzm tylko udaje, że się lęka tej stawki na erozję i na cudotwórcze właściwości czasu przyszłego. W istocie zaś boi się jedynie gwałtownego wstrząsu, trzęsienia ziemi, tego co się może wydarzyć dzisiaj, teraz, natychmiast. Odkąd u nas jakiś beztroski mędrzec zawyrokował: „Im lepiej, tym lepiej!”, wszyscy bezmyślnie powtarzają ten groźny banał. Tymczasem jest zgoła inaczej: im gorzej, tym lepiej. Bo tylko to „gorzej” może unieść wieko znad naszych głów. I dlatego, jak za Mickiewicza, o piorun z jasnego nieba modlimy się, Panie...

— ...aby nie tylko przypalił komunistyczną jajecznicę, ale i spalił nasz polski dom, dopiero co z gruzów dźwignięty — zaprotestował Sylwester. — Niezły z ciebie patriota!

— Zawsze ten sam szantaż!

— Sam w tę receptę nie wierzysz, drapieżniku z plasteliny, ale powarczeć w rękaw nie zaszkodzi. Tajny radca z Wejmaru nazywał przekleństwo stolcem duszy. Znam te objawy, Henryku. To nie są poglądy, to zwykły obrzek wątroby.

I kto to mówi! Przyjaciół Sylwester! Ten sam Sylwester, który wpadł kiedyś, rozdygotany, do klubu literatów i duszkiem wychylił kilka wódek, wołając na całą salę: „Pod zdjęcie 'Dziadów' z afisza Teatru Narodowego — cyk! Pod marcowe zwycięstwo ORMO — cyk! Pod piękne przemówienie Sołtysa w Pałacu — cyk! Pod wejście naszych chłopców do Czechosłowacji — cyk! Pod wypędzenie Arian i zdemaskowanie Jasienicy — cyk!”

A teraz powiada:

— Gimnastyka języka! Szanuję pisarza, który powiedział: „Pokłoniłem się cierpieniu ludzkiemu”. Raża mnie natomiast ci literaccy gładysze, którym dramat narodu dostarcza podniet do kawiarnianych jeremiad i mętnego rezonerstwa...

— ... rzecz przez radio docent Władysław Frąs i jego pojęty uczeń — Sylwester Osiński, człowiek z którym wtedy, przed dwudziestu laty. .

Henryk, raz wdrapawszy się na trybunę (a może tylko na Hyde-parkową „skrzynkę od mydła”?) politycznego maksymalizmu i moralnej konsekwencji, z trudem panował nad sobą:

— Co się stało z tym narodem spiskowców, szaleńców bożych, anarchistów, konspiratorów, którzy kiedyś bombami rzucali w policmajstrów? Nie przechwalajmy się, że odwaga staniała, bo rozum podrożał! Hłasko słusznie napisał, że w czasie największego nasilenia terrozu oprawca Różański spacerował bez osłony po Nowym Świecie i nikomu z przechodniów nie przyszło do głowy, by zgotować mu los Kutschery. Czy strzelił ktoś po wojnie do trybuny na której właściciele tego kraju przyglądali się defilującym pariasom? Czy ten lud raz na zawsze oduczył się gniewu? Na Węgrzech rozrywano awoszów na strzepy, u nas wywożono kacyków na taczkach, by ich później z powrotem posadzić za biurkami.

— Nie uczono cię w szkole — przerwał mu Sylwester — przy ilu stopniach Celsjusza woda zaczyna kipić w garnku? Nie wiesz, jakie czynniki wpływają na dojrzewanie sytuacji rewolucyjnej? Czego się znowu pieklisz, imitacja Herostratesa? Chcesz się porwać z motyką na słońce? „Nie przebierać, kochać jak podleci!” Chętnie cytujesz maksymę legendarnego chorążego Orzeszki, ale sam domagasz się rzeczy nieosiągalnych. Źle skończysz, rozdarta sosenko!

— Wolę być rozdartą sosną niż drżącą osiką. Najgorszą stroną niewoli jest nie ucisk polityczny, lecz deformacja psychiki zniewolonych. Otóż to: toczy nas hipertrofia dojrzałości politycznej, synonim lęku. Wszystko rozumiemy, wszystko wybaczymy, mierząc zamiar według sił. Orzeł odgryzł sobie szpony i spaceruje wśród domowego ptactwa. Niech tylko tłum wyjdzie na ulicę, od razu go do Przenajświętszej Rozwagi, Macierzy Lepszej Przy-

szłości, wzywać zaczął po społu: sanhedryn partyjny, Episkopat i zagraniczne rozgłosnie. Padnie przestroga przed „prowokacją, ulubioną bronią wroga”, usłyszymy o bolesnej lekcji Węgier i Czechosłowacji, poczęstują nas niezawodnym kubłem zimnej wody: położeniem geopolitycznym. Skąd, u licha, ten nagły a zbiorowy kult rozważi i rozsądku, obiektywnie wychodzący na zdrowie wrogom wolności i demokracji? Gdybym był dyrektorem więzienia, w każdej celi umieściłbym napis: „Bądźcie roztropni!”. Nie brak w dodatku mędrców na Zachodzie, którzy nas krzepią coraz to pomyślniejszymi wiadomościami: oto już doszło do rozłamu wśród austriackich i islandzkich komunistów, ferment w belgijskiej i francuskiej KP w wyniku agresji na Czechosłowację rośnie z minuty na minutę, towarzysze włoscy znowu skrytykowali doktrynę Breżniewa na łamach *L'Unità*! Rzekłbyś: już świta, już grają skowronki, już wolność przybliży się k'nam; cała nasza nadzieja w zachodnioeuropejskim komunizmie, ten ci jest Jozue utęskniony, którego puzon rozwali mury niewoli! Inni znów wyznaczają nam łaskawie rolę odwilżowego bakcyła na wschodzie, postępowo-liberalnego ogona, który będzie kiwał konserwatywnym psem na Kremlu. A całe to eciepecie sprowadza się do jednego: „Śpijcie grzecznie z rączkami na kołdrze! Nie bawić się zapawkami!”

— Przerażasz mnie swoją naiwnością — odparł Sylwester. — Czy nie znasz najnowszej historii Polski? Niezabliżnione wspomnienie powstańczej hekatombi, powojennych pacyfikacji, jałtańskiego wiarołomstwa Zachodu, jego nieustanny flirt z Moskwą, i to atawistyczne przeświadczenie, odziedziczone po okresie zaborów i okupacji, że ucisk obcych jest czymś bez porównania boleśniejszym niż totalizm, powiewający narodową chorągiewką, że lepiej już siedzieć w celi pomalowanej w biało-czerwony deseń niż korzystać ze swobód obywatelskich w nieswoim hotelu. Bunt ci się marzy? Pamiętaj o koszmarze, który w czasie wojny prześladował niejednego dowódcę kom-

panii: podrywasz swoich ludzi do natarcia, wybiegasz z krzykiem pierwszy, po chwili oglądasz się za siebie i stwierdzasz z przerażeniem, że biegniesz sam, nikt nie pobięł za tobą...

— Wiem o tym!

— Sprzymierzeńcy? Zaprą się ciebie, zanim klakson koguci rozlegnie się o świecie!

— Wiem o tym!

— Nie zapominaj wreszcie, że w każdym społeczeństwie, jak uczą dzieje ustrojów antydemokratycznych, znajdujemy — przykre, ale prawdziwe! — wysoki procent ludzi, którzy, owszem, mogą pomstować na kryzys gospodarczy czy wyzysk socjalny, ale brak swobód demokratycznych ani ich nie ziębi ani ich nie parzy, którzy się utożsamiają z takim porządkiem politycznym, jakim ich w danym momencie historycznym obdarzono...

— ... albo też są tego porządku beneficjentami! Mają niezłe posadki...

— ... lecz belki w oku swym nie widzisz!

— ... pisuję niewinne liryczne wierszyki. Fauna niebieska! Znamy tych praktycznych zaziemców, te elfy i skrzydlate duszki, niezgorzej zorientowane w kursie dnia.

— Ty też się nie podpalasz na Placu Defilad, chociaż o samospaleniu czeskiego studenta mówisz z drżeniem w głosie. A swoją drogą, z towarzysza Ziółkowskiego wyszło dzisiaj prymitywne, antysocjalistyczne szydło.

— Antyfaszystowskie — sprostował. — Nie żałuj sobie: napisz na mnie donos do Hazdrubala lub Frąsia.

— Żal mi cię. Twój świat jest zanieczyszczony publicystyką. Poczytaj klasyków. To cię oczyści.

— Pomyśleć tylko, że w konspiracji obrałeś sobie kiedyś pseudonim „Czupurny”!

— Jeśli ci naprawdę tak źle w naszym kraju — rozeźmiał się cierpko Sylwester — opuść go na zawsze. Szczęśliwej podróży!

— To nie jest takie proste — westchnął Henryk. — No, ale dość tych duserów na niedzielę dzisiejszą. Śpij

dobrze, przyjacielu! Niech ci się nasza wspólna znajoma przyśni! Wiesz już która...

— Prostack! — obraził się Osiński.

Znikąd pomocy. Znikąd otuchy. I wciąż to samo: poddaj się!

— Bardzoś się ostatnio zmienił — dobiegł go przy śniadaniu głos Helenki. — Dawniej taki nie byłeś.

— Starość nie radość — wzruszył ramionami. — Przekwitam. Wolno, ale skutecznie.

— Przy obcych odżywasz, zamieniasz się w tajfun humoru, tornado dowcipu, orkan wesołości...

— I nieboszczyk zastuka czasem w wieko swej trumny! A co dopiero pochowany w letargu!

— Nowa twarz przy stoliku kawiarnianym z miejsca cię uskrzydla, bawisz całe towarzystwo, najchętniej własnym lub moim kosztem, — myślisz że nie wiem jak mnie nazywasz? „antyżoną”, „wdową po Ziółkowskim” mnie nazywasz! — ale ledwie zamkną się za tobą drzwi naszego domu, zaraz posępniejesz, milczysz jak grób.

— Przesadzasz — pogłodził ją po ręce — nie jest tak źle. Normalne, życiowe kłopoty. Nerwy mamy zepsute, wojna odzywa się po latach...

W istocie zaś od dawna już nie wiedział, co ich właściwie łączy ze sobą. Czy nie istnieją przypadkiem p r z e c i w k o sobie? Czy przywiązani są do siebie czy do pała męczarni? Gdy się jej ukradkiem przyglądał przy stołowej lampie, opływała go fala współczucia. Litość: niedobre, chrześcijańskie uczucie. Nikt nie lubi ludzi, którym nie przyniósł szczęścia. Miał ją na sumieniu, — ta świadomość dokuczała mu od dawna. Tylokrotnie wystawała, biedula, przed więzienną bramą. Ile nocy przez niego nie przespała, ile biedy, lęku i upokorzeń zaznała w życiu! Tylko dlatego, że nosiła jego nazwisko. U jego boku przedwcześnie się postarzała i teraz trzyma go, serdecznie uwięzionego, w sieci swych zmarszczek. Nic tak

nie zatruwa powietrza jak rozkładająca się miłość. Porządkując stare szpargały, natrafił niedawno na swój list miłosny do Helenki sprzed dwudziestu lat. W powieściach takie spotkania z przeszłością osnute są mgiełką sentymentu: „starzy i siwi, ale szczęśliwi”; w życiu bywa inaczej. Gdy wzrok jego natrafił na zdanie: „Przypadłem do Twojego ciała jak zmęczony pływak do brzegu”, zawstydzony swym grafomaństwem, wrzucił list do kosza. Z niechęcią przypomniał sobie wspólny urlop w Jugosławii, pasmo ponurej nudy, gorszej od samotności. Przez trzy tygodnie nie mieli sobie nic do powiedzenia. W pensjonacie, przy stoliku na dwie osoby, otoczeni zakochanymi parkami, co tylko pogarszało sytuację, milczeli przy obiedzie i kolacji, martwo wczytani w analizę chemiczną wody mineralnej, wydrukowaną na etykietce butelki, lub w hieroglify spisu potraw, każde myślą gdzie indziej — dwoje oddalonych od siebie ludzi.

Najsmutniejsze z wszystkiego — pomyślał z goryczą — że zamiast mnie zachęcać do szturmowania wiatraków, w imię fałszywie pojętej życzliwości namawia mnie, — mnie tęskniącego do ostrogi w boku, a nie do wędzidła! — do ustępstw i uległości, obiektywnie więc wcale nie działa na moją korzyść, lecz na rzecz Hazdrubala. Dziewczyno z obrazu Delacroix, która podpalasz serca pochodnią buntu, gdzie jesteś?

Przezorność — jakże nienawidził w czasie wojny tego palca na ustach siwych więźniów, stałego lęku w oczach, tego wiecznego „Pssst! Bo strażnik usłyszy!”, ilekroć młodzi zaczynali nucić na baraku. „Małośta się, dziady, nażyli, że wam tak na tym psim losie zależy!” — zawołał kiedyś młody brawurant. Ostrożność — jeszcze jedna hańba nadciągającej jesieni. Gdybym miał przy boku piekielnie lekkomyślną „komandoskę”, rozrzucającą antyrządowe ulotki na Nowym Świecie, wykąpałbym się w jej entuzjazmie jak w krynicy wiecznej młodości. Jakże rozumiem pedagogów, schlebających smarkaterii. Wybiec wreszcie z rozkrzyczaną hałastą chłopców i dziewcząt na ulicę,

wywracać z nimi motopompę przed bramą uniwersytetu, zasłaniać ich przed ciosami, maszerować na Belweder. Zgarnąć pleśń z oczu, wyprostować się, zrzucić wreszcie z pleców garb rozsądku i doświadczenia jak przegniły tornister, żyć inaczej, wariować!... „Tęsknota sytego filistra” — powie na to z pobłażliwym uśmiechem Helenka.

Głupstwo! — otrząsnął się. — Niedługo wmówię sobie, że mieszkam z kłaczą trojańską pod jednym dachem. — Tylko bez obsesji. Jeszcze się, na szczęście, nie oglądam na ulicy za siebie, wężąc za każdym węglem „perypatetyków” (tak Sylwester nazywa łapsów, śledzących nasze spacery), jeszcze nie podejrzewam, że za każdą płachtą gazety, rozpostartej przy sąsiednim stoliku, czai się zawodowy podglądacz, chociaż telefon mam na podsłuchu a każdy list z zagranicy nosi ślady niepowołanych czytelników. Więcej spokoju ducha! Nie dać sobie narzucić prawideł i ch h gry, wiedząc przecież, że ochmistrom zależy na wpojeniu podopiecznym przekonania, że spoczywa na nich Oko Wszystkowidzące, że każdą myśl i każde słowo „na wszelki wypadek” utrwała się w Wydziale Rejestracji.

Trzeba by mieć anielską duszę tego naukowca z Uniwersytetu Warszawskiego, który dowiedziawszy się przypadkowo o śmierci nieboraka z najniższego szczebla ubeckiej drabinki, urzędniczyny zawiadującego jego nazwiskiem w sekcji kartotek, poszedł na jego skromny, policyjny pochówek, a później zwierzał się przyjaciółom, że stracił kogoś naprawdę bliskiego, gdyż między zwierzyną a myśliwymi wytwarza się z czasem więź serdeczna: „Ten człowiek, pomyślcie tylko, wiedział o mnie i o mojej rodzinie absolutnie wszystko, notował starannie wszystkie moje podróże po kraju i kontakty z cudzoziemcami, był moim idealnym, bo sumiennym czytelnikiem, nanosił pilnie na osobne arkusze cytaty z moich książek, artykułów i listów, wpatrywał się często w moją fotografię, przyglądał mi się przez lata z olbrzymim zaciekawieniem jak bakteriolog drobnoustrojowi umieszczonemu pod szkieł-

kiem mikroskopu, przypuszczam nawet, że zżył się na swój sposób ze mną, zaludniłem jego wyobraźnię, kto wie czy nie śniłem mu się po nocy, i myślę że gdyby się dowiedział o mojej śmierci, to w trakcie odkładania mojej „fiszki” do pudełka z napisem „Zmarli” twarz jego pokryłaby się szczerym smutkiem, tym rodzajem żalu, jaki odczuwają dzieci, gdy im wyjąć ulubioną zabawkę z ręki. Więc jakże mogłem nie pójść na ten pogrzeb i nie weschnąć za jego biedną, bezpiecznicką duszę?”

Jeszcze kilka dni do oddania manuskryptu. Nie podchodzić do biurka! Nie dotykać Remingtona!

Trochę rekolcji: czy od dawna nie tęsknisz po cichu do przysłowiowej kropli, która wreszcie przeleje dzban goryczy? Czy sprawa sztuki o Polewoju, wybawcy Jasnej Góry, nie spada ci przypadkiem z nieba jako pretekst, wydumany na własny i cudzy użytek? Czy nie uczepiłeś się kurczowo tej sposobności? Ostatecznie, nie takimi ustępstwami wybrukowana jest od lat twoja pisarska via dolorosa. Czegoś to kiedyś nie wypisywał na dziesięciolecie partii! Nagradzali cię, dekorowali. Przecież nie od dzisiaj znasz tę przestrożę: cóż pomoże artyście, choćby cały świat pozyskał, ale stratę na sztuce swojej poniósł? Czyś więc umyślnie nie zdemonizował tego „zamówienia społecznego” podnosząc je do rangi katastrofy? Czyś przypadkiem nie przyprowadził swemu otoczeniu, i tym którzy zaludniają twoją mściwą wyobraźnię, diabelskich rogów z tektury? By zdobyć się wreszcie na decyzję, od dawna dojrzewającą, słuszną i logiczną, a wynikającą z ujemnego bilansu życiowego, niemocy twórczej, lęku przed starością, poczucia zmarnowania najlepszych lat życia, niezaspokojenia ukrytych ambicji, niewiary w sens istnienia?

— „Bez kompasu zabłąkasz się jak nic. Każda rzecz w życiu jest śmiertelnie poważna!” — Któż to tylko powiedział? Katecheta w gimnazjum, drużynowy w harcerstwie, sierżant w podchorążówce? Nie! Tę mądrość ze ściennego kalendarza wypalił pod twoim adresem przed

wielu laty, w mrocznej klitce na Żelaznej pod dwunastym, fanatyk sprawiedliwości społecznej, Jaroszyk, Poznańczyk ukrywający przed policją w Warszawie, przewodniczący sądu organizacyjnego, gdyś, zaczadzony Żeromskim, bawił się za młodu w naprawę świata. Sprawa była błaha, ale po otrzymaniu ostrej nagany, z oczami pełnymi łez, biegłeś w nocy ulicą, chcąc sobie rozbić głowę o ścianę odrapanej rudery. Żadnego obrońcy, żadnych wyjaśnień ze strony oskarżonego, tylko ten Jaroszyk z wysadzonymi przez chorobę Basedowa białkami, aureolą dwóch lat Rawicza nad przedwcześnie wyłysiałą głową i „dowód rzeczowy” w postaci jednego egzemplarza katowickiej „Polonii”. — „Na dwóch stołkach siedzieć nie wolno! — huczał Jaroszyk (ciekawe, co się z nim później stało? tuż przed wybuchem wojny zniknął z Warszawy bez śladu). — Albo w coś wierzycie i wtedy idziecie w ogień albo jest wam wszystko jedno i zaczynacie się kurwić!”

Tymczasem przewinienie twoje, oceniając je z dzisiejszej perspektywy, naprawdę było błahę, polegało na nieporozumieniu, i tylko młodzieńcze tęsknoty do jednościsła i czynu, — pozwólcie osiemnastolatkom przywdziać prokuratorskie togi, a świat stanie się piekłem — sprawiły, że nie tylko w wyobraźni sędziów ale i delikwenta wyrosło do rozmiarów kosmicznych. Jak doszło do tego tajfunu w szklance wody? Nadarzyła się okazja bezpłatnego wyjazdu do Kruszwicy, gdzie mieszkała twoja sympatia, dziewczątka ładne, rozgarnięte, piszące długie listy zielonym atramentem, i co ci szczególnie przypadło do serca: nadziewane wersetami skamandrytów. Znajomi twego stryja zaofiarowali ci wolne miejsce w samochodzie. Dopiero w połowie drogi dowiedziałeś się, że jadą na zjazd hallerczyków. I co miałeś wtedy zrobić, by nie narazić się na późniejszy werdykt Jaroszyka? Wykoczyć z pędzącego auta? Po przyjeździe na miejsce okazało się, że cała twoja wyprawa na nic: dziewczątka wyjechało z rodzicami do Ciechocinka. Nie wiedząc co z sobą począć, zajrzałeś z ciekawości na łączkę, na której

„błękitny generał” pod transparentem: „Ćwicz oko i dłoń w ojczyzny obronie!” przemawiał do kilkuset starszych panów w takich samych jak on mundurach i rogatywkach. Zdaje się, że mówił o księdzu Skorupce i „Cudzie nad Wisłą”. Przyjemne było na tej łączce: grała dęta orkiestra, słońce odbijało się w ryngrafach braci kurkowych, kolarze Sokoła defilowali na rowerach, przybranych biało-czerwonymi wstążkami. A następnie w cieniu, pod kasztanami, odbył się wspólny żołnierski obiad: grochówka z „wkładką”. A więc nie za miskę soczewicy, lecz za menażkę grochówki miałeś się rzekomo zaprzecć rewolucji! Ksiądz w rogatywce i sokolica w berecie mówili o niebezpieczeństwach, zagrażających duszy narodu, i to w tym samym duchu w jakim pisuje dzisiaj nasza prasa wojskowa. Przed odśpiewaniem „Roty” znowu głos zabrał generał Haller. Był już zmęczony, z trudem zbierał myśli. W pewnej chwili stracił wątek i nastąpiła nieznośnie długa przerwa. Sekundy wydłużały się w nieskończoność. I wtedy to, niespokojnie rozglądając się po biesiadnikach, generał dostrzegł twoją białą studencką czapeczkę. Uchwycił się jej jak tonący ratunkowego koła. Twarz jego pojaśniała radością. Kiwnął na ciebie palcem, byś do niego podszedł. Udawał, że zaproszenia nie dostrzegasz. Zaczerwieniony, spuściłeś oczy w ziemię, ale już cię z tyłu ktoś podniósł za łokcie z ławki i syknął w ucho: „Do generała!”.

(Po co te wspominki? By uciec od Polewoja?).

No, i doszło do tej malowniczej sceny, która Jarożyka i jego „Płomienistych” przejęła później grozą i moralnym obrzydzeniem: generał uściśnął ci prawicę. Nie dość na tym: wycałował cię z dubeltówki! Jeszcze dzisiaj czujesz jego szczecinę na swym pacholęcym policzku. Uszczęśliwiony z cudownego załatania dziury w swej oracji, wołał: „Mówią, że nie mamy narybku, nazywają nas ostatnimi Mohikanami, ale to nieprawda! Młodzież, przyszłość narodu, jest z nami! Niech żyją nasi następcy!”

„Niech żyją!” — krzyknęli zebrani. Generał lubił

teatralne sytuacje: kiedyś złożył meldunek królowi Zygmunтови na warszawskiej kolumnie, gestem weneckiego doży wrzucił pierścień do zatoki Puckiej, a teraz urzekła go symboliczna zmiana warty. Cóż miałeś robić? Wyrwać mu się z objęć, mocować się z hallerczykami, zgorzzyć poczcwiwców, którzy zaofiarowali ci wolne miejsce w samochodzie? Stałeś grzecznie przy historycznej postaci, mieniając się na twarzy jak panienka. Do głowy ci nie przyszło, że ta Kruszwica, jeśli nie fizycznie, to psychicznie, da ci się we znaki jak owym nieszczęśnikom z lat bajecznych, którzy niczego złego nie podejrzewając udali się na ucztę do Popiela. Czyś mógł przypuścić, że twoje *tête-à-tête* z generałem prawicy uwieczni fotograf prasowy? I że po tygodniu wezwą cię czujni inkwizytorzy na Żelazną pod dwunasty, a Jaroszyk wyjmie z szuflady biurka „inkryminowany” egzemplarz chadeckiej gazety? Na pierwszej stronie „Polonii” dojrzałeś z przerażeniem swoją bezgrzeszną fizjognomię przytuloną do twarzy generała. Nad fotografią czernił się napis: „Z pokolenia na pokolenie”. — „Wiecie, co to jest? — powiedział zachrypniętym z gniewu głosem Jaroszyk. — To jest z d r a d a !”

Dwudziesty trzeci kwietnia: Jerzego. Imieniny Bączka, impreza szczególnie dokuczliwa, doroczny haracz na rzecz dobrych stosunków z możliwymi tego świata. Henryk nie miał ochoty wyprawiać się aż na Siekierki do nowozbudowanej willi pułkownikowstwa. Zresztą czuł się fatalnie. Przygnębiła go wiadomość o śmierci Zalcmana, chociaż nie znał go osobiście, nawet nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy, gdyż widział go tylko raz w życiu, i to z daleka.

Pokazał im! — mówił do siebie. — Nie dał się przekupić. Pójdę na jego pogrzeb. Udowodnię sobie i innym, że nie jestem tchórzem.

— Zwariowałeś? — przeraziła się Helenka. — Przecież oni fotografują ludzi na cmentarzu. Nie pamiętasz,

jaką chryję zrobili po pogrzebie Hollanda? Przestań myśleć w kółko o tym Zalcmanie! Zapewniam cię, że jeśli tej nocy otworzymy kurki od gazu, nikt w Warszawie, poza kontrolerem liczników gazowych, nie dostrzeże naszego gestu. Będzie to nasza własna, czysto osobista przyjemność.

— I słusznie — wzruszył ramionami. — Nie zabijamy się dla innych, zabijamy się dla siebie.

— Nic podobnego — upierała się przemądrzała Helena. — Z reguły umieramy przeciwko komuś czy czemuś...

— Plagiat z listu św. Pawła do Rzymian: „Nikt z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie”... — Nie znosił jej głosu.

— Cóż tam teologia! — roześmiała się histerycznie. — Życie towarzyskie ważniejsze! Nie możemy się spóźnić do Bączków. Znasz przecież tych obolałych prestiżowców. Jeśli do nich nie pójdziemy, obrażą się śmiertelnie i poprzysięgną nam zemstę. I tak zresztą nigdzie nie bywamy...

Więc poszli.

Bączkowie „pobudowali się”. W ojczyźnie sprawiedliwej dla wszystkich nie wypada nie mieć prywatnej posiadłości, choćby na Siekierkach. Daleko bo daleko, ale przynajmniej na swoim. Pułkownik twierdzi, że jego „dworek” leży na dawnych terenach łowieckich Augusta II i miejscu zwycięskiej bitwy Dąbrowskiego z Moskalami. Sylwester chętnie zapuszcza się w tamte strony, niczym Livingstone do Beczuany, gdyż urzeka go nieskażony cywilizacją charakter siekierkowskiej dzielnicy i — tamtejsze robaki. Robaki? A tak! Od pewnego czasu Osiński pracuje nad utworem pod tytułem: „Oda do robaków, które mnie zjedzą po śmierci”. Nic oryginalnego. Pomysł à la Benn. I z tej właśnie przyczyny odbywa srogie narady naukowe z parazytologami, helmintologami i innymi robakoznawcami, zapisując do brulionu piękne słowa: płazińce, obleńce, wstęgniaki, pierścienice, bąblowice, wę-

gorki jelitowe i — brr! — inne trupojadki. Strach pomyśleć, że dzięki tym robakom gotów sobie jeszcze, turysta, zapewnić trwałe miejsce w dziejach poezji polskiej.

Już w drzwiach zbili się z wyperfumowanym Hazdru-
balem. Prezes także i na gruncie towarzyskim nie zapominał nawet na sekundę, że jest szefem.

— Jak tam słuchowisko? — zapytał. — Mam nadzieję, że już je kończysz.

— Dziękuję, rozwija się — odrzekł Henryk.

— Nie mam zamiaru ci niczego narzucać, ale jeśli mi się uda przez naszego korespondenta w Moskwie zdobyć pozdrowienia Polewoja dla polskich słuchaczy, nagrane jego głosem, dałbym je na twoim miejscu na samym wstępie audycji.

— Niezła myśl — złapał się Henryk za wątrobę.

— Aha! — uderzył się chlebowadca w czoło. — Rok Leninowski! Gdy się uwiniesz z Częstochową, mam dla ciebie nowe wyróżnienie: zabierzesz się do radiofonizowania biografii Lenina w dziesięciu coniedzielných odcinkach. I tak już jesteśmy spóźnieni. Sofia i wschodni Berlin nas ubiegły. Całe szczęście, że szybko pracujesz.

— Może by Sylwester raz spróbował? — jęknął Henryk. — To rączy pióro!

— Sam wiesz, że nikt tego lepiej nie robi od ciebie! — poklepał go prezes po ramieniu.

Następnie dobiegł ich straganiarski dyszkant Bączkowej:

— Bączek, kopnij się po lód do kuchni, bo trunki nie dość zimne!

Zmarnowany wieczór. Towarzystwo, jak zwykle u Bączków, nieciekawe. Przeważali ludzie od pułkownika co najmniej o jedno pokolenie młodszy. Bączek łudził się, że obcowanie z młodszymi odmładza duchowo i fizycznie. Nie mówiąc już o tym że Bączkowa połowę zarobków męża obracała na zakup podarków dla atletycznych młokosów, gdyż mąż jej, o czym na głos skarżyła się w towarzystwie, jest oficerem w stanie całkowitego spoczynku.

Solenizant był w nastroju minorowym, na co złożyły się dwa ciężkie przeżycia: generał z Głównego Zarządu Politycznego W.P. zadzwonił w ostatniej chwili, że z powodu nieprzewidzianych zajęć służbowych, niestety, przyjść nie może, Hazdrubał zaś wpadł bez żony tylko na kwadrans, gdyż jeszcze tego wieczora czeka go ważna narada w Komitecie Centralnym.

— Ciekaw jestem, ile wiosenek liczy sobie ta „ważna narada”? — szepnął Frąś Henrykowi do ucha. — Stary jebur już od rana naświetlał się sztucznym słońcem i łykał te nowe pastylki, które mu macocha Basiulka przywiozła ze służbowej podróży do Hamburga. Na to są dewizy!

Docent, jak zawsze, był dobrze poinformowany. Bączkowa zaś już po trzecim kieliszku zaczęła swój normalny repertuar. Do uszu Henryka doszły przechwałki pułkownikowej o zaszczytnych koligacjach jej rodziny, zarówno po kądzieli jak i po mieczu, przy czym sens tych mitomańskich wynurzeń sprowadzał się zawsze do tej samej konkluzji: oto ona, półhrabianka, wyszła za chłopskiego syna Bączka, podczas gdy sam Kocioł z pałkami w koronie, wschodząca gwiazda polskiej dyplomacji przedwojennej, chciał się dla niej strzelać w Ostendzie. — „W normalnych czasach taki Bączek w najlepszym razie byłby oficjalistą w jednym z naszych majątków, prowadził księgę udoju lub jako pomocnik weterynarza bronił bydła przed księgosuszem czy nosacizną — obnosiła swój megalians po ludziach. — Nie myślcie przypadkiem, że jego pociąg do polowań ma w sobie coś pańskiego. Nic podobnego! Po prostu stary Bączek był kłusownikiem w lasach mojego dziadka!” — Żenujące bywały te występy: pułkownikowa w stanie trzeźwym wojująca pezetpeerówka, deklamująca o dyktaturze proletariatu, po pijanemu lubiła się popisywać reakcyjnością, *nota-bene* irracjonalną, zrodzoną ze snobistycznych tęsknot i przywidzeń — zjawisko dość typowe dla wnuczek, które jak klejnot uniesiony z pożogi przechowują w rodzinie wspomnienie

o babce, piorącej bieliznę u Potockich czy Radziwiłłów, lub o dziadku-stangrecie, który odwoził jaśniepaństwo na stację kolejową. Biedni ci honoracjusze z awansu społecznego! Nie mogą okiełzać swej błękitnokrwistej fauny. W domu, po godzinach służbowych, dostają za swoje: nie nadążające za rytmem historii dziwożony, raczej dziwy niż żony, przyczajone sabotażystki i kontrrewolucjonistki, niewyżyte kasztanki hetmańskie à la pani Bączkowa, prze-meblowują im cały światopogląd.

— Trzeba było widzieć minę Hazdribala, gdy mu złożyłem kondolencje z powodu śmierci byłego szwagra — rzekł Frąs do Sylwestra. — Jakby się octu napił! A swoją drogą ten Zalcman nieliche zrobił mi świństwo...

Frąsiowej zaświeciły się oczy:

— Bo ty za uczynny jesteś, Władysław! Dostałeś nauczkę. Tyle razy ci mówiłam: nie proteguj byle kogo!

Ów „niewdzięcznik” Zalcman wyraźnie nie dawał docentowi spokoju. Znowuż do niego wrócił:

— *De mortuis* i tak dalej, ale to chyba znacie? Chociaż poprawną dykcją Zalcman nigdy nie błyszczał, będąc szwagrem Hazdribala, otarł się przelotnie o nasze radio, ale bez powodzenia: z fonetyką nie mógł sobie poradzić. Właściwie skończyło się na debiucie. Wysłany do Pragi na mecz hokejowy Polska-Czechosłowacja, który przerznęliśmy z kretesem, chciał przez telefon powiedzieć, że Czesi cieszą się ze swego zwycięstwa, ale wymowa mu nie dopisała i tylko wymamrotał: „Czesi się c z e s ą !” I wtedy prezes zirytował się: „Czy myśmy ciebie wysłali na konkurs fryzjerski czy na mecz hokejowy!”

Frąsia, imitatora głosów, nagrodzono salwą śmiechu. Po chwili powietrze przeszył dyszkant Bączkowej, tortura dla ucha:

— Wiecie za kogo wyszła siostra Hazdribala po rozejściu się z Zalcmanem? Za tego kawalarza, Jasia Sekułę. A wiecie jak Sekuła woła na nią w domu? „Moje ty mienie pożydowskie!”

— Uciekajmy stąd! — jęknął Henryk do Helenki.
— To nie na moje nerwy.

I przypomniał sobie, że czytał niegdyś o zniechęconym do życia królu bawarskim, który za każdym przypływem niechęci do ludzkich twarzy naciskał na guzik i w chwilę później krzesło jego wraz ze stołem zjeżdżało do podziemnej komnaty, gdzie leczył oczy i serce widokiem porcelanowych łabędzi i alabastrowych cacek, a zamiast ludzkich głosów słyszał kojący szelest fontanny.

— Niebywała historia! — znowu go Frąś dopadł w kącie. — Wyobraźcie sobie, że w cenzurze, na Mysiej, jak mi ujawnił kolega z wojska, wylądował do aprobaty list pewnego Paulina do redakcji *Kierunków* w sprawie, he-he, Polewoja! Nie wiadomo, czy go puszczą. Ale nawet, gdyby się ukazał w druku, to i tak w pokiereszowanej formie. Nawiasy, trzy kropki, — znacie to lepiej ode mnie. W liście tym zakonnik zarzuca cioci Ossolińskiej manipulację relacjami, a co ciekawsze: poddaje w wątpliwość wersję o wykryciu na Jasnej Górze min lotniczych i zapalników chemicznych. Mocne, co?

— Owszem, ciekawe! — zgodził się Henryk, nie podejmując drażliwego tematu. Żadnych konfidencji z docentem! To niebezpieczny prowokator. Najchętniej by pozamieniał wszystkich znajomych i nieznajomych w rożen do pieczenia własnej pieczeni.

Z braku generała-szefa politruków i po szybkim ulotnieniu się Hazdribala na „postać wieczoru” zaawansował siwy dziennikarz o twarzy senatora, Koryciński, ten sam który przed dwoma laty wsławił się pomysłowym „kociołkiem” na studentów: delegację marcowych buntowników zaprosił do redakcji na swobodną wymianę myśli, a w sąsiedniej komórce, ukryci za portierą, już czekali na nich „smutni panowie”. Pan Koryciński, człowiek kulturalny i delikatny w obejściu, pozujący zresztą na dziewiętnastowiecznego liberała francuskiego chowu — schizofreników politycznych nie brak w naszym kraju — nieustannie przypominał w swoich artykułach, że życie

przed wojną było piekłem nie do zniesienia i dopiero teraz ludzie oddychają pełną piersią, co upodobiło jego wstępniaki do prospektów instytutu chirurgii kosmetycznej, na których pacjent przed operacją uszy ma odstające i nos za długi, a po operacji, jeśli wierzyć fotografii, i nossek zgrabny i uszka filigranowe. Z okazji jubileuszów i rocznic partyjnych pan redaktor zwykł był w wazeliniarskich artykułach utrzymywać, że odkąd udało się szczęśliwie połączyć dorobek umysłowy pozytywistów warszawskich i krakowskich Stańczyków(!) z wzorami radzieckimi, polska myśl polityczna osiągnęła niespotykane w przeszłości wyżyny. Tym razem honoracjusz ze stołecznej gazety narzucił na siebie pelerynkę „odwilżowca”, mówiąc do Helenki:

— Nie rozumiem tych narzekań na „dyktaturę ciemniaków”! Absolutyzm oświecony wcale nie jest lepszy. Cóż za różnica dostać po głowie kłonicą czy pałką skropioną perfumami? Myślenie i tak ma kolosalną przeszłość!

To mówiąc, z uśmiechem strząsnął popiół ze swego „Mazura”. Frankofile chętnie palą „Mazury”, gdyż przypominają im „Gauloise’y”.

— Najlepiej w ogóle nie dostawać po głowie — mruknął Henryk. — Słyszałem, że pałki dla „chłopców z Gołędzinowa” w ramach współpracy kulturalnej z NRD sprowadziliśmy z Halle an der Saale.

— Tylko bez dywersji ideologicznej! — zaśmiała się sucho Frąsiowa. — Guma u nas wprawdzie nie rośnie, ale umiemy za to wyprodukować syntetyczną.

— No, to cyk! — zawołała pani domu. — Pod tę syntetyczną! Bączek, nie śpij! Dolej gościom! Jak nie chlusną, to usną!

Przyszła reżyserka arcydzieła o Polewoju, Malinka, opięła swe bujne kształty w satynę, której krwawa czerwień mogła widza przyprowadzić o ból zęba.

— Ktoś tu wspomniał o dywersji — poprawiła grzywkę paluszkami do złudzenia przypominającymi pa-

rówki. — Otóż, moim zdaniem, widmo emigracji politycznej maluje się u nas kredą w kominie. Nic nam z tamtej strony nie zagraża. Mam stryjka w Londynie, wiem o czym mówię, postać z bulwarowej farsy. Starzy politykierzy wymierają, młodzi się wynaradawiają, zostanie w końcu zdrowa masa, która przysyłać będzie paczki, przyjeżdżać na pielgrzymki, oklaskiwać zagraniczne występy naszego „Mazowsza” i bronić dobrego imienia Starego Kraju, zohydzanego przez wiadome koła...

Z kuchni dobiegł rozkoszny wrzask pani domu. Pułkownikowa donosiła całemu towarzystwu, że na brak powodzenia wśród młodych mężczyzn uskarżać się nie może:

— Kubuś-rozpruwacz, gdzie z tym nieogłędnym szkieletem, jak Boga kocham! Toż to chlejbey nie *play-boy*! Przecież ty mnie, zbereźniku, do szafy wgnieciesz! Bączek, na pomoc! Żonkę ci podrywają! Kubuś, nie w kuchni, proszę! Proszę natychmiast wrócić do gości!

Koryciński i tym razem zaryzykował występ w roli czarusia, rozbrajającego słuchaczy cyniczną otwartością.

— Może ma pani rację — uśmiechnął się do Malinki, odsłaniając zęby zbyt piękne, aby były prawdziwe. — Rzecz jest jednak złożona i ma szereg aspektów. Po pierwsze: przez pozyskanie sobie tamtych, na zachodzie, można sporo osiągnąć we własnym kraju, gdzie stosunki między rządzącymi a rządzonymi ciągle jeszcze nie układają się harmonijnie. Po wtóre: nie straszmy misjonarzy tatarską wieścią o zaniku pogaństwa. Któż z nas nie lubi służbowo wyjechać za granicę? Ilu ludzi, i to zdolnych, znalazło pracę w instytucjach, zwalczających wrogie ośrodki. Chciałaby ich pani skazać na bezrobocie? Nieludzkie, bezduszną osobo!

Słusznie — pomyślał Henryk. — Niech już te chmary misjonarzy, którym powierzono wychowanie obywatelskie tubylców, spalają swoją energię w walce z emigracją.

W rogu izby „rycerskiej”, obwieszonej szablami i karamielami — Bączek zbierał broń staropolską; nie wypada

w Warszawie nie zbierać staroci, jeśli się osiągnęło wyższy statut towarzyski — kilku młodych karierowiczów z centralnego aktywu łąsiło się do milczka w mundurze, którego książkę o chwale oręża polskiego w ciągu wieków pochwalono publicznie na samym wierzchołku partyjnej piramidy. Sądząc po ruchach: kieliszki gładzili w pełnym skupieniu zamyśleniu, rozmawiali o narodzie i państwie. Sylwester z Frąsiem, chcąc sprawić radość solenizantowi, zachwycali się srebrnym ryngrafem, który według zapewnień pułkownika, wisiał niegdyś na piersi konfederata barskiego i draśnięty został moskiewską kulą. Kilka hałaśliwych dziewczątek po trzydziestce, zapewne koleżanek pani domu, zjawiało się w minispódniczkach tak kusych iż nieprzygotowanego na ten pokaz widza w pierwszej chwili lęk chwycił, czy nie nabawia się zapalenia gardła.

— Że też każdą modę musimy przedobrzyć! — prychała Helenka. — „Pawiem i papugą narodów!” Jeśli na Zachodzie zaczną chodzić nago, u nas ludzie zaczną z siebie skórę ściągać. Dekolt Frąsiowej bije wszystkie rekordy ekshibicjonizmu. Przecież ona go kompromituje.

— Frąsia nikt ani nic skompromitować nie może — skrzywił się Henryk. — To człowiek jutra.

W sąsiednim pokoju, obwieszonym aż trzema Fałatami, mówiono o samochodach, podróżach za granicę, polowaniu i narodowym footballu: kto kogo wykopał z posady.

— Gdzie nie ma normalnej rotacji kadr — perorował jakiś dryblas w rogowych okularach — tam tylko czystki personalne mogą zapewnić aparatowi rządowo-partyjnemu dopływ nowych sił. Powiem więcej: czystki są elementem, sprzyjającym procesowi samoregeneracji. Tak jak organizm ludzki, żeby utrzymać się przy życiu, wydala z siebie pewne toksyny...

— Spójrz — rzekł Henryk do Sylwestra — nawet typ fizyczny młodej elity politycznej uległ zmianie! Tylu bliźniaczo do siebie podobnych pykników o mięsistych twarzach pozbawionych wyrazu — tu i tam błysnie czuj-

no-chytre oczko, to bodaj jedyne urozmaicenie! — o krótkich szyjach i nogach, o tłustych, wypielegnowanych łapkach; tylu limfatyków przedwcześnie wyleniałych, ulizanych, z tej samej foremki, z tej samej maślarni, dawno już nie widziałem u Bączka na imieninach. Idzie Nowe! „Rewolucja” najedzona. Bardzo to ładnie, że „człowiek rośnie w socjalizmie”, ale niechaj rośnie wzwyż a nie wszerz. Spójrz na te rozdęte zadki, idealnie dostosowane do rozmiarów dyrektorskiego fotela. To nie ludzie, to dwunożne biurka. Gdzie się podział znany nam z młodości typ zapaleńca o ascetycznej twarzy, wiecznego dyskutanta, wściekłego ryzykanta, niespokojnego ducha z rozwichrzonym włosiem, choleryka o błędnym lub płonącym oku?

— Mam nadzieję — skrzywił się Sylwester w kieliszek — że nie tęsknisz do nowych Dzierżyńskich. Z dwójga złego ci najedzeni są lepsi. A w ogóle, mój drogi: „Nie przebierać, kochać jak podleci”, jak za pewnym chorążym powtarza mój stary znajomy, niejaki Ziółkowski, stwórz niewydarzony, o rozdwojonej jaźni i przyjaźni.

— Więcej czasu poświęcasz Sylwestrowi niż mnie — powiedziała Helenka. — Nie dotrzymujesz mi towarzysztwa.

— A cóż ze mnie za towarzystwo! — westchnął Henryk. — Jestem u kresu, już nie chory, ale zmarły z urojenia, cały w bandażach. Myśli mnie bolą w głowie, kłamstwo dziurawi mi uszy, zadrukowany papier zatyka gardło. On jest młodszy, wytrzymałszy. Trzymam się jego zdrowej natury jak pijany płotu...

Koryciński z kolei zdawał sprawę ze swej ostatniej podróży do Belgii.

— Ot, uległem staremu sentymentowi i wiecie kogo odwiedziłem pod Brukselą? Naszego byłego współpracownika, Gabriela!

— To i on nie wyjechał do Izraela? — zmartwiła się Frąsiowa.

— Ich wszystkich — wyjaśnił docent — poza chęcią szkodzenia Polsce, łączy jedna, dość nie syjonistyczna idea: nie dojechać do Izraela. Szkoda, bo dopiero tam by się przekonali jak dobrze mieli w naszej Polsce.

Koryciński, wyraźnie zadowolony ze swej szlachetności, maślanym barytonem ciągnął dalej:

— No, i spotkaliśmy się. Gościnny Gabriel skoczył na róg po butelkę, jego żona zniknęła w kuchni, by zrobić mi jajecznicę, a ja zostałem w pokoju sam na sam z dziećmi. Chłopak ma lat piętnaście, dziewczynka trzynaście. Korzystając z nieobecności rodziców, wypłakali mi swoje żale. Chodzą do flamandzkiej szkoły, tęsknią do Warszawy, nie rozumieją co się stało. Gabriel junior, wyobraźcie sobie, był medalistą teleturnieju wiedzy o stolicy, jedynym uczniem, który bez pudła umiał powiedzieć, ile metrów ma najkrótsza ulica w Warszawie, czyli Dawna, ile kilometrów ma najdłuższa, a więc Pułaska, w którym roku powstało kino „Syrena”, i tak dalej. O naszym grodzie ten fenomen pamięci wie wszystko. Fotografię tego młodzieńca miał w galerii laureatów, w Centrum na Woronicza, w czasie inauguracji sam prezes Hazdrubal zawiesić na ścianie, ale w końcu nie zawiesił, gdyż... Otóż w pewnej chwili dziewczynka zapytała mnie, ile miesięcy dostaje się za nielegalne przekroczenie granicy PRL, i czy po odsiedzeniu kary można w Polsce zostać na stałe, czy też zostaje się usuniętym...

— ... typowe — mruknął ktoś w kącie — wyrzucisz ich jednymi drzwiami, a już chcieliby się wepchnąć od tyłu...

— ... „Tak też chyba zrobimy!” — zaświeciły się jej oczy. — „Uciekniemy do Warszawy! Jeśli swoje odsiedzimy, to chyba nikt nas z niej nie wypędzi?” — „Byle się tylko przez wschodnie Niemcy powiodło!” — dodał rzeczowo jej brat. Przyznam się państwu, że ja, stary koń i cynik z dziada pradziada, byłem tą rozmową wzruszony. Za mojej młodości marzyliśmy o ucieczce do Ameryki. A tych dwoje marzy o ucieczce do Polski! Budujące!

— Ckliwe historyjki opowiadacie, redaktorze! — roześmiał się dryblas w rogowych okularach, ten który przed kwadransiem snuł rozważania o „samoregenacji” i „toksynach” — „Serce” Amicisa, o Marysi sierotce i krasnoludkach, można powiedzieć. Ja tych przypowiaszek nie łapię.

— Cwaniaczek — szepnął Sylwester Henrykowi do ucha. — Ryzyko skalkulowane: jeśli na jakimś tam nowym zakręcie czy etapie partia uzna swój błąd w sprawie eksmisji Żydów, nasz szlachetnieś ma tutaj tuzin świadków, że on ich, co prawda z dwuletnim opóźnieniem, na głos żałował.

— Zgrywus! — skrzywiła się Helenka, której po dwóch kieliszkach ogniopiór wpęłzył na policzki. — Święty Mikołaj! Żałuje dziątek, zaczynających nowe życie w innym, lepszym świecie. Któż by się z nas z nimi nie zamienił!

— Chodzi o zasady! — burknął Henryk, zastanawiając się, kto udzielił Korycińskiemu licencji na poruszanie drażliwych tematów. Przecież u nas na wszystko trzeba mieć koncesyjkę, nawet na nieprawomyślność. Jednym wolno publikować złośliwe aluzje pod adresem ościenego mocarstwa, innych za to gnoją. Jednym wolno się spotykać za granicą z „wrogimi ośrodkami”, innym dają za to trzy lata. Byle trafić do właściwego licencjodawcy.

Gdy zaczadzony papierosowym dymem, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, wyszedł na balkon, za nie-domkniętymi drzwiami posłyszał „recenzję” o sobie. Dwóch nieznanomych, młodych ludzi „robiło go szaro”:

— Jak większość gryzipiórków, Ziółkowski nie ma zasad politycznych. On jedynie wyraża moralne lub niemoralne, he-he, reakcje na następujące po sobie wydarzenia polityczne.

— Masz rację: gazeciarskie widzenie świata. Gorzej, że pisuje według modnej obecnie recepty: „Nasze czasy są tak podniecające, że ludzi można szokować tylko nudą”.

— Jak na moralistę przystało, jest zakłamanym i nie ma kręgosłupa. Mój ojciec mi opowiadał, że w latach pięćdziesiątych był z nim służbowo w Paryżu. Wybrali się na bulwar Saint-Germain. W Café de Flore Ziółkowski w zachwyceniu powtarzał do siebie: „Jestem w Paryżu! Jestem w stolicy świata! Oddycham innym powietrzem!” Tam też poznał Sartre’a i jego Simone de Beauvoir. Omal nie padł przed nimi na kolana, biedny parweniusz z Pacanowa! Na nowy egzemplarz *Les Temps Modernes* rzucił się jak mucha na świeże gnie. „A co Francuz wymyśli, to Polak polubi”. A w tydzień później, po powrocie do Warszawy, ogłosił w prasie literackiej głupawę sprawozdanie z podróży: że Francja to kolonia amerykańska, że Plan Marshalla określił jej świadomość, że ten Sartre to w gruncie rzeczy pseudorewolucyjna marionetka, pociągana za sznurek przez wielki kapitał, żaden tam postrach klas wyzyskujących, wręcz przeciwnie: bożyszcze drobno-mieszczactwa, i tak dalej.

Henryk miał ochotę podbiec do nich i krzyknąć: „Dobrze wam, smarkacze, po tylu latach bawić się w sędziów i oskarżycieli! Gdyby tak was, tuż po wyjściu z więzienia, wciągnięto do współpracy, chciałbym widzieć wasze bohaterstwo! Przecież nawet dzisiaj, bez nagiego terroru, robicie bez słowa sprzeciwu wszystko, czego po was oczekują wasi przełożeni, bez pudła odgadujecie ich życzenia. Każą wam wylać wiadro nieczystości na kolebę, którego jeszcze wczoraj całowaliście w policzki, wylewacie dwa wiadra! Każą wam nazwać Dubczeka „prawicowym oportunistą”, nazywacie go „marionetką Wall-Street” i „wrogiem ludu”. Każą wam...” Eee, szkoda słów! Znamy się, panowie następcy, na wylot. Machnął ręką i skurczył się w swym wyjściowym garniturku.

Tymczasem Koryciński — podejrzana historia! — rozbrawurował się na całego. Jakby się upił własną odwagą. Trzeba zaostrzyć czujność! Nie wiadomo co się za tym kryje.

— „Nie widzę, doprawdy, powodu — powiedziałem

wprost naszemu wiceministrowi kultury — żeby się obrażać na kawiarnianych literatów o ten czy inny krzywdzący przydomek czy niestosowny żart. Gdy biskup Mirépoix poskarżył się Ludwikowi XV, że Voltaire nazywa go „kapuścianym głąbem”, monarcha odrzekł: „Niech Ekscencja machnie na to ręką! Tak myślą wszyscy!” — „Mam nadzieję” — odrzekł mi na to po dłuższym namyśle wice-minister kultury — „że nie opowiadacie mi tej anegdotki *à propos*”... — Ależ towarzyszu! — wykrzyknąłem — za kogo wy mnie macie!”...

Nikt się nie roześmiał.

Zjawił się też u Bączków inżynier z Filtrowej, Żółcik czy też Żółtak, wynalazca „pastylonu”; pisano o nim kiedyś w *Życiu Warszawy*; obce ciało w towarzystwie.

— Jest to ulepszony, mrozoodporny środek powłokowy — mówił z dumą w głosie — zabezpieczający powierzchnię betonu, wypraw cementowych i gipsowych w budownictwie przed działaniem atmosfery i gleby. Można nim, proszę panów, powlekać elewacje, fundamenty, balkony...

Nie chciano go słuchać: raził swoją „wąskospecjalistyczną” fachowością. Redaktor Koryciński, który napisał tuziny artykułów, wielbiących „pracę organiczną”, osten-tacyjnie ziewnął.

— Guano Peruwiano! — mruknął ktoś w kącie.

Ten „pastylon” — pomyślał Henryk — pewnie jest ludziom bardziej potrzebny od mojej pisaniny, od powie-lania komunałów, grzebania się w „stanach wewnętrznych”, logu przygód myślowych, fałszu zwanego literaturą. W przedziwnym żyjemy świecie: niedbale sklecona nowelka przynosi Polakowi więcej rozgłosu i chwały niż wzorowo skonstruowany most na Wiśle.

— Oburzające! — Frąsiowa, ozdoba wieczoru, z pokoju do pokoju obnosiła swe wysoko podwiązane piersi jak południowe owoce na tacy. — Władysław znowu spostrzegł w prasie angielskiej nikczemną napaść na nasz kraj...

„Kraj”, to Frąsiowie! — szepnął Henryk żonie do ucha. — Polska to ich własność.

— Jeden z tych literatów, co to przez długie lata jedli nasz chleb, co mówię „chleb”? rogalki z masłem jedli!, napisał w *Times*’ie, że pociągi, którymi Żydzi wyjechali z Warszawy do Wiednia — ciągnęła Frąsiowa — przypomniały mu transport na Majdanek.

— Niesłychane! — rozległy się głosy. — Ohyda! Tak się nam wywdzięczają za prawo wyjazdu! Cóż za potworne oszczerstwo!

Henryk rzekł półgłosem do Sylwestra:

— Nie podzielam tego oburzenia zrodzonego z niechęci odróżniania skutków od przyczyny. Człowiek *ma* prawo do subiektywnej oceny swoich przeżyć. Mędrca szkiełko i oko, „sprawiedliwe kryteria”, piętrenie odważników na szali, — w tych przypadkach okazuje swoją zawodność. Trudno, tak już jesteśmy skonstruowani, że tylko raz w życiu możemy sobie poradzić z ciężarem nieba, spadającego nam na głowę. Jeden koszmar: getto, kacety czy ukrywanie się w studni, koszmar stanu wyjątkowego, można niekiedy z nadludzkim wysiłkiem przetrwać, ale nie przeceniajmy granic ludzkiej odporności: wystarczy, by po latach fala powrotna, choćby pozornie „niewinna”, uderzyła w tę samą, z takim trudem zabliźnioną sferę doznań i wspomnień, by wszystkie wiązania samoochronne rozsypały się jak domek z kart, i wróciło tamto. Ta fala powrotna może się obejść bez wilczurów na „*Umschlagplatz*”, bez czarnych mundurów i „Cyklonu”, ale wyrasta z pokrewnych, co tamte, założeń „ideologicznych”, i to w latach stabilizacji, pokoju i powszechnej deklamacji o prawach człowieka. Napisano u nas dziesiątki uczonych rozpraw o traumatycznych przeżyciach, o niewidocznych, ale bolesnych odłamkach kul, jakie nadal tkwią w psychice *survivors*. Czyżby ich nikt nie czytał? Przypomina mi się, że gdy policja konna rozpędzała przed wojną studentów, protestujących przeciwko wizy-

cie Goeringa w Polsce, moja matka zaczęła krzyczeć przez okno: „Kozacy!” To był jej „Majdanek”...

— Masz rację! — westchnął Sylwester — ale cóż z tego?

— Oczywiście, ty każdemu przyznajesz rację, nawet mnie. Dla świętego spokoju. Byle ci nie przeszkadzano w układaniu wierszyków.

— Rzecz w tym — uśmiechnął się tajemniczo Sylwester — że na dnie twojej niechęci do Madame Frąs drzemie spora porcja niezdrowego podziwu. Od godziny nie odrywasz błyszczącego wzroku od tej cudownej klaczki. Ale nie można ci się dziwić: to, rzeczywiście, fantastyczny okaz, wykrzyknik tryumfującej biologii, posąg zdrowego mięsa, urzekający w swym stężeniu ładunek aroganckiej głupoty i nikczemności! A więc właśnie to co wrażliwego estetę pociąga w kobiecie najbardziej. Nic, tylko bić i ubóstwiać! Gdybym nie był purytaninem, pokusiłbym się o małą groteskę, tandetny *pastiche* à la brunatny *Stürmer*. Co powiesz na taki obrazek: na imieninowe przyjęcie u pułkownikowstwa Bączków z nieba wysokiego spadają nagle uzbrojeni komandosi, spadochroniarze Dayana? Popłoch! Większość gości ucieka do ogrodu, część zamyka się w łazience, gospodarze szukają chleba i soli, istny koniec świata. Jeden z agresorów, piękny, kędzierzawy Dawid, oczy płonące, zęby jak śnieg, mundurowa bluzka rozpięta na muskularnej piersi, z uśmiechem podchodzi do Frąsiowej...

— Bredzisz!

— A tak, z uśmiechem do niej podchodzi, bo na Bliskim Wschodzie już się rozeszło, że docent, limfatyk, politycznie przepracowany — co drugi dzień pogadanka o wychowaniu obywatelskim, co tydzień polowanie z generałem! — obowiązki małżeńskie spełnia niedbale. Więc ten piękny, wysoki chłopak w berecie, co wprost z nieba na Siekierki spłynął, już apetyczną fryzjerkę wpół przechylił, już jej piersi ze stanika wyłuskał, szyję pocałunkami sparzył... Już się branka na nogach słania, blond wło-

sy na twarz jej lecą... Umie się takie scenki opisywać, co? Na tapczanie ją kładzie, spódnice jej podrywa w górę, widać długie, pysznie opalone nogi... Klaczka-docentowa tylko przez chwilę opór symuluje, rzucając zgrabną główką na łowickiej makatce. A po dłuższej i zjadłej utarczce miłosnej — jest na co popatrzeć, przyjacielu! dobrana to para! — otaczając spoconymi ramionami kędzierzawy kark Dawida, woła, uszczęśliwiona, na całą willę: „Rodacy! Nareszcie przejrzałam! Prasa kłamie. Władysław mnie politycznie zdeprawował. Od tej chwili zmieniam poglądy. Precz z rasistami! Precz z antysyjonizmem! Nie ma to jak *Rassenschande*. Witajcie, agresorzy z Ziemi Świętej! Panie Dawidzie, ja zawsze z panem!”... Eros, Heniutku, określa świadomość!

— Bzdura, taniocha, niewybredna pornogrotecha, niegodna Osińskiego! — skrzywił się Henryk. — Niesmaczność, przyjacielu. Idź lepiej do swego protektora Frasia. Ino patrzeć jak do cna sfrąsiejesz. Jemu opowiedz o swoim cudownym widzeniu, nie mnie. Albo jeszcze lepiej: powtórz tę brednię przed całym towarzystwem. Teraz, zaraz, na głos, słowo w słowo! Może cię zapowiedzieć? Po kątach wszyscyśmy odważni, szyderycy na czworakach, ale pobluznić na środku sali?

— Proszę bardzo! Poproś o chwilę ciszy i zawołaj na głos: „Frąś zaszczył Zalcmana!” Dlaczego się wahasz?

— Bo jestem tchórzem — jęknął Henryk.

— Wyobraź sobie, że ja też! — roześmiał się Sylwester. — Możemy więc sobie ręce podać i zapomnieć o tej uroczej konwersacji.

Pod husarskimi skrzydłami, ozdobą Bączkowej kolekcji, jakiś jegomość z fajeczką skarżył się na swój dygnitarski los. Dawniej, przed Wrześniem, wyższy urzędnik państwowy, świętując 11 Listopada, nie psuł sobie urlopu letniego. A dzisiaj? Spróbowałbyś nie być 22 Lipca w Warszawie! Towarzysz Wiesław dostałby ataku histerii.

„Ludzi Hazdrubala” dostrzegł Henryk przy zimnym

bufecie. Bączkowa, dzięki swym stosunkom, co roku olśniewała gości delikatesami, jakich nie widywało się nawet na reprezentacyjnych wyżerkach w zagranicznych ambasadach. Doszły go strzępy rozmów, podobnych do tych, jakie codziennie toczono w radiowej stołówce:

— ... już na progu mojego gabinetu facet zaczął lamentować: „Nic z tego nie rozumiem. Nie ma metody w tym szaleństwie. Wykreślcie mi z rękopisu słowa: *„Dalej, dziewczki! W górę kiecki. Jedzie ułan jazłowiecki!”* a zostawiacie: *„Idą chłopcy drogą przez zielony las, napotkali pannę, jeden na nią wlaź”*”. — „Całkiem proste — wyjaśniłem mu. — Tę pierwszą piosenkę ułożono za sanacji, a tę drugą śpiewano w Armii Ludowej! — „A to co innego!” — głuptyś uderzył w obcasy i odmaszerował. Nawet się nie domyślił, że z niego zażartowałem. Teraz widzicie z kim ja pracuję! Z płazami!...

— ... po czym delegat Komitetu Wojewódzkiego oświadczył, że zalew artykułów o Marii Walewskiej uważa za szkodliwy. „Niektórzy towarzysze w Warszawie” — rzekł z piekielną ironią — „dość beztrósco przeoczyli choćby taki 'drobiazg', że ta Walewska żyła z Napoleonem b e z ś l u b u. O ile nam, w płockiej Petrochemii, wiadomo, ostatni zjazd partii nie wypowiedział się za wprowadzeniem konkubinatu w Polsce Ludowej!”...

— ... no, i ten Francuz na mnie z wysokiego piętra: „To pan nie wiesz, co powiedział Jean-Luc Godard? Kamera filmowa, powiedział, to karabin maszynowy w walce klas!” A ja mu na to: „Tylko bez tego eciepecie, dobrze? O rewolucji pieprzycie, a to zwykła frustracja seksualna!” Nieźle mu wygarnąłem, co?...

— ... autorstwo udowodniono mu w try miga. Musiał gość nie wiedzieć, że nasz Pietrzak w Komendzie Głównej ma specjalną komórkę grafologiczną, ostatni krzyk nauki. A gdy go zapytano, dlaczego napisał ten anonim, wykrzyknął ze świętym oburzeniem: „Za kogo wy mnie bierzecie? To ja miałem takie świństwo swoim nazwiskiem podpisać? Honor mi nie pozwalał!”.

Henryk odetchnął: nie, to nie o nim!

— ... mojej Agnieszce, wyobraź ty sobie, ten pajac z Mokotowa, Witek, zaproponował pracę w Domu Kultury, na Łowickiej. Myślałem, że go z portek wypuszczę. „To może od razu zróbcie z niej sprzątaczkę w Garwolinie!” — huknąłem na niego, i facet, proszę ciebie, zrobił się mniejszy od mrówki...

— ... i wtedy, pułkownik, podchodzi do mnie przewodniczący radzieckiego komitetu do spraw radia i telewizji, Miasiacew, dłoń ściska mi serdecznie i przy wszystkich powiada: „Spodobało mi się wasze określenie, że literatura powinna być pojmowana jako nieustanna dyskusja ze społeczeństwem. Na tym właśnie, przyjaciele, zależy nam najbardziej!”...

— ... albo ten ich „komunizm” we Włoszech! Taki Feltrinelli, milioner! Albo ten drugi, też na „F”, nazwisko wyleciało mi z głowy. Takiego jachtu dalekomorskiego, to my nawet na hollywoodzkich kiczach nie oglądamy. „Nowoczesny komunizm” — powiada ten krezus z sierpem i młotem na złotych spinkach — „przewyciężył szczęśliwie dawny uraz na punkcie prywatnej własności”. A wiecie, państwo, jak on nazwał swój jacht? „Wielki Październik!”. To już nie jest gra pozorów, to jest manifest surrealistyczny Bretona. Słusznie Marks w „Osiemnastym Brumaire Ludwika Bonaparte” zauważa, że...

— ... Jacenty! Marksaście wygrzebali! Niedługo króla Łokietka zacytujecie!

— ... a ten samarkandzki mędrzec mi na to: „Owszem, możesz nie pracować dla policji, jeśli masz dostatecznie wysokie stanowisko, by policja pracowała dla ciebie”...

— ... jaki on tam Tatar? Zawracanie głowy! Czyś mu się pan kiedy z bliska przyjrzał? Arendziarz jego prababkę pod Nowogródkiem dogonił, a nie Tatar!...

— ... Bączek, martwa naturo, Władysiovi dolej! Goście nam trzeźwieją!

Henryk dusił się w tym towarzystwie. Co roku przysięgał sobie, że jego noga nie przekroczy progu tego domu, i co roku ulegał Helence. Dziwił się Sylwestrowi, że tak dobrze czuje się pod tym dachem i co kilka minut wznosi toasty na cześć Bączka i jego koszmarnej baby. Ot, pieczeniarsz i kombinatorsz! Taki sam jak inni. Poeci-na przy tym niemrawy: Eros z papieru, muzykalizacja świata, motylki omdlewające na szypułce wiatru, czasem cmentarne robaki na deser, — gorsze toto od sarmackiego rypcium-pypcium, hu-ha! Ani kapłan ani błazen. Do kapłaństwa trzeba wiary, do błazeństwa talentu. Jak to tylko powiada cierpki kronikarz: *„Kapłan i błazen w jednym stoją domu. Kapłan na górze, a błazen na dole. I jedną pensję biorą po kryjomu od swego władcy!... Diabli z dzisiejszymi literatami! Gruboskórna zwierzyna. Bez wyobraźni moralnej, społecznej, historycznej. Żeromski, patrząc na gotycki kościół czuł na plecach ciężar cegieł, jakie po drabinach wnosili w pocie czoła średniowieczni murarze. Tuwim płakał, gdy mówił o wypędzeniu Arian, ścięciu i spaleniu Kazimierza Łyszczyńskiego, zniszczeniu Rakowa. Witkacy nie chciał przeżyć końca swojego świata. A ci współcześni Osińscy, ptactwo niskiego lotu, piją brudzia z czarnosecińcami. Ale po cóż ta kabotyńska pretensja? „Serca nienasycone” dziś śmieszą, nie każdy może być Żeromskim, a trywialny podglądacz, Frąś, gotów jeszcze pomyśleć, że jestem zazdrosny o tego mydłka, Sylwestra...*

— Ziółtek, napij się, bo zwiędnie! — posłyszał wrzask Bączkowej. — Podlać go, bo nie urośnie!

— A kto nie wypije, tego we dwa kije! — zaśpiewał pułkownik. — Łupu-cupu, łupu-cupu, tego we dwa kije!

— Jak chcesz, to zostań! — rzekł do Helenki. — Ja już się ubawiłem i wychodzę.

— Nie wypada — jęknęła. — Poczekajmy aż się zaleją.

Znowu Frąś. „Człowiek jutra” w swoim repertuarze:

— Idę ja więc do tego Tyki i mówię: „Profesorze, słyszę, że patriotyczny ruch odnowy nazywacie nacjonalizmem, który ogranicza horyzonty umysłowe i przytępia kryteria moralne. Czyście się na starość nabawili wysypki kosmopolitycznej?”...

— Nieźleś go załatwił — ucieszyła się żona docenta.
— No, to pejsachówki!

Znowu Frąsiowa. Od Frąsiowej, hożej wiochny, „Miss Biust” na rok 1968 (konkurs w Złotych Piaszkach), biły dwa, nie skoordynowane ze sobą zapachy. O ile dekollet jej skropiony był, i to hojnie, perfumami, które docent przywiózł niedawno z Paryża, o tyle główkę owiewały swojskie wonności: nie będąc blondynką „platinową” czy „miedzianą”, ale „rumiankową”, i nie tyle dla rozjaśnienia grzywki, co dla usunięcia łupieżu i łojotoku włosów (poufna informacja Bączkowej!) spłukiwała swoją ruchliwą, jakby ptasią, główkę naparem z rumianku.

— Nigdy nie była wykwalifikowaną fryzjerką — syknęła Helenka — zaledwie dopuszczano ją do manicure. U boku docenta wyrobiła się politycznie.

— Fryzjerstwo, szlachetny zawód! — odburknął Henryk. — Są gorsze: nic tak człowieka nie plami jak atrament i drukarska farba...

Gdzie spojrzeć, Frąsiowie. Albo on albo ona.

Frąsiowa niezwykle miała usposobienie: piękniała wprost w oczach, gdy dowiadywała się o cudzym nieszczęściu czy choćby niepowodzeniu. Łaknęła takich wiadomości jak wędrownik na Saharze deszczu. Nawet złamanie nogi na nartach przez koleżankę czy złe świadectwo szkolne dziecka sąsiadki sprawiały jej przyjemność.

— Czy to prawda, że Jasio swoim nowiutkim Mercedeseś wyrznął w latarnię? — zalsniły jej oczy. — Nareszcie osiągnęło tego bufona! Mam nadzieję, że wóz w proszku! Jest sensacja: Kazikowi z redakcji *Sztuki* powinęła się noga: przyłapano go na nielegalnym wywozie antyków...

— Czyżby swoją żonę wywoził? — zapytał przystojniś z baczkami, i całe towarzystwo omal nie umarło ze śmiechu.

— Podobno ta Julka, co nie wróciła z wycieczki „Orbisu” — Frąsiowa piękniała z minuty na minutę — od dwóch miesięcy leży w paryskiej klinice: depresja maniakalna. Wyrывała się do tego Zachodu jak ćma do lampy. I jak się to skończyło? Opaliła sobie skrzydła! Czytaliście, jak Francuzi zerznęli w prasie nowy film Jędrusia? Dobrze mu tak! Jest nowa bomba: jednak państwa Bergów, wyobraźcie sobie, wylądował w poprawczaku! Za co? Za włamanie do „Desy”! Zabawne, co? Bergowa jest przecież autorką książki o zwalczaniu przestępczości wśród młodzieży. Cudze wychowujecie, swego nie znacie, sami nie wiecie, jakiego gagatka w domu macie. Zasłużyła na swój los! Nie ma jej co żałować.

Ale to nie koniec czarnego biuletynu. Frąsiowa koniuszkiem różowego języczka oblizała apetyczne wargi i radowała się dalej:

— Pewnie pamiętacie tego nieuka Rybkę vel Fisza, asystenta socjologii, który się stawiał Władysiovi w marcu? Stróżem nocnym jest w Kalifornii. Myślał, że mu tam katedrę dadzą. A wiecie co mu dali? Miotłę do zmiatania podwórza!

Henryk nie wytrzymał:

— Znaliście może Ziółkowskiego, który się nikomu nie stawiał? W czasie pobytu w Paryżu wjechał windą na szczyt wieży Eiffla i rzucił się głową w dół.

— Kiepskie żarty! — powiedział Frąś. — Zresztą, technicznie niewykonalne: tam jest bariera, siatka i grube szkło. Neurasteników strażnik nie spuszcza z oka. A nie ma większej kompromitacji, mistrzuniu, jak samobójstwo z *happy-end*’em.

Tymczasem pod trzema Fałatami już dymiło z czupryn. Mówiono głośnie i bełkotliwiej. Po warszawsku „I” coraz głębiej ginęło pod podniebieniem. Bas solenizanta zagłuszał wszystkich.

— Bączek przez telefon też tak huczy — wyjaśniała pułkownikowa — on ten wynalazek przeżywa dopiero w pierwszym pokoleniu. U nich, na wsi, też pohukiwali na siebie od chałupy do chałupy.

Nieznosnym tonem moralisty z Koziej Wólki: „No, proszę, nie mówiłem? Sprawdziło się! Do tego dojść musiało. To się zawsze tak kończy”, tonem przez który przebijają mieszanina *Schadenfreude*, zawiści, bezwiednego podziwu przysiołka dla „wielkiego świata” a może i łut szczerego współczucia, Bączek mówił o morderstwie w willi polskiego reżysera w Hollywood i śmierci Hłaski w Wiesbaden. Sarmacki morał tej wypowiedzi był prosty: „Siedzieliby, panie dziejaszku, u nas, w domu, grzecznie na tyłku, a nic złego by się nie stało. Diabeł czyha za opłotkami. Wszędzie dobrze, w domu najlepiej. Wolę polskie g.... w polu, niżli fiołki w Neapolu”. Ktoś pomstował na strajki we Włoszech i Anglii, wyrażając zadowolenie, że u nas panuje ład i porządek. Kto inny znów ostro potępiał anarchię i nihilizm młodzieży na Zachodzie, radując się, że nasza przyszłość narodu jest zdrowa.

— Rewolucja z nudów — wołał otyły brunet z baczkami. — Do roboty ich zagnać!

— Destrukcja pod patronatem zawsze tych samych sił — wtrącił Frąś. — Marcuse nazywa się ten apostoł.

Henrykowi przyszło na myśl, że socjaliści na wschodzie i kapitaliści na zachodzie zbratani są wspólną obawą przed brzękiem wybijanych szyb. Ten lęk silniejszy jest od różnic programowych. „Porzundek musi być!”. Po obu stronach barykady.

— Mądrze, Kubuś, mówisz! — Bączkowa pocałowała bruneta w lśniące baczki. — A papież, to po mojemu, powinien znieść celibat. Niech się naród mnoży. Bączek, nie śpij! Dolej Władeczkowi!

— *A propos*: studenci — wtrącił się Stawczyk, który dla zamanifestowania swej przynależności do cyganerii artystycznej zjawił się w pomarańczowej kamizelce obszytej paciorkami. — „Wolna Europa” — ja nie słucham,

gosposia mi opowiadała! — nadała zeszłej nocy pełny tekst mowy, jaką u nas, w Warszawie, przed sądem wojewódzkim miał wygłosić student Michnik. Ciekawe, od kogo oni dostają te materiały? Skąd ten przeciek?

Henryk przypomniał sobie o śmierci Zalcmana, zastraszonego kuca w binoklach, który wolał wybrać się na tamten świat niż wyjechać z odczytem do Danii. Nie dowierzając własnym uszom, w chwilę później wśród pijackiego zgiełku rozpoznał swój rozdygotany głos:

— I ja wysłuchałem tej audycji. Odważne przemówienie. Ten Michnik ma w sobie coś z filarety i Cezarego Baryki. Niewielu ludzi umie dziś żyć z podniesionym czołem. Powiedział, że okna naszego domu powinny wychodzić na słoneczną stronę.

Wrzawa na chwilę przygasła, lecz znowu buchnęła jasnym płomieniem, bo oto niezgrabnemu solenizantowi wysliznęła się oliwka z palców i wylądowała szkockiej żonie Stawczyka za dekoltem.

— Żartujesz chyba, Heniek! — powiedział Sylwester. — Kopiesz piłkę na *out*, oto zgubne skutki nie picia wódki.

— Zwariowałeś? — chuchnęła mu Bączkowa wódczanym jadem w ucho. — Komunistów bronić będziesz? Komunę, Heniu, za d...!

— Co do tych okien — uśmiechnął się Frąs na pożegnanie, — to u Michników, w Tel-Awivie, ze względu na klimat, powinny wychodzić na cienistą stronę...

Już w furtce docent pozwolił sobie na cios poniżej pasa:

— A może to skutki waszych rozmów z tym... Niemcem, Leonhardem? Polak Niemiec, dwa bratanki, he-he!

Miłe zakończenie miłego wieczoru.

I pomyśleć tylko — przeszło Henrykowi przez głowę — że gdybym to wszystko, co u Bączków widziałem i słyszałem — brrr, te scenki „środowiskowe”! — spisał kiedyś na papierze, krytyka słusznie by mi wytknęła, że lubuję się w płaskim pamflocie.

— Zachowałeś się skandalicznie! — zawołała Helenka w taksówce, gdy wracali na Jezuicką. — Jak pęta! Jak szesnastoletni pęta! Wstyd mi było za ciebie. Co się z tobą dzieje? Czyś ty oszalał?

— Szanowny małżonek — wtrącił się pojednawczo rozmowny taksówkarz — zapewne z jakąś obcą lalunią, że tak powiem... Ludzka rzecz!

— Gorzej! — odrzekła Helenka. — Rozpolitykował się staruszek.

— Domyślam się — rozległo się za kierownicą. — Też ludzka rzecz. Jak człowiek sobie podpije, zawsze tam coś w niewłaściwą stronę wykrzyknie. A nie daj Boże, jak w złą dziurkę wleje! Znam się na tym najlepiej. Tak-sówka w nocy, to konfesjonał na kółkach. Ja tam, pani złota, wczoraj o świcie jednego ważniaka z Lublina z popijawy w ruskiej ambasadzie do hotelu odwoziłem, order mu tam przypięli, Lenina z gipsu wręczyli, na kolanach go, jak dziecko, wewnątrz wozu trzymał i po białej, gładkiej główce gładził pieszczotliwie, a wiesz, pani, co on przy tym po pijanemu wyśpiewywał: „Hej, na koń! Szablę w dłoń! Bolszewika goń, goń, goń!”...

Po powrocie od Bączków Henryk nie zmrużył oka do rana. Za wiele spraw legło mu na sercu.

Taki Zalcman! On się nie bał — myślał w nocy, znękany bezsennością. — A ty, smutny bohaterze niedobrej groteski, sam już nie wiesz czego się bardziej boisz: życia czy śmierci? Śmierć, mówią, nie jest straszna, straszne jest umieranie. Taki Zalcman! Kucyk Zalcman, imitacja dorosłego człowieka, przez całą wojnę ukrywał się przed łapaczami, poznał cenę życia i śmierci, uciekł z getta, przeżył piekło, wszczurzał się w każdą dziurę, po powstaniu zagrzebał się w gruzach, od września do stycznia przesiedział na Powązkach, pod ziemią, w grobowcu rodziny Herse'ów, a teraz, na wolności, na wiosnę 1970 roku... A ty? Czy boisz się śmierci, której cena podobno maleje w czasie wojny, ale wzrasta w latach pokoju? Podczas

wojny bałeś się, że nie doczekasz zwycięstwa dobra nad złem, — tak jasno jawiły ci się te sprawy. Wtedy, w Dreźnie, gdyś dostał się między żarna *Volksgerichtshofu*, ze strachu przed śmiercią ocaliłeś swe życie. Po prostu: podniosłeś głos w sądzie. Czułeś że nie masz już nic do stracenia: co kilka minut zapadał wyrok śmierci, sędziowie śpieszyli na obiad, byłeś dwudziestym, a więc ostatnim w kolejce, każdej chwili mógł zaterkotać dzwonek na przerwę, jeszcze moment a ostemplują ci drelich w drzwiach po lewej stronie. Jednymi drzwiami wprowadzano więźniów na salę, trzech sędziów za wysokim stołem nawet nie podnosiło oczu znad papierów, a w drugich drzwiach, już po wyroku, przybijano skazańcom smołą na plecach literę „T” (*Todeskandidat*). Gdyś wszedł do tej sali z bryłą lodu w piersi, spostrzegłeś że na ławie, tuż koło ciebie, jakiś młody człowiek w mundurze czytał książkę z sową na żółtej okładce. Był to twój obrońca z urzędu, który nawet nie zaszczycił cię spojrzeniem. Nie wiadomo dlaczego ten właśnie szczegół zabolął cię najbardziej. Poderwałeś się z ławki i krzyknąłeś: — „*Ich protestiere!* Protestuję przeciwko temu, by w niemieckim trybunale podczas rozprawy sądu doraźnego mój obrońca czytał romans kryminalny!”. I wtedy — stał się cud! Utrafiłeś przypadkiem w uśpiony nerw praworządności, w pragermański imperatyw moralny: *Ordnung muss sein!* I bezprawie ma swój etos. Zwróciłeś na siebie uwagę. Mrówka na moment wyszła z mrowiska. Przestałeś być anonimowym numerem. Ten bałwan z żółtą książeczką w rękę niechcący ocalił ci życie. Przewodniczący poderwał się z miejsca, uderzył pięścią w stół i zawołał: „*Herr Rechtsverteidiger! Unterlassen Sie diesen Unfug!* Nie wolno panu czytać książek w czasie rozprawy! Nie wolno obrażać godności sądu! Do tego już doszło, że Polak musi pouczać niemieckiego prawnika jak się ma zachowywać w sądzie!” — Gładko naoliwiona maszyna do zabijania niewinnych ludzi utknęła na kilka minut. Ci trzej za stołem coś do siebie szeptali. Głównym oskarżonym na tej

sali już nie byłeś ty, lecz twój obrońca. — „Skąd umiesz po niemiecku?” — zapytał jeden z sędziów, nakładając okulary. — „Mając piętnaście lat, przełożyłem kilka wierszy Rilkego na język polski!” — odrzekłeś rozdygotanym głosem. Starszy pan za stołem — dopiero teraz spostrzegłeś że jest w cywilu — rękawem togi zamiótł zielone sukno na stole i rzekł łagodnym głosem: — „Prawo jest prawem, paragrafy są paragrafami. *Zum Tode verurteilt! Ale... vielleicht... może?*” — „Przybić czy nie przybić?” — zapytał strażnik w drzwiach. — „Przy... biiić!” — rozległo się po namyśle za stołem. Przybili ci więc smołą literę „T” na drelichu, odprowadzili cię do podziemnej celi na Hans-Bähr-Strasse, gdzie przez 67 dni czekałeś na wykonanie wyroku, co dzień o świcie słysząc stukot gilotyny. Sześćdziesiątego ósmego dnia weszło do celi dwóch mężczyzn w mundurach i zakomunikowało ci dobrą nowinę: przewodniczącemu trybunału, po porozumieniu się z odpowiednimi władzami, udało się zamienić najwyższy wymiar kary na 35 lat zaostzonego obozu pracy karnej... Dopiero wtedy straciłeś przytomność. A gdyś przyszedł do siebie, strażnik poklepał cię po ramieniu: — „Miałeś, gówniarzu, szczęście! Gdybyś nie krzyknął w sądzie na swego obrońcę, już byśmy dawno twój mózdek zasypali trocinami w pralni!”. Miejsce straceń tamtejsi strażnicy nazywali *Waschküche* czyli „pralnię”. Na gilotynę zaś mówili *Waschmaschine* czyli pralka.

Więc co? Znasz w końcu cenę życia czy jej nie znasz?

Strumiłło mówi, że „tego kuca”, Zalcmana, na kilka godzin przed śmiercią strach złapał za gardło. Biegał po Warszawie jak zaszczute zwierzę. W rozpiętym palcie, spocony, bez binokli, z przekrwionymi białkami, wpadał do bram, by z nich po chwili z powrotem wybiec na ulicę. Do przechodniów wołał: „Ratunku!”. Myślano, że jest pijany. Wskoczył do taksówki, pojechał do domu. Taksówka czekała na dole. Wbiegł po schodach na górę, jakby go ścigano. Po kilku minutach, przeskakując stopnie, zbiegł w dół. Wywrócił się w sieni, ale kartonika

z rąk nie wypuścił. Jeszcze w taksówce owijał go papierem i sznurkiem. Kazał się zawieźć na urząd pocztowy. Cały w dygocie, przepychając się w ogonku, nadał przy okienku poleconą przesyłkę. „Ekspressem! — wołał — ekspressem!”. Reszty z pięćsetzłotowego banknotu od urzędnika nie wziął. Wypadł z budynku pocztowego. Na czerwonych światłach, nie zwracając uwagi na gwizdek milicjanta, przebiegł jezdnię i zaszył się w tłumie. Gdy wrócił do domu, zbił się w bramie z synem sąsiada. Zziębnięty, wyjaśnił młodzieńcowi, że odesłał ministrowi swoje odznaczenia i dyplom, jaki kiedyś dostał za tłumaczenie bajek gruzińskich, i że na zawsze wyjeżdża z kraju. Student życzył mu szczęśliwej podróży. Wtedy wzruszył się i podarował chłopakowi wieczne pióro. W kilka minut potem zabarykadował drzwi swego mieszkania szafą i zamknął okiennice...

Helenka uważa, że nie należy się zbyt przejmować gestem Zalcmana, gdyż on to zrobił pod wpływem „krótkiego spięcia”; w każdym kraju, nawet w Szwecji i Szwajcarii, co roku tysiącom ludzi „przepalają się korki w mózgu” i odbierają sobie życie. Uwaga, zaiste, na poziomie tych mądrali, którzy nie przywiązują większej wagi do wojennych strat ludności cywilnej w Azji i na Bliskim Wschodzie, bo przecież każdego *weekend*’u ginie na autostradach więcej ludzi w wypadkach samochodowych. — „Niech się taki Kraft zamartwia śmiercią Zalcmana — mądrzy się Helenka — ale nie ty! On się z nim przyjaźnił jeszcze przed wojną, we Lwowie! A tyś tego karzełka nawet nie znał osobiście!”...

„Niech się taki Kraft...” Też mi kandydat na żałobnika! Przecież kto jak kto, ale Kraft na pewno nie pójdzie na pogrzeb Zalcmana. Nie wiadomo, doprawdy, który okaz w naszym bestiarium gorszy: prezes Hazdrubał, docent Frąs, pułkownik Bączek czy ten profesor Kraft?

Henryk przypomniał sobie ów idealnie zbędny „okrągły stół” w Salzburgu, imprezę sprzed niespełna roku. Towarzyszył mu w podróży właśnie ten oślizgły, jakby

z wazeliny ulepiony, luminarz Kraft, którego, o dziwo, w ostatniej chwili, podobno na życzenie samego Zenka, „wstawiono” do delegacji. Pewnie dlatego, że niektóre pisma na zachodzie doniosły o zmierzchu politycznej i naukowej kariery Krafta w Warszawie. Tak, tego samego Krafta, który w czasie stalinowskiego zaćmienia słońca nie tylko obnażał kły, warczał i toczył pianę, ale i kasał „maruderów historii”. Ilu opornych rozgniół obcasem doktrynerstwa! Ile łez wylała nad jego podręcznikami młodzież, tęskniąca do niezależnej myśli! Aliści w Październiku zaszła w profesorze nagła przemiana: stanął w pierwszym szeregu odnowicieli! Wypowiedział walkę dogmatyzmowi. Ale... nie na długo. Gdy na górze padło hasło: „Nie kołysać łódką, bo wypadniemy za burtę!”, Kraft restalinizował się błyskawicznie. Zaczął piętnować „rozrabiaczy”, którym się roi niebezpieczny dla dalszych losów ustroju „humbug socjaldemokratyczny”, wytrych do restauracji kapitalizmu. Jeszcze asystenci profesora nie ochłonęli z wrażenia, jakie na nich wywarła październikowa podróż zatwardziałego dogmatyka do Damaszku, a już nawrócony Paweł przemienił się w Szawła. Zdarza się nieraz na korcie tenisowym, że publiczność nie może nadążyć wzrokiem za lotem piłki. Podobnie i obserwatorzy akrobatycznych ewolucji Krafta: jeszcze się nie przyzwyczaili do nowej roli profesora, do roli nieprzejednanego neostalinowca, a tu już nowa czyhała na nich niespodzianka! Kraft z kolei wystąpił w roli odważnego odkurzacza marksizmu-leninizmu. Niczym ów bohater Molièra, który odkrył, że mówi samogłoskami, profesor zauważył, że skład zasad wpajanych milionom ludzi między Władzywostokiem a Erfurtem, nie przynosi odpowiedzi na odwieczne kłopoty człowieka z istnieniem i nie zaspakaja jego głodu szczęścia. Na Zachodzie felicytologa Krafta z miejsca pasowano na gwiazdora „nowej fali”, a gdy na jednym z zagranicznych sympozjów sporządził katalog punktów stycznych między otwartym marksizmem a postępową myślą katolicką, napisano o nim, że

„ochrzcił Marksa”. Kontestatorzy wszystkich obrządków, łącznie się! Sielanka! Ale już po kilku miesiącach profesor spłatał publiczności po obu stronach żywopłotu nową niespodziankę. Po „wydarzeniach marcowych”, po wyjściu młodzieży na ulicę, przerażony, że go w Domu Partii zaliczono w poczet „rewizjonistów” i kryptodayanowców, rzekomych inspiratorów tychże „wydarzeń”, znowu się przeobraził i zaczął się z łoskotem bić w pierś, ale w cudzą. Ostro potępił poglądy, które głosił jeszcze przed kilku miesiącami. „Odciał się” od „wysoce szkodliwej” działalności „kacerza” i „szczurołapa” Kołakowskiego, który swoim flectikiem wywiódł maluczkich w topiel. Nie dość na tym: przebrał się w togę prokuratora! Tym, którzy go przed rokiem wyciągali z kadzi za uszy, gdy naraził się manadarynatowi jako „naprawiacz zepsutego zegarka”, zarzucił... brak czujności! Takiej sztuczki na trapezie rozkołysanym pod samym dachem cyrkowego namiotu dawno już nie widziano. — „Ja od lat ostrzegałem, że pobłażliwość dla odchyleńców musi się źle skończyć!” — przedzierzgnął się w niewysłuchaną na czas Kassandra. I wreszcie w ludzką uderzył strunę: ze łzami w oczach mówił o swoim dramacie osobistym. Zaapelował do towarzyszy, by uwzględniili jego długoletnią i konsekwentną walkę z rewizjonizmem w każdej postaci... Już nie był lisem, był skunksem. — „Prof. Kraft przeszedł sam siebie. Takiego spektaklu nie pamiętano od czasu stalinizmu. Na sali nastała konsternacja. Ten majstersztyk bezwstydu ugodził nas nie tyle w serce co w system trawienny. Miałem ochotę wybiec do toalety i resztki obiadu zrzucić do porcelanowej muszli — zwierzał się później Bączkowi moralista Hazdrubał, który zresztą sam się najadł strachu na tej inkwizytorskiej sesji. — Doszło w końcu do tego, że nikt nie chciał przydepnąć robaka, by sobie buta nie pobrudzić. I to go w pewnym sensie ocaliło!”.

Brr, cóż za uroczy półświatek! Dżungla w samym sercu Warszawy! Myśliciel Kraft z pewnością nie pójdzie na pogrzeb swego dawnego przyjaciela, Zalcmana. Gazety

nie ogłaszą wspomnień pośmiertnych o uciekinierze z tego świata. Za dwa tygodnie nikt już nie będzie pamiętał o tym „pożałowania godnym incydencie”.

Henryk przypominał sobie jeszcze, że tuż przed zakończeniem salzburskiej imprezy „Współlistnienie — nakazem chwili!” jeden z „polskich londyńczyków”, emigrantów nieprzejeżdżanych, nachylił mu się w ogródkowej kawiarence do ucha: — „Ludzie! Jak można było przywozić Krafta! Czy da pan wiarę, że przed godziną ten stary wróbel zwrócił się do mnie z apelem, abym czym prędzej zorganizował w prasie zachodniej, przede wszystkim w niemieckiej, kilka ostrych ataków na jego ostatnie, superpoddające torsje w Warszawie. Twierdzi, że mu to osobiście pomoże! Nie tylko osobiście! Tego ponoć wymaga dobro naszej wspólnej sprawy! Bo on Wallenrod do kwadratu! Ale tym razem na pomoc z naszej strony liczyć już nie może. Trudno! Przebrał miarę! Ile metamorfoz i taktycznych wygibasów pana Krafta może znieść widownia w kraju i za granicą? Pięć? Dziesięć? Ale nie jedenaście! Odprawiłem go z kwitkiem. — „Jedź pan do Azji i wstąp do klasztoru buddystów! Tam pana jeszcze nie było!” — odwróciłem się na pięcie, zostawiając go z szeroko otwartym otworem po środku twarzy”...

Jeszcze tylko dwa dni do oddania manuskryptu, a kartka, wkręcona w wałek Remingtona, nadal czysta jak łąka. Ani jednego słowa! Henryk miał uczucie, że zegar zawisł mu kamieniem młyńskim na szyi i zaraz wciągnie go w topiel. Zdjęty lękiem, zadzwonił do sekretariatu, prosząc o przedłużenie terminu oddania tekstu choćby o tydzień. Wił się przy tym jak łośrzyk, przyłapany na bezceństwie:

— Basiuńciu, ozdobo rodzaju żeńskiego, ratunku! Proszę powiedzieć, że przez dwa dni chorowałem, coś z oczami, a później gdzieś mi się trzy pierwsze kartki maszynopisu zagubiły, pisałem, niestety, bez kalki, taki pech, jakże trudno zrekonstruować coś, co się już raz napisało na piątce z plusem...

Basiulek, przekazując prośbę szefowi, nie dość szczerze zasłonił łapką słuchawkę, bo do uszu Henryka, jakby zza kotary, doszły erupcje Hazdrubalowej irytacji:

— Żadnych wyjątków! Ja się na to zgodzić nie mogę! Bałaganiarz, leniuch, blagier! Z nikim innym nie ma tyle kłopotów co z tym histerykiem. W głowie mu się przewróciło, odkąd go w Maisons-Laffitte pochwalili. Przypomnij mi, proszę, bym go w związku z tym „wyróżnieniem” nakłonił do napisania pogadanki przeciwko paryskiej *Kulturze!* (Nawet w złości Hazdrubal nie mówi: „żebym mu k a z a ł napisać, on tylko „powierza zadanie”, „sugeruje” lub „nakłania”). Żadnej dyscypliny pracy! Tumiwisizm i bylejactwo! Dowcipuszki w kantynie, plotki na mieście, nowelki z „kluczem”, złośliwy, podstępny aluzjonizm — na to ma czas i ochotę. Od lat mu idę na rękę. Ile ja w życiu dla niego zrobiłem, a teraz tak mi się wywdzięcza! Stawczyk ma rację: należy się wystrzegać typów urodzonych pod znakiem Skorpiona. Już ja wiem gdzie go boli: gruczoł próżności i snobizmu. Pięknoduszek, na opinię środowiska wyczulony. Wstydzi się pisać na zamówienie. Wiadomo: zaangażowanie hańbi, a propaganda jest ponoć rodzoną siostrą prostytucji. Teraz każdy pastuszek chciałby pisać pod Joyce’a. Sprytnieńki, nie ma co! Chce się wykręcić od niewdzięcznej roboty. Filut! Udaje zepsuty instrument muzyczny, w istocie zaś rzecz pachnie sabotażem. Kto nie z nami, ten przeciwko nam! Ale nie ze mną takie sztuczki, panie Ziółkowski, nie ze mną! Już ja wiem kto go podbuntował. On taki dawniej nie był. Ale to moja wina. Bawolikowa miała rację: jestem za dobry dla ludzi. Na to węzowisko intryg i anarchii potrzeba twardej ręki. Ale to się od dzisiaj zmieni...

Pouczająca minuta prawdy: Hazdrubal bez maski.

Dłuższa cisza po burzy. Przyśpieszony oddech w słuchawce. Czyżby Hazdrubal, mimo irytacji, obmacywał swoją maskotkę? I wreszcie Basiulek obrażonym tonem, jakby to i jej wyrządzono osobistą krzywdę, oznajmił Henrykowi:

— Pan prezes w drodze wyjątku zgadza się na trzydniową zwłokę. Cztery dni i ani godziny dłużej.

Fatalny był ten kwiecień. Nawet sen nie przynosił ulgi. Jakby nie dość było zgryzot na jawie, jeszcze w nocy odżywałyienne kłopoty. Oto skutki zanieczyszczania wyobraźni niewłaściwą lekturą. I tak przyśnił mu się znieenacka — tego jeszcze brakowało! — nie kto inny a sam pułkownik Borys Mikołajewicz Kampow we własnej osobie, czytelnikom literatury radzieckiej znany jako Borys Polewoj. A kysz!

Sen w bieli. Henryk leżał, związany, w przychodni lekarskiej. Czuł ból w przegubiu i w pęcinach. Nie, to nie były zwykłe postronki, lecz trudna do rozerwania taśma magnetofonowa i wstążka Remingtona. Polewoj w białym kitlu nachylał się nad nim rytmicznie, jak piastunka. Dostrzegł jego zastroskane spojrzenie pod gęstą brwią, zamaszystą czuprynę przyprószoną siwizną, starannie wygolony podbródek. Uderzyło go podobieństwo Polewoja do Breżniewa.

— Przyjacielu — doszedł go życzliwy głos samarytanina — nic ci tutaj nie grozi. Jesteś w Moskwie na ulicy Worowskiego, w oficynie dawnego pałacu Rostowów. Pewnie pamiętasz ten budynek z „Wojny i pokoju”? Była tutaj niedawno redakcja *Junosti*, a teraz jest klinika dla nieufnych. Tutaj rozprasza się wątpliwości serdecznym uściskiem dłoni, tutaj leczy się dobrccią. Brak zaufania jest chorobą uleczalną. Dlaczego nam nie ufasz? Czy nas nie lubisz?

— Ufam wam — jęknął — lubię was.

— Łże! — odezwał się kobiecy głos za plecami Polewoja. — W jesionce Ziółkowskiego znaleźliśmy gryps wszyty w podszewkę: „Może ktoś z was urzędem, orderem zhańbiony, duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara i dziś na progach jego wybija pokłony. Może płatnym językiem triumf jego sławi...”.

— To nie ja, to Mickiewicz!

— Ładnie to, towarzyszu, podchodzić braci Moskali?
— oczy Polewoja zaszyły smutkiem. — Ładnie to włamywać się po nocy do klasztoru i z latarką elektryczną w rękę sprawdzać w pamiątkowej księdze datę mojego pobytu na Jasnej Górze?

— Nie sprawdzałem! To plotki! — targnął się w więzach.

— Docent Frąś cię widział.

— To prowokator!

— A czy tobie, rybeńku, w Warszawie wolno o wszystkim pisać?

— Nie wolno.

— To dlaczego się gorszysz, że w moim „Notatniku z Norymbergi” nie napisałem w jaki sposób Trybunał Międzynarodowy odniósł się do sprawy Katynia?

— Nie gorszę się.

— Nawet we śnie prawdy nie mówisz. Sylwestrowi ufasz?

— Jakże mu mogę ufać, skoro to mój przyjaciel? Nazwisko: Osiński, zawód: donosiński.

— A Helence ufasz?

— Tym bardziej nie. Przecież to moja żona.

— Ja ci, Heniuś, dobrze radzę — rzekł nagle Polewoj z warszawska, po knajacku — ty lepiej zejdz ze mnie, bo zdrowie do reszty stracisz! Cóż z tego, że inni oficerowie wpisali się do tej księgi 18 stycznia, a ja dopiero w sześć dni później? Z tego nic nie wynika. Jesteś, koleś, przesadnie podejrzliwy. Musisz się leczyć! Nieufni żyją krócej. Siostro, dajmy pacjentowi zastrzyk uspakajający...

Obudził się we właściwym momencie: bo już Bawoli-kowa, odsłaniając żółte zęby w uśmiechu, zbliżała się ze strzykawką. Jeszcze sekunda, a zatopi ostrą igłę w obnażonym ramieniu...

Usiadł na łóżku. Otarł pot z czoła. Sen mara! Salwa lęku. Gorzej: senny szmonces. Z ulgą stwierdził, że jest na Jezuickiej w Warszawie, a nie w klinice dla nieufnych. Ale niewiele już brakuje, by przez Hazdrubala i Pole-

woja dojrzał do dłuższej kuracji w podmiejskim sanatorium. Przynajmniej swoim losem przyświadczy żelaznej prawidłowości, że trzeba, doprawdy, być szaleńcem, by się obrażać na obecną rzeczywistość. Jest przecież dobrze, a będzie jeszcze lepiej.

Nie myśleć o ludziach! Myśleć o drzewach i kwiatach. To prawda, że w porównaniu z innymi wielkimi miastami w Europie, nasza stolica zieleni ma niewiele. Ile liści przypada na jednego mieszkańca? Tym bardziej cenić je trzeba. Znajoma akacja za firanką wodotrysku w Dolinie Szwajcarskiej, ptactwem roztrzęsiony krzew leszczyny w Łazienkach, jakiś listek nieśmiały, drżący pośrodku splekanej kory w Wilanowie, lecz najcieplejsza fala opływa serce, gdy pod przymkniętą powieką pokażą się na chwilę irysy wśród alejek, tam gdzie w dzieciństwie stawiałeś pierwsze, niepewne kroki. Nawet przed rokiem, w Paryżu, na spacerze z wyklętym przez nasz mandarynat poetą, ledwieś poczuł żwir Ogrodu Luksemburskiego pod podszewą, pomyślałeś o Parku Ujazdowskim, o tej skąpanej w jasnej zieleni trasie, która wydawała ci się w dzieciństwie najdłuższą drogą na świecie, a wiodła od Pięknej do Belwederu...

Nie myśleć o żywych! Myśleć o cieniach osób najbliższych, związanych z tym miastem. Jak zza grubej kurtary słyszać głos zmarłego ojca: „Przed tym domem, w listopadzie osiemnastego roku, rozbroiłem niemieckiego żandarma!”. I już wyłania się z mgły czasu secesyjny dom Towarzystwa Lekarskiego przy Niecałej 7. Odwiedzali to miejsce, pamiątkę rodzinną, podczas niedzielnych spacerów, a ojciec za każdym razem z miną Jagiełły pod Grunwaldem uderzał laską w latarnię uliczną i mówił: „O, tutaj tu było!”. Jakby ten czyn waleczny zadecydował o dalszych losach miasta. Nic więc dziwnego, że któregoś dnia, chcąc mu sprawić przyjemność, położyłeś gałązkę bzu na miejscu chwały, za co spotkała cię nagroda: kino i lody.

Nie myśleć o żywych! Myśleć o cieniach osób najbliż-

szych. „Tylko przy waszej śmierci bliski jestem życia” — mówi emigracyjny poeta. A oto inny okręt, wynurzony z dna pamięci: dziwny dom na rogu Żelaznej i Chłodnej. Kopułka, facjatka, attyk, biusty i wazony na wspornikach, nisze, pilastry, kolumny, kariatydy — cała wystawa brzydoty, która uchodziła niegdyś za szczyt dobrego smaku. W głębi mrocznego pokoju, w kręgu kloszowej lampy, rzucającej zieloną aureolą na sufit, błyszczą na stoliku pocztówki z reprodukcjami obrazów Jacka Malczewskiego. Zmęczony, kobiecy głos odczytuje podpisy: „Na etapie”, „Sybiracy”, „Niedziela w kopalni”, „Wigilia zesłańców”, „Śmierć Ellenai”. To twoja matka, córka zesłańca. Na palcu ma czarny pierścionek, kajdaniarską pamiątkę z Irkucka. Edukacja sentymentalna małego Ziółkowskiego. A gdy na Kruczej pokazał się kiedyś siwowłoso, zamyślony starzec z długą brodą, ojciec zdjął kapelusz i powiedział: „Ukłoń się, Henryk, temu panu! To Bolesław Limanowski. Powstaniec styczniowy, sybirak, rewolucjonista!”...

Nie myśleć o żywych! Myśleć o cieniach! Zanurzyć rękę w ciemnościach, wydobyć z nich kilka okruchów rozbitego witraża pamięci, wskrzesić na moment ulotny gest i przebrzmiały dźwięk. Jak płynnie ojciec z matką holendrują na ślizgawce w Dolinie Szwajcarskiej! Razem z nimi wirują w mroźnym powietrzu opiółki śniegu, frędzle szala, kłęby pary po każdym wybuchu śmiechu i staromodny walc. A potem nowe olśnienie: dryndą na Hortensję, do pijalni Wedla, na czekoladę z pianką! Misterium pozdrawiania znajomych przy sąsiednich stolikach. Ojciec przed wyjściem wyciera wąsy z kremu. Albo taka przygoda siatkówki: przygotowania do niedzielnego podwieczorku w domu. Matka przyciska do piersi młynek do mielenia kawy. Słysząc chrzęst miazdżonych ziaren pod blaszaną kopułką. Jeszcze kilka obrotów korbką i z głębi cudownego przyrządu ostrożnym ruchem wysunie drewnianą szufladkę, pełną aromatycznego, brązowego pyłu...

Wielu ulic już nie ma: podzieliły los ludzi. Ale jest

plan miasta, który od lat przechowujesz w pamięci, a na nim znaki serdeczne i ogniotrwałe: tędy biegłeś do szkoły, tamtędy na pierwsze spotkanie z dziewczyną; tą ulicą szedłeś po wykładach na zebranie „Płomienistych”, na tamtej zaś omal cię tramwaj nie przejechał, gdyś szedł środkiem jezdni, zatopiony w lekturze swej pierwszej nowelki, wydrukowanej w literackim tygodniku. Tam, za rzeką, jest ulica na której w pamiętnym wrześnie nieprzyjacielska kula urwała ci dwa palce u lewej ręki. Gdybyś miał syna, zaprowadziłbyś go na Białostocką, uderzył laską w latarnię i powiedział: „O, tutaj to było!”. Przy-mykasz oczy i widzisz znajome ulice. Te w któreś wrósł i te które wrosły w ciebie. Gdy wiadomość o sierpniowym zrywie dotarła do twojego baraku, zwleczono cię z pryczy do bunkra za śpiewy po nocy. Dobrze, że nikt cię wtedy nie wydał. Gdyby się Sturmführer dowiedział, że to nie był przebój z filmu „*Frau meiner Träume*”, lecz „Warszawianka”, nigdy byś nie wrócił do rodzinnego miasta. Po Warszawie twojej młodości mógłbyś chodzić z zamkniętymi oczami i wykrzykiwać na głos nazwy mijanych ulic, ba: numery domów! Pamiętasz, któredy wieźli cię nocą na śledztwo i do więzienia, wtedy, w czasie wojny, i później, już po wojnie. Pamiętasz tę długą, mroczną sień w której widziałeś matkę po raz ostatni. I tę ścianę na Madalińskiego, dzisiaj już otynkowaną, gdzie ojca wraz z innymi zakładnikami... Raz do roku, tego samego dnia i o tej samej godzinie, kiedy obsunął się wzdłuż tej ściany, kładziesz gałązkę bzu na chodniku...

Sylwester wybrał się do Frąsów na bridża. Asekurant! Dbą o dobre stosunki z „człowiekiem jutra”. Zmieniają się rządy i ustroje, ale polski inteligent po dawnemu kradnie Panu Bogu czas, łupiąc w bridża. Na wieczorny spacer Henryk udał się więc sam — tym razem zapuścił się Tamką w dół, na Powiśle. Gdy, zatopiony w myślach, wracał do domu, spostrzegł że jakiś starszy mężczyzna próbuje go wyminąć pijackim slalomem, mrucząc coś do

siebie. W świetle latarni błysnęło coś znajomego. Potężna łyśa czaszka w rdzawe plamy, wybałuszone białka, twarz nalana, modny garnitur na korpulentnej sylwetce. Przecież to...

— Skąd my się znamy? — podszedł do pijanego. — Zaraz... zaraz...

— I pan mi coś tego... — wymamrotał grubas niechętnie. — Czy nie... Ziółkowski?

— Jaroszyk! — wykrzyknął Henryk. — „Płomieniści”! To wy żyjecie? Jakże się cieszę!

— Zgadza się, kiedyś Jaroszyk — burknął tamten, nie wykazując cienia zainteresowania spotkaniem po wielu latach nawet rąk nie wyjął z kieszeni. — Dawne dzieje. Chyba żyje...

— Co się z panem działo przez te lata?

— Nieważne. Nie mówmy o tym — skrzywił się Jaroszyk, wycierając półbucik z krokodyłowej skóry w nogawkę. Omal się przy tym nie wywrócił.

— A teraz?

— Prywatna inicjatywa. Samochodami handluję. Koszowy interes. Może chcecie kupić używaną „Cytrynkę”? Dla starych znajomych zniżka.

— Nie, dziękuję — spieszył się Henryk.

— Nachylcie się do ucha, Ziółkowski — wionęło alkoholem, głos miał ten sam, nie znoszący sprzeciwu i chrapliwy — to wam coś powiem. Wszystko zaś jest gównem, wielkie gówno!

Wyjął ręce z kieszeni, przyłożył jeden palec do skroni i oddalił się chwiejnym krokiem.

Henryk poczuł skurcz w gardle. Zrobiło mu się żal własnej młodości.

Wróciwszy do domu, spostrzegł na biurku kartkę od Helenki:

„Był telefon z ambasady radzieckiej. Radca Wołkow dopytuje się w jakim stadium znajduje się twoje słuch-

wisko o Polewoju. Na wszelki wypadek powiedziałam, że już je kończysz. W przyszły poniedziałek przyśle gońca po jedną kopię, do tłumaczenia. Weź się, proszę, natychmiast do roboty, bo jeszcze wynikną z tego poważne przykrości — Helenka”.

Zmiał kartkę i wrzucił do kosza.

Naganiacze! — wzdrygnął się. — Obława na Ziółkowskiego.

Jeszcze jedna bezsenna noc.

O tymże dumać na warszawskim bruku, przynosząc z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa...

— „Zastanów się, czy nie popełniasz tego samego błędu co ludzie, których szczerze nie znosisz, bo uważają się za właścicieli tego plemienia: w przystępstwie rozgoryczenia miałbyś ochotę rozwiązać tych trzydzieści kilka milionów i na ich miejsce wybrać innych, doskonalszych? — sparafrazowała ostatnio Brechta, i to nieudolnie, Helenka. — Przecież nawet cudzoziemcy zalecają łagodne podejście do tego niezwykłego kraju w którym co piąty mieszkaniec stracił życie w czasie wojny, co czwarty żyje za granicą, co trzeci został przesiedlony w wyniku przesunięcia granicy a co drugi ma mniej niż 20 lat!” — „Nic ci się u nas nie podoba — powiedział ten kwaśny brzdąkałoś, Stawczyk, oko i ucho jeśli nie Hazdribala, to Frasia. — Dlaczego więc nie zrzucisz z siebie polskiej skóry, jeśli cię pije pod ramionami? Wyjedź na Ziemię Ognistą i zostań Patagończykiem!” — „Niechęć do dozorców przenosisz na towarzyszy niedoli. Niczym Borowski w obozie — orzekł niedawno Sylwester. — Nawet chorobliwy belgożerca, Baudelaire, nie patrzył równie uprzedzonym okiem na Belgów jak ty na swoich rodaków!” — „Nie chcesz się z nami bawić w Polskę!” — obruszył się przed tygodniem pułkownik Bączek.

Ale czy to prawda? Czy, zapatrzonej w plamy na słońcu, rzeczywiście nie dostrzegasz życiodajnej planety, jej blasku i ciepła? Przecież tak nie jest! Nie tylko więc biologiczna: język, rodzina, krajobraz wpłynęły na twoją

opcję serdeczną. Długa i żarliwa jest twoja litania do ojczyzny napowietrznej, którą znasz lepiej od wielu zawodowych Polaków. Wiesz dobrze za co ją cenisz najbardziej. Za to zdanie o miłości, opoce wszystkiego, promieniające z kart Unii Horodelskiej. Za gościnność, udzieloną wygnańcom z obcych krajów. Za chleb i sól na progu. Za przykaz, że nikt bez sądu więzionym być nie może. Za męstwo ducha na soborze w Konstancji. Za szlachetnie naiwny gest Juranda. Za odważną myśl Kopernika. Za króla który nie chciał być panem cudzych sumień. Za słowa, jakimi Zamoyski pożegnał idącego pod topór Zborowskiego. Za łyzy Kochanowskiego nad trumienką Orszulki. Za drewniane szable Braci Polskich. Za „ogień krzepnie, blask ciemnieje” w kolędzie. Za ofiarę hetmana, który nie chciał ująć spod Cecory. Za zdanie błyszczące na starym pergaminie, że kto raz stopę postawi na tej ziemi, na zawsze wolnym będzie. Za Staszica z pańszczyzną walczącego. Za Pijara, który miał odwagę być mądrym. Za prawodawcę, który zniósł tortury. Za sztandar z hasłem „Za waszą wolność i naszą!” Za te surmy i tarabany, które na długo zastygły w uszach chłopcu pod Nowogródkiem. Za testament Kościuszki w Ameryce. Za pożar na Solcu. Za etiudę rewolucyjną Chopina. Za okrzyk Mickiewicza na papieskiej audiencji. Za listy Julka do matki. Za epilog „Pana Tadeusza”. Za Lelewela na brukselskim poddaszu. Za przedśmiertną rozpacz Bema w Aleppo. Za bullę Ściegiennego do chłopów. Za zryw niedobitków w Kirgizji. Za wyprawę Pana Adama do Turcji. Za nieszczęsny rejs tego statku na którym polistopadowi insurgenci chcieli płynąć na pomoc styczniowym powstańcom. Za pieczętkę Rządu Narodowego. Za mękę pół obłąkanego starca w szlisselburskim lochu. Za Norwida noce i dni w paryskim przytułku. Za ostatni oddech Traugutta. Za Żeromskiego sen o szklanych domach. Za uparty trud Skłodowskiej. Za Conrada stronice o wierności. Za finał „Wesela”. Za samotność Brzozowskiego. Za romantyczny wymarsz z Oleandrów. Za sokoła z Chicago, który dla

ojczyzny ratowania rzucił się przez morze. Za Słowackiego na Wawelu. Za gawrosza z Ciepłej, który pod wrześniowymi kulami roznosił gazety po mieście. Za kolejarza, który dobrowolnie udał się z żydowskimi sąsiadami do getta. Za wymarsz Korczaka na rampę. Za decyzję ojca Kolbe. Za Poleszuka, który spalił sobie twarz przy ratowaniu renesansowej kopuły we Włoszech. Za odważne „Nie!” Pużaka. Za kobiecinę w chustce, która na Powiślu wywoziła gruzy w taczkach. Za ten okrzyk nieromantyczny, jaki wydobył się z piersi nieznanego, skatowanego człowieczka z Woli, gdy go nad ranem, po całonocnych przesłuchaniach na Szucha, przyniesiono w kocu do twojej celi i jak skrwawiony łachman rzucono na podłogę: „No, zarobiło się na koncesje tytoniowe w przyszłej Polsce. Będiesz miał, Franuś, kiosk z papierosami!”...

Wystarczy, sentymentalny patrioto! Po co te belferskie powtórki z historii, inwentury serdeczne, nocne wojaże wyobraźni? Masz przecież ważniejsze sprawy na głowie: słuchowisko o Polewoju!

Jeszcze czterdzieści osiem godzin do spełnienia „prośby” Hazdrubala! Od jakiegoś czasu Henryk nabawił się wstrętu do gazetowego papieru. Czcionki raniły mu oczy. Zapach drukarskiej farby dusił go w gardle. Odwracał wzrok nawet od swoich własnych artykułów, zresztą ukazujących się coraz rzadziej. Pisywał je tylko wtedy, gdy w żaden sposób nie udawało mu się wykręcić od tego „wyróżnienia”. Chcąc się jednak choćby na chwilę oderwać od Polewoja, który jak czerw toczył mu myśli, przebiegł oczyma partyjną gazetę i — po chwili wypuścił ją z rąk.

W Białymstoku, o czym z radością donosi „nasz specjalny wysłannik”, udekorowano dwóch harcerzy za owocną współpracę z WOP'em. Wskazali kryjówkę uciekiniera z tamtej strony. Zuchy! Już po raz drugi w tym roku wytropili „naruszycieli” granicy. Pod fotografią

dwóch uśmiechniętych młodzieńców w mundurku wi-dnieje podpis: „Dzielni chłopcy”...

Denuncjatorzy! — wzdrygnął się Henryk.

I przypomniał sobie nagle Chroboka, współwięźnia z podziemnej celi w Dreźnie. W przede dniu egzekucji koniokrad Chrobok, skazany na śmierć za „szczególnie szkodliwe przestępstwo gospodarcze” (ze stadniny SS wykraść kilka koni) zawiadomił władze więzienne, że ma do wyjawienia ważną tajemnicę. W pół godziny później, jak do pożaru, przydyszało kilku drabów w siwych mundurach, z teczkami pod pachą. Oficjalny tłumacz, jak się okazało, mówił tylko po słowacku i nie mógł się dogadać z Chrobokiem. Wtedy oddziałowy przypomniał sobie, że więzień Ziółkowski włada obu językami. Wprowadzono cię do betonowej klatki. Jeden z oficerów zapowiedział ci, że jeśli przekreślisz choć jedno zdanie... I uderzył rękawiczką po czarnym, skórzanym futerale. Dwaj pozostali mieli już rzemyki odpięte przy olstrach. Chrobokowi nie zdjęto kajdanek z rąk ani z nóg. Siedział na taborecie z rękami skutymi na plecach, dygocąc ze strachu.

— Czego on od nas chce? — zapytał najstarszy szarżą, w palcie zapiętym po szyję, siadając na stole. — Jaka tajemnica? Tylko szybko! Dzisiaj jest niedziela!

Chrobokowi zapaliły się dwa ogniki w głębi oczodołów.

— Zapytaj ich, czy jak im wszystko powiem, to mnie wnet do domu puszcza?

— Zobaczymy! — wzruszyli ramionami. — Niech śpiewa!

Koniokrad od dawna przygotowywał swój denuncjatorski występ. Szybko i zjadle zaczął sypać cały powiat, wioskę po wiosce, ulicę po ulicy, dom po domu, rodzinę po rodzinie. Z systematycznością zawodowca. Pamięć miał przy tym fenomenalną. Przez półtorej godziny bez przerwy nie szczędził nazwisk, adresów, rysopisów, dat, szczegółów topograficznych. Protokolant z więziennej kancelarii nie mógł nadążyć ze spisywaniem zeznań.

— Tłumacz szybciej — wołał spocony, zdyszany Chrobok — i niczego nie opuszczaj, bo to ważne! Od tego zależy moje życie...

— Wystarczy — orzekł najstarszy. — Mamy już sześć pełnych zeszytów. Papieru nie starczy dla tego gaduły! Niech sobie odsapnie.

— Nie! Nie! Dalej! Dalej! To jeszcze nie wszystko! Dokładnie tłumaczyć, słowo w słowo — domagał się Chrobok. — A tera — familia Lasockich! U Lasockich, w młynie, dobrze uważajcie, trzeci budynek od bramy w prawo, na strychu schowana jest broń, cztery karabiny. Syn Lasockiego, Witold, lat dwadzieścia jeden, z wrocławskiego Gestapo uciekł, a we wrześniu 39 roku do foksów strzelał. W suchej studni, w ogrodzie, pod deskami, przechowują dwa żydowskie bachórki... Kliszcz, Marian Kliszcz, lat siedemnaście, Zalesie, numer 5, uciekł z robót, ukrywa się u ciotki Medakowej na fałszywych papierach.

— *Genug!* — warknął protokolant — palce mi spuchły od pisania!

— Jeszcze tylko dwie kartki! — ostrzegł oficer.

— W Kotlicach, w gajówce, słuchają w nocy radia z Londynu i drukują ulotki. Gajowy nazywa się Florian Klimek. Lat pięćdziesiąt. Przed wojną należał do Strzelca. Wikary Kania z Kazimierzówki, sam słyszałem, powiadał chłopom, że nie Niemiec, ale Anglia z Ameryką wojnę tę wygradzą! Tadeusz Kania. Ukrywa się. Robotnik w magazynie „Społem”. Pistolet nosi przy sobie...

— Wystarczy! — powtórzył oficer. — *Dieser Kerl macht uns fertig!*

— Jakto „wystarczy”? — zaniepokoił się Chrobok. — Powiedz im, że jeszcze połowy nie wygadałem! Czemu nie tłumaczysz? A tera — Nowosady. Głogowscy z Nowosadów żywność partyzantom do lasu zawożą. Młoda Głogowska, Regina, rannych pielęgnowała. Cała rodzina do organizacji należy!

— *Schluss!* — oficer smagnął Chroboka rękawiczką w twarz. — Dosyć już tego spisu ludności!

Chrobok poderwał się ze stołka. Kicał, spętany, po betonie. Głową rzucał z ramienia na ramię.

— Zapytaj się ich — z trudem łapał powietrze — co tera ze mną będzie? Czy mnie wnet do dom puszcza? Czy ja... będę żył?

Ten w palcie zapiętym pod samą szyję, niechętnie wgniótł stos papieru do teczki, po czym zwrócił się do dyrektora więzienia:

— Nie czekać do jutra! Powiesić go jak najszybciej!

— Co?... Co on powiedział? — dopytywał się Chrobok — że mnie wnet do dom puszcza?

— Że was powieszą. Jeszcze dzisiaj — przełożyłeś współwięźniowi z nienaturalnym spokojem.

Gdy cię strażnik odprowadzał do celi, usłyszałeś za plecami krzyk Chrobota, podobny do kwiku zarzynanej świni. W chwilę później krzyk urwał się w połowie. Musieli mu wcisnąć ścierkę do ust.

Dekoracja dwóch „dzielnych chłopców” w Białymstoku i — już pękają stare blizny. — „Wiesz, dlaczego cię ludzie czytają, ale nie lubią? — powiedziała kiedyś Helenka, która chciałaby być żoną „pisarza, ukochanego przez miliony”. — Bo chętniej pisujesz o małości niż o wielkości ludzkiej. A tego nikt nie lubi!”

Niedziela była ciepła i słoneczna. Wręcz lipcowa, nie kwietniowa. Jakby wiosna chciała mieszkańcom Warszawy wynagrodzić krzywdę, jaką im wyrządziła wyjątkowo długa i dokuczliwa zima.

Żeby się tylko oderwać myślą od jeszcze nie zaczętego rapsodu o Polewoju na Jasnej Górze, Henryk gotów był przez cały dzień jeździć bez sensu trolejbusem po mieście lub zaszyć się w kącie „Ulubionej” na Polnej i wraz z zakochanymi parkami przez całe popołudnie wysłuchiwać w kółko tych samych sześciu piosenek neapolitańskich, utrwalonych na płytach, pamiętających czasy Mus-

soliniego. Helenka wyjechała do krewnych pod Włocławek, Sylwester zaszył się w leśniczówce pod Kutnem, gdyż lirykowi podobno nie wolno tracić kontaktu z przyrodą — osamotniony Henryk nie bardzo wiedział co z sobą zrobić. Toteż zaimprovizowany przez Strumiłłę wypad za miasto spadł mu z nieba. Pojechali na wycieczkę do Zalesia Górnego, wiedząc z góry, że nic dobrego ich tam nie czeka: lasy chojnowskie, przecięte rzeczką Zieloną, zapchane są tysiącami zgłodniałych zieleni Warszawiaków, wołowina w tamtejszym barze „szybkiej obsługi” jest z reguły niejadalna, a na tablicy z napisem „Jogurt, kefir, maślanka” od trzech lat można podziwiać sprostowanie: „Jest tylko piwo!”.

Towarzyszył im smukły, szesnastoletni młodzieniec w granatowej marynarce ze srebrnymi guzikami i herbem angielskiej szkoły. Żywe, czarne oczy. Kędzierzawa czupryna. Z lekka zadarty nos. Szeroki uśmiech. Twarz dziwnie znajoma. Chłopak, chociaż urodzony za granicą, mówił gładką nienaganną polszczyzną.

— Wiesz, kto to jest? — powiedział Strumiłło w samochodzie — Miła niespodzianka! To jest Piotruś, syn Stanisława Kalinowskiego z Londynu, a mój siostrzeniec. Już nie pomnę, czy ci wspominałem, że moja młodsza siostra tuż po wojnie wyszła w Paryżu za Kalinowskiego. Bożyczka ty mój, ile ja przez tego szwagra miałem przykrości w „minionym okresie”!

Syn Staszka Kalinowskiego, przyjaciela z lat sielskich i anielskich! Tego samego, którego w encyklopedii PWN obdarzono niedawno przydomkiem „wroga Polski Ludowej”. Kiedyś: „Czerwony Stach” z grupy „Płomienistych”. Dzisiaj: jeden z najzacieklej zwalczanych pisarzy emigracyjnych. *Unperson*, mówiąc językiem Orwella. Jego książki dawno już usunięto z bibliotek. Na ostatnich Targach Książki konfiskowano nawet te antologie zagraniczne, które zawierały teksty „czarnej owcy”. „Póki Kalinowski żyje — zadecydowano w Sołectwie — nie wolno mu poświęcać ani jednej linijki w podręcznikach współ-

czesnej literatury polskiej!” — „Gdyby się Kalinowski ograniczał do głoszenia szkodliwych poglądów — powiedział kiedyś Hazdrubał w przypływie szczerości — nie byłoby dramatu. I tak w epoce pragmatyzmu i programofobii nikt się zbytnio teorią, ideologią, abstrakcją, platoniczną miłością czy nienawiścią nie przejmuje, ale ten szaleniec ośmiela się naszych ludzi atakować *ad personam*, osobiście, po nazwisku, i tutaj się żarty kończą! To jest niesmaczne. Tego nikt nie lubi. Tego mu naprawdę wybaczyć nie można!”

— Jakże się cieszę! — Henryk uściśnął rękę młodzikowi. — Chodziłem z pana ojcem do tej samej szkoły! Należeliśmy do tej samej organizacji. W czasie wojny spotkaliśmy się przypadkowo w celi transportowej w prezydium policji, na Alexander-Platz w Berlinie. Jego wieźli do Dachau, mnie zaś do Buchenwaldu. Ależ pan podobny do swego ojca!

— Wszyscy tak mówią — ucieszył się chłopak.

— Jak się tatuś czuje?

— Dziękuję, dobrze.

— Czy nie wybiera się przypadkiem w odwiedzinę do naszego kraju? Po rekonesansie syna kolej na wyprawę ojca. Nic by mu tu złego nie zrobiono. Wręcz przeciwnie: marnotrawnych synów chętnie się pokazuje społeczeństwu...

— Nie! Nie wybiera się! — odrzekł Kalinowski junior. — Owszem, zapraszają go. Przed trzema laty przyjechał nawet ktoś ważny z Warszawy do Londynu, by go namówić do przyjazdu. Ale ojciec mówi, że do własnej ojczyzny nie jeździ się jako turysta. Ma status emigranta politycznego i musiałby przyjąć obywatelstwo brytyjskie, żeby przyjechać do Polski. Ja co innego: jestem *British born*.

— A czy pana...

— Nie mów chłopcu „pan” — powiedział Strumiłło — mów mu „ty”. Mógłby być twoim synem.

— A czy ciebie, Piotrusiu, wpuszczono do kraju bez trudu?

— Mama się bała, że mnie porwą lub zatrzymają jako zakładnika — roześmiał się młodzieniec — a królowa angielska palcem nie kiwnie, by mnie wyciągnąć z polskiego więzienia. Ciocia biadała, że mnie chuligani poczęstują nożem. Ale ja się uparłem. Ojciec mi przez tyle lat, niemal każdego wieczora, przed zaśnięciem, opowiadał „bajkę o Polsce”, taką niekończącą się powieść z ciągiem dalszym, co dzień nowy odcinek... Więc powiedziałem sobie: muszę ten kraj zobaczyć na własne oczy. Poszedłem do konsulatu polskiego w Londynie, wypełniłem dziesiątki formularzy. Dziwili się, że sam się w podróż wybieram. Potem konsul mnie do swego gabinetu zaprosił i powiedział: „My wiemy wszystko, kawaler jest synem tego... Kalinowskiego. Mogą się wyłonić pewne komplikacje. Muszę zatelefonować do Warszawy. Ojciec bierze czynny udział w akcjach skierowanych przeciwko ustrojowi PRL!” — „Nigdy jeszcze nie byłem w Polsce, dużo o niej słyszałem, nic więc dziwnego że chciałem ją odwiedzić. Trudno, jak nie można, to nie można. Pojadę wobec tego z kolegami do Włoch” — odpowiedziałem konsułowi. — „Nie! Nie! — przytrzymał mnie za rękę. — Nie ma się o co obrażać. Dzieci nie odpowiadają za grzechy swoich rodziców”. — To nie są grzechy — zdenewrowałem się — to są odmienne poglądy polityczne, rzecz w krajach demokratycznych normalna, a nawet mile widziana!” — Wtedy poklepał mnie po ramieniu, gwizdnął z podziwu i powiedział: — „Ho, ho! Pouczył mnie kawaler! Widzę, że niedaleko padło jabłko od jabłoni! Nieźle was tatuś wychował! Dostaniecie wizę. Podobacie mi się. Też taki kiedyś byłem! A wasz ojciec, no cóż? Wariat! Tylko wariatom lęgną się ptaszki w głowie!” — Tego było mi już za wiele. Zerwałem się z krzesła. Chciałem go spoliczkować za obrazę mojego tatusia, ale w tej samej chwili pomyślałem sobie, że jeśli mu zrobię awan-

ture, to przecież Polski nie zobaczę. Więc tylko machnąłem ręką i bez słowa wyszedłem z jego gabinetu...

Strumiłło pogłodził siostrzeńca po policzku:

— Dobrześ zrobił, Pietrek! Czasem w życiu trzeba się w ostatniej chwili pohamować. Grunt, że jesteś teraz z nami...

— A na dworcu Victoria w Londynie, zanim wsiadłem do pociągu — ciągnął młody Kalinowski — ojciec powiedział mi: „Kłaniaj się naszej ziemi! A gdyby nie było tam tak ładnie, jak ci opowiadałem, to się tym, proszę, nie przejmuj!” Wziąłem ze sobą nowiutką gitarę elektryczną, aby zagrać na niej babci, ale z tą gitarą miałem najpierw kłopoty na komorze celnej... a potem...

— A potem? — zachęcał go Henryk, oczarowany chłopcem.

— Drobiazg. *Nothing to write home about*, jak u nas mówią. Nie wiem, czy warto o tym wspominać. Przepadła bez śladu...

— Okradli cię? — przeraził się Strumiłło.

— *Well...* Niepotrzebnie wziąłem ją do cukierni i położyłem na krzeselku obok siebie. Przysiadła się do mnie sympatyczna, nieduża dziewczyna z jasnymi warkoczami i czerwoną kokardką. Bardzo grzecznie ze mną rozmawiała, pochwalała moją polszczyznę, powiedziała że wyglądam jak młody lord, którego widziała kiedyś w kinie na angielskim filmie, dziwiła się że piję herbatę z mlekiem, wypytywała o Anglię i Beatlesów, chciała mi lody zafundować i pokazać Wilanów. Powiedziała, że jej ciężko chory brat marzy o takiej gitarze, ale takich instrumentów w Polsce nie można dostać. Spytała, czy może ją na godzinę wypożyczyć. Dała mi słowo honoru, że tylko pokaże gitarę bratu, pozwoli mu raz na niej brzdąknąć i natychmiast wraca. Zostawiła mi swój adres na kartce...

— Domyślam się dalszego ciągu — stęknął Henryk.
— Źle cię wychowali w tej angielskiej szkole.

— Jezuniu! — złapał się za głowę Strumiłło. — Taka przykrość! Ja z tym do ministra pójde...

— Po dwóch godzinach udałem się na wskazany adres po moją gitarę — uśmiechnął się Piotruś. — Ulicę odnalazłem, ale takiego numeru tam nie było. A ta mała nie miała więcej jak czternaście lat...

— Trzeba milicję zawiadomić! — zawołał Strumiłło.
— Taki wstyd przed gościem z zagranicy! A jak ona wyglądała?

— Gitara?

— Nie! Ta złodziejka!

— Bardzo ładna była — westchnął Piotruś.

— A poza tym pechem z gitarą jak ci się w naszym kraju podoba? — zapytał Henryk.

— Jest jeszcze ładniej niż mi ojciec opowiadał — zaświeciły się chłopcu oczy — a zawsze mi mówił, że to najładniejszy kraj na świecie.

— Babcia się tylko spieszyła — wtrącił Strumiłło — gdy zagraniczny wnuczek, widząc ją po raz pierwszy w życiu, zamiast rzucić się jej na szyję, „Hello, babciu!” powiedział.

Piotrusia rzeczywiście nic nie raziło. W Zalesiu Górnym nie gorszył go ani zaśmiecony las ani papiery pływające w basenie ani półgodzinne czekanie w kolejce na kiepski posiłek: ochłap wołowiny, kilka ziemniaków i kompot za trzydzieści złotych. Henryk zżymał się na brak ławek w alejach, na nieludzki tłok, na niedostateczną ilość kajaków i rowerów wodnych w wypożyczalni, na awantury na łączce przed basenem między amatorami piłki nożnej a spragnionymi popołudniowej drzemki pijakami, na piekielny skowyt tranzystorów. Natomiast młodemu przybyszowi z Anglii życzliwy uśmiech nie schodził z ust, a co się o kogo w tłumie otarł, grzecznie „Przepraszam” mówił.

Pod wieczór, w drodze powrotnej do miasta Kalinowski junior przyznał się z dumą, że nie tylko grywa na gitarze, ale i eksperymentuje naukowo na przedmieściu Londynu. Przed dwoma miesiącami miał nawet z tego powodu pewne kłopoty. Nie udał mu się start rakiетки

własnej produkcji. A raczej udał się tylko częściowo, gdyż kapryśna rakieta zamiast wznieść się pionowo w górę, obrała sobie trasę poziomą i uderzyła w należącą do sąsiada szopkę na sprzęt ogrodniczy. Coś tam się zapaliło, szkody były minimalne, ogień ugaszono w dwie minuty, ale sąsiad, łasy na odszkodowanie firmy ubezpieczeniowej, wyolbrzymił incydent na policji. Po kilku dniach wezwano wynalazcę do sędziego.

— Pół nocy nie przespałem z emocji — opowiadał Piotruś — rodzice też się najedli strachu. Dowcipnisie w szkole straszili mnie, że mimo niepełnoletności ukarzą mnie surowo, według paragrafów średniowiecznych o podpalaczach. Tymczasem jakiś starszy pan najpierw poczęstował mnie papierosem, a potem ucieszył się że nie palę i wygłosił dłuższe przemówienie o wpływie palenia papierosów na raka płuc. Zapytał, ile mam lat, przejrzał jakiś papierek, skrzywił się i powiedział, że skoro sąsiad upiera się przy wymiarze sprawiedliwości, to nie można tego życzenia ignorować, tym bardziej że eksperymenty z raketkami w obrębie wielkiego Londynu, który jest obszarem gęsto zaludnionym, są zajęciem niebezpiecznym. Wobec czego, bardzo mu przykro, ale musi mnie skazać symbolicznie na... pięć gwinei grzywny. Ojciec z matką czym prędzej wyjęli pieniądze, ja też się złapałem za kieszeń, a sędzia powiedział: „O, nie! Ja mam pierwszeństwo! Państwo pozwolą, że zapłacę za tego dzentelmena z własnej kieszeni!” Następnie wyjął z portfelu banknot pięciofuntowy, wyłuskał z portmonetki pięć szylingówek, położył tę sumę protokolantowi na stoliku i pożegnał mnie słowami: „Nasz kraj potrzebuje wynalazców. Powodzenia, młody człowieku! Ale — *don't forget*: zawsze wzwyż, nigdy w bok!”

— To jest Anglia! — wykrzyknął Strumiłło.

W takim kraju chłopak żyje — pomyślał Henryk — a jednak tutaj mu się podoba najbardziej. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

— Pietrek już pojutrze będzie w Londynie — rzekł

Strumiło, gdy wrócili do miasta. — Pożegnaj się z panem Ziółkowskim i powiedz ojcu w Anglii, że poznałeś jego starego przyjaciela.

Henryk poczuł nagle ucisk pod sercem. Zdjął z palca czarny pierścioneł, jedyną pamiątkę po matce.

— Nic kosztownego — powiedział. — Kawałek żelaza. Gdyby się celnik pytał o wartość, powiedz mu: sentymentalna. Ten pierścioneł, jak widzisz, zrobiony jest z łańcucha. Przywiózł go przed wielu laty ojciec mojej matki, więzień Sybiru. W środku jest napis gwoździkiem wydrapany, częściowo już zatarty: „Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono — Irkuck 1899”... Pozdrów ojca ode mnie i daj mu to w upominku...

— Dziękuję — zaczerwienił się chłopak — taka pamiątka... Tatuś się na pewno ucieszy...

— I powiedz mu, że... Eee, nic mu lepiej nie mów! — na pożegnanie przejechał Piotrusiowi ręką przez czuprynę. — Trzymaj się, Kalinoszczak! I bądź szczęśliwy!

A później, już na Jezuickiej, wchodząc do bramy swego domu, pomyślał z zażenowaniem:

Niepotrzebna scena. Jak z kiepskiej nowelki. Rozklejamy się na starość. Niedawno wybrałem się na Czerniaków, by popatrzeć na szczątki „Bajki”, zatopionej przed laty w mule. Tylko dlatego, że będąc dzieckiem, płynąłem z ojcem na Bielany na tym pudle... Co by też ten Piotruś powiedział, gdybym mu się przyznał, że na życzenie Bawolakowej napisałem kiedyś obrzydliwy paszkwil na jego ojca pod tytułem: „Sługus atlantyckiej Targowicy — List otwarty do byłego Polaka”? Pogratulowano mi tej mokrej roboty, a jakże. Ubecka macierz podała mi swoją spoconą dłoń, piejąc z zachwyty: — „Brawo! Cudnie! Tak trzeba! Po oczach renegata! Cóż za pióro! Wyście go nie zadrapali. Wyście go bestialsko pobili!”

Już jutro mija termin oddania maszynopisu. Jutro przed południem, najpóźniej jutro po południu, zacznie się urywać telefon: sekretarka Basiulek, reżyserka Malin-

ka, kompozytor Stawczyk, wykonawca roli tytułowej Strumiłło, prezes Hazdrubał. Pewnie i radca Wołkow. Helenka pod Włocławkiem, Sylwester pod Kutnem. Idealne warunki do pracy. Samotność, cóż po ludziach! O północy Henryk zaczął biegać po pustym mieszkaniu jak zwierz po klatce.

Nie napiszę! — przyrzekał sobie — nie napiszę, choćbym miał z okna wyskoczyć! Niech telefonują, słuchawki nie podniosę. Niechaj się dobijają do drzwi, nikogo nie wpuszczę.

Na szklanej płycie domowego barku spostrzegł karteczkę Helenki: „Nie pij, bo ci szkodzi! Pamiętaj o sercu i wątrobie!”

Gdyby nie ten przykaz, nie wyjąłby butelki śliwownicy, którą przywieźli ze wspólnego urlopu w Jugosławii. Gdyby się nie upił, spałby po męczącej wycieczce za miasto zdrowo i spokojnie. Tymczasem w głębi nocy złapała go ciężka pijacka zmora. Z wielkim wysiłkiem, na łokciach, wydobył się ze snu jak z gęstej, błotnistej mazi. Usiadł na łóżku. Serce mu w piersiach biło pięścią. Miał wrażenie że ktoś, w głębi uwięziony, domaga się wypuszczenia na wolność i zaraz rozsądzi pręty piersiowej klatki. Złapał się za rozpaloną głowę. Rozmazał pot na twarzy. Nie mógł sobie uprzytomnić gdzie jest: na Jezuickiej czy na Ochocie... Z bólu i żalości wszystko mu się już poplątało. Język się w trąbkę zwinął. Zaczął płaczliwie bełkotać. Jak wtedy, przed laty, w ryszotku, gdy go opadli chuligani:

— Bierzcie, chłopaki, zegarek! Bierzcie pieniądze!... Zalcman, ten miał charakter! Nie, z Frąsiem i z Bączkiem zabawy w Polskę nie będzie; Citroëna od płomienistego Jaroszyka nie kupię. A w ogóle, to ja protestuję przeciwko temu, żeby w polskim sądzie mój obrońca z urzędu, Osiński, pisywał wiersze o robakach podczas rozprawy. Borys Ziółkowski czy Henryk Polewoj, wierzcie mi, taka sama swołocz. A twój ojciec, Piotrusiu, sługusem nie jest. Sługus, to ja! Bawolikowa zasugerowała, a ja

się ugiąłem. Wszystko przez ten kurewski rewers. Na bezbronną szwaczkę Groń za półtora złotego świństwa w sieni wypisywałem. Za menażkę rosółu mnie kupili! Chłopaki, na co czekacie? Bijcie mnie, ale nie zabijcie! Wiecie, kim ja jestem? Jam jest koniokrad Chrobok, ten co w Dreźnie cały powiat zasypał!...

Ból światła w oczach. Zgrzytliwy głos Helenki:

— Coś mnie tknęło, że wróciłam nocnym pociągami! Co ty pleciesz? Urznąłeś się jak zwierzę!

O dziwo, zawodowi ateści z Pałacu Kultury odpowiedzieli! I to w następnym numerze. Magia słowa „Żerań”, ulubionej fabryki Pierwszego Sekretarza, zrobiła swoje. Dialogu z młodzieżą robotniczą też lekceważyć nie wolno. Zresztą była uchwała w tej sprawie na ostatnim plenum, Hazdrubał poświęcił jej wazelinarską pogadankę. W rubryce „Skrzynka pocztowa” Henryk dostrzegł odpowiedź redakcji — „aktywiście z Żerania”. „Zaniepokojonemu” — opuszczono. To drobiazg. Przez chwilę łudził się, że rybka połknęła haczyk, ale w trakcie lektury mina mu zrzedła: ktoś sobie najwyraźniej zakpił z młodego gorliwca.

„Cieszymy się, że w chwilach wolnych od pracy zawodowej studiujecie pisma klasyków marksizmu-leninizmu. Kościół w ciągu długich stuleci wpajał ludziom strach przed bogiem i pogardę dla doczesności. Nauczał on wiernych, a przede wszystkim masy wyzyskiwane, że ich udziałem jest jedynie praca w poddaństwie i modlitwa. Jest ogromną zasługą filozofii materialistycznej, że pomaga ona człowiekowi wyzwolić się z jarzma przesądów. Zwłaszcza pisma Lenina przeniknięte są wiarą w potęgę wiedzy i rozum człowieka, w jego umiejętność odkrywania tajników przyrody, wiarą w to, że potrafi on stworzyć rozumny i sprawiedliwy ustrój społeczny.

„Co do wspomnianego przez Was programu radiowego, będzie on poświęcony pogłębianiu przyjaźni polsko-radzieckiej. Jak nas zapewniono w dyrekcji, osoba i doś-

wiadczenie autora w pełni gwarantują właściwe podejście do tematu”.

A to skurczysyny!

Ale to jeszcze nie wszystko. Nieszczęścia chodzą w parze. W chwilę później niespodziewanie zadzwoniła pani Bawolikowa czy też Bawolakowa, oko i ucho opatrności, kikumora która o wszystkich wie wszystko:

— Podobno widziano was jak ukradkiem wrzuciście jakiś liścik w Pałacu Kultury — zakomunikowała blaszonym głosem. — Możecie jednak liczyć na moją dyskrecję...

— Ja? Ukradkiem? — zająknął się. — Liścik?

— Co wiem, to wiem — rzekła wiedźma w dziegiu pławiona. — A tę waszą rzecz o Polewoju, jeśli wam wolno poradzić, napiszcie prosto. Bez obcych słów i dupek po łacinie. Tak aby zrozumieć ją mogli robotnicy w koksowni kombinatu metalurgicznego „Bierut” w Częstochowie. Rozmawiałam z kim trzeba. Towarzysz Jędras zorganizuje zbiorowe wysłuchanie waszej audycji. Powodzenia!

Co tam anonimowy list do krzewicieli kultury laickiej! Wystarczyłoby jedno słowo Bawolikowej. Słowo którego się boi od lat z górą dwudziestu...

Ziółkowski podziękował za miły telefon, podarł gazetę na strzępy, roześmiał się histerycznie i — jednym susem dopadł swego biurka. Henryku, do wideł! Los tak chce! Zrzucił marynarkę, podkasał rękawy i wziął się do odrabiania pańszczyzny. Jest tylko jeden środek na pluskwy: trzeba je polubić. Z łoskotem, który poczuł w skroniach, wystukał na swym sfatygowanym Remingtonie tytuł słuchowiska: „O czym się nie śniło Sienkiewiczowi”.



Tyleśmy uwagi poświęcili rozterkom Henryka, że czas z kolei zainteresować się owocem jego zgryzoty: słuchowiskiem o Polewoju.

Jak się Ziółkowski obszedł z prawdą historyczną o której pewien kpiarz powiedział, że skoro jest kruszczem rzadko spotkanym na świecie, należy nią gospodarować oszczędnie?

Co też nieborak w pocie czoła nachałturzył tej bezsennej nocy kwietniowej, gdy za oknem wiatr chłostał dachy deszczem i nielicznym przechodniom, przeważnie pijakom wracającym z libacji, wrywał parasole z rąk?

Chwileczkę! W kwestii formalnej! Czy można o p o w i e d z i e ć słuchowisko radiowe? Chyba tak. Czy ten rodzaj twórczości dobrze znosi próbę farby drukarskiej? Chyba nie. Podobnie się ma z lekturą sztuk teatralnych w wydaniu książkowym. Niektórych czytelników razi martwota papieru, wszechwładza dialogu, nie zawsze znośnego w druku („gadają, więc są”), natrętny układ graficzny (co kilka zdań częstują nas informacją komu autor udziela głosu), gruba nić didaskaliów, całe to, aż nadto widoczne, rusztowanie, wzniesione nieraz, jak powiada znana z estetycznej i intelektualnej wrażliwości koleżanka Malinka, „dla zerwania kilku zgniłych gruszek ze zmurszałej wierzby wyobraźni”. A cóż dopiero mówić o ogłaszaniu drukiem słuchowisk radiowych? Więc może się pokusić o swobodną transkrypcję czy wręcz parafrazę Henrykowego tekstu, o przekształcenie partytury w osobne opowiadanko lub w tzw. nowelę filmową? Za nic w świecie! Autentyzm, rzecz ważna. Jeśli nieszczęsny kołchoźnik zrealizował „sugestię” Hazdribala w formie radio-scenariusza, uszanujmy tę konwencję. Bez przepisywania brulionu „na czysto” i samowolnych przeróbek!

Prezes utrzymywał, że w sztuce radiowej ważny jest początek. Słuchacza, już ubranego do wyjścia na spacer, trzeba przytrzymać za rękę, by przystanął w drzwiach choćby na chwilę i — już nie wyszedł z pokoju. Środek się nie liczy. Można go wywatować byle czym. Ale najważniejszy jest koniec, ten pożegnalny kopniak, który powinien pozostawić siniaka w pamięci. Niech ci się uda zakończenie, a powiedzą że całość była znakomita. Dziew-

czyzna ocenia kochanka po sprawności, wykazanej o świcie. Audytorium sądzi autora po ostatnim akcie.

Czy Henryk już pierwszymi zdaniem „przytrzymał słuchacza za rękę”? Raczej nie. Rozpoczął konwencjonalnie, żeby nie powiedzieć: banalnie. A więc po krótkim wstępie muzycznym (czym się zajmie w chwilach wolnych od wędkarstwa antyatonalny Stawczyk) wprowadził osobę kronikarza. Onże narrator wyjaśnił, że rzecz dzieje się pod koniec wojny, w mieście znanym każdemu Polakowi. Na budynkach urzędowych jeszcze czerwienią się flagi ze swastyką, a część zabudowań klasztornych zajęta jest przez garnizon niemiecki. W skład załogi wchodzi również kilku Ślązaków, przymusowo służących w Wehrmachcie. Jeden z nich, Gustlik Badura (z tego Badury Henryk był szczególnie dumny: wprowadził go do akcji, by osłabić monopol Polewoja na ofiarność) po kryjomu pożycza polskie książki od Paulinów. Ścisłej mówiąc: od klasztorного introligatora, ojca Stefana.

Uwaga na stronie: do Badury Hazdrubal przyczepić się nie może. Choćby dlatego że Ślązacy są teraz potęgą w naszym kraju. Bez głodu książki, jaki trawi młodego Ślązaka, bez jego nocnych wizyt w introligatorni, nie można by uwzględnić „prośby” prezesa o wprowadzenie do słuchowiska choćby kilku zdań z „Potopu”. Nie mówiąc już o pożądanym w utworach tej kategorii aspekcie patriotyczno-wychowawczym: rychło się pokaże, że pod wpływem odpowiedniej lektury może dojść w człowieku do korzystnej przemiany duchowej. Na przykład: do rozbudzenia polskości. „Nie bać się dydaktyki — przykazał na ostatniej odprawie Hazdrubal. — Każda naprawdę wielka literatura, od Dantego do Sienkiewicza, jest dydaktyczna”. Docent Frąs z pułkownikiem Bączkiem przyznają mu rację. I słusznie, bo bez patriotyzmu i dumy narodowej, jak bez tlenu: wyżyć nie sposób. Pani Bawolikowa (chyba jednak Bawolikowa, a nie Bawolakowa), broniąc jednego ze swoich dawnych kolesiów-ubesiów przed krytyką defetystów, którym się wydaje, że ludowa

ojczyzna mogłaby istnieć bez policji politycznej, powiedziała: „Tępak bo tępak, dusiciel bo dusiciel, ale jaki z niego Polak! Gdy Rumuni strzelili nam bramkę na stadionie „Legii”, omal nie dostał ataku serca”.

Ale czas wrócić do Częstochowy. Czwarta minuta słuchowiska. Rozmowa Badury z zakonnikiem dobiega końca.

Ojciec Stefan: Jeszcze jakiś kłopot będzie z tych nocnych odwiedzin. Szpera policyjna dla klasztoru i miasta, a on do mnie po książki jak do wypożyczalni publicznej przed wojną. Do lagru cię, Gustlik, wysłał za konszachty z klechami. A i mnie jakoś nieswojo niemieckiego żołnierza gościć u siebie. Zamkną nas w końcu obydwóch.

Badura: To co w śródku się liczy, a nie ta gapa na mycy. Nie zawrą nas, nie zdążą.

O. Stefan: Zanim bestia piekielna zdechnie, kopnie raz i drugi. A jak cię w koszarach na czytaniu polskich książek przychwycą?

Badura: Oni już Ślązakom po polsku rzekotać pozwalają w naszym regimencie. Wiele się zmieniło. Jak trwoga, to do Boga. Feldwebel z Magdeburga, co nam sztraf-exercirkę dawał za byle co, angst ma teraz pioruński i sam by fyrnął z kaserny do matuli. Jak by się, wiecie, coś nagle... to o cywilny ancug poproszę i o kennkartę na insze nazwisko, a potem... przecie każdy wie, że ja żaden tam Niemiec, tylko Gustlik Badura...

Mniej więcej w dwa miesiące po nocnej wizycie młodego Ślązaka w klasztornej introligatorni (Hazdrubal może odetchnąć z ulgą: Badura już pożyczył „Potop” od ojca Stefana i nic już nie stoi na przeszkodzie, by za włosy ciągnięta analogia historyczna między cudownym ocaleniem Częstochowy za księdza Kordeckiego i marszałka Koniewa radośnie rozdzwoniła się w eterze) zjawia się na Jasnej Górze delegacja oficerów niemieckich z majorem Herbstem na czele. Major chętnie popisuje się przed przeorem zakonu, ojcem Stanisławem, swadą

i erudycją. Ale już nie żołnierską butą, gdyż nic tak nie wpływa na poprawę manier jak złe wiadomości z frontu.

Sylwetkę oficera Wehrmachtu należałoby w zasadzie nakreślić według od dawna obowiązującego w naszej literaturze wzorca. A więc państwo pozwolą, że przedstawimy im dumnego ze swej cywilizacyjnej metryki Europejczyka o wiadomym pochodzeniu społecznym. Baron, junker lub przemysłowiec związany z fabrykacją broni. Kocha muzykę (Wagner), filozofię (Nietzsche) i poezję (Novalis). Znamiona szczególne: monokl, białe rękawiczki, szpicruta za cholewą. Nie mówi, lecz charczy. (Bądź sprawiedliwy: czy przez pięć lat nie podnosili na nas głosu?). Stwórz wpisany w koło fałszywie pojętego obowiązku i honoru. Wprawdzie odzywa się w nim ów przyćmiony atawizm „rycerskości”, który pojmanemu przeciwnikowi, jeśli jest oficerem, zezwala na zachowanie szpady przy boku, ale jak na *Übermensch'a* przystało, ten spadkobierca fryderycjańskiego oświecenia nie fatyguje swej wyobraźni moralnej: dzieci wrzucane do pieca nie spędzają mu snu z powiek. Ale już nie te czasy, by posługiwać się wypróbowanymi wzorcami. W tych dniach bowiem, jeśli wierzyć Frąsowi, który zawsze wie skąd wiatr wieje, Hazdrubał miał otrzymać w zalakowanej kopercie tajną instrukcję Biura Politycznego, by unikać „jaskrawych akcentów” przy poruszaniu tematyki polsko-niemieckiej, gdyż zanosi się na odwilż między Warszawą a Bonn. Załatwić więc tego Herbstą należałoby, mówiąc językiem kierowców beczkowsów magistrackich, nie na „pełny chlust”, lecz tylko na „pół sika”.

Herbst: — W cywilu jestem filologiem klasycznym. Moglibyśmy więc rozmawiać ze sobą w języku naszej wspólnej cywilizacji, zagrożonej potopem stepowej barbarii. Ale nie mając pewności czy towarzyszący mi oficerowie również znają łacinę, proponuję język francuski...

O. Stanisław: Rozumiemy po niemiecku. Blisko pięć lat pobytu władz niemieckich na naszych ziemiach dało

nam sposobność poznania nie tylko pewnych właściwości kultury niemieckiej, ale i języka niemieckiego.

Herbst: Wiem, że nie jesteśmy tutaj... jakby to najdelikatniej powiedzieć — popularni. Wojna nie sprzyja zbliżeniu między narodami. A jednak przyszliśmy tutaj, nie po raz pierwszy, by zaofiarować klasztorowi pomoc. Czas nagli. Ofensywa rosyjska wisi w powietrzu. Lada chwila czerwona bestia zerwie się z łańcucha. Mógłbym zacytować słowa Błoka z poematu o Scytach, gdyby chwila była po temu sposobniejsza. Europa w niebezpieczeństwie. A wraz z nią Ordo Fratrum Sancti Pauli Primi Eremitae! Powinniście nam zaufać...

O. Stanisław: Chyba nie zdziwi pana majora, że będąc sługami Bożymi, przede wszystkim pokładamy ufność w Patronce Nieba i Ziemi.

Herbst: Ja, *gewiss*. W każdym razie nowe „obsidio Clari Montis”, o którym uczyłem się kiedyś na studiach we Fryburgu, byłoby nieszczęściem. Nasz plan ewakuacyjny...

O. Stanisław: Już słysząc pomruk ciężkiej artylerii za horyzontem. Wystarczy wyjrzeć przez okno, by w kłębach śnieżycy zobaczyć, że Częstochowa zatłoczona jest wycofującymi się na zachód oddziałami a przedstawiciele władz przywiązują kufry do służbowych limuzyn...

Herbst: W imieniu dowódcy garnizonu zwracam się do ojców Paulinów z propozycją, tak jest: nie z rozkazem, ale z propozycją, by zechcieli jak najrychlej opuścić Jasną Górę. Zapewniamy wam dogodny transport w głąb Rzeszy...

O. Stanisław: Szczerze mówiąc, nie przywykliśmy do podobnej troskliwości. Dotychczas „opiekowało” się nami, i to po swojemu, Gestapo w Radomiu. Ścisłej mówiąc: osobny referat pod nazwą „*Pauliner Orden in Tschenstochau*”, którego kierownikiem, i to sprawnym, jest Herr SS-Standartenführer Illner...

Herbst: My z tymi panami nie mamy nic wspólnego.

Cudzoziemcy nieraz nie odróżniają tych dwóch, jakże różnych, formacji. Tabor kolejowy, powtarzam, stoi do dyspozycji...

O. *Stanisław*: Odmawiamy, panie majorze. Tak jak kapitanowi nie wolno opuszczać okrętu w czasie burzy...

Herbst: Przecież płyniemy w tej samej łodzi. Stoimy w obliczu zagrożenia wspólnych wartości. Nie czas teraz mówić o błędach. Po wojnie niejedno ...nieporozumienie się wyjaśni. Historia skazała nas na wspólnotę. Należymy do tej samej cywilizacji, i to od stuleci. *Das Abendland!*

O. *Stanisław* (ironicznie): Przedmurze chrześcijaństwa... Już papież Innocenty XI...

Herbst: Czyż nie wykarmiła nas ta sama rzymska Wilczyca nad Tybrem, Renem, Dunajem i Wisłą?

O. *Stanisław*: Odpowiem więc panom po łacinie: *non possumus!*

Herbst: Szkoda. Z żalem stwierdzam, że nie doceniono naszej dobrej woli. Któryż to mąż stanu powiedział kiedyś z goryczą: „Dla Polaków można czasem zrobić coś dobrego, ale z Polakami — nigdy”? Spełniłem, co mi zlecono. O wynikach naszej rozmowy poinformuję dowództwo sztabu. Żegnam panów!

Przerywnik muzyczny. Już tam Stawczyk skomponuje jakieś „tra-ta-ta-tam”. W trakcie czytania powyższego fragmentu Hazdrubal z pewnością zmarszczy brew. Biedny ten jego nowy Parker, podarek imieninowy pań z wydziału rachunkowości! Przybędą mu nowe ślady zębów. A śliczny Basiulek, nie bardzo wiedząc o co chodzi, posłyszysz „recenzję na gorąco”:

— Sztuczne, dęte, operowe, papier! Frąś ma rację: facet się wyraźnie kończy, nieźle się kiedyś zapowiadał, i co z niego zostało? Co to jest? Rzecz na serio czy *pastiche*? Elemeledutki w rodzaju „stepowa barbaria”, „czerwona bestia”, rzecz jasna, wylecą! Także i ta „rzymska Wilczyca” niebardzo mi się podoba. Pierwszy Sekre-

tarz na spotkaniu z załogą Ursusa wyraźnie powiedział: „Nie damy się przeorientować na Zachód”. Po co to podkreślenie różnicy między Wehrmachtem a SS? Tej bzdury nam żaden działacz Zbowidu nie wybaczy. A w ogóle scena jest błada, nijaka, wyraźnie odfajkowana na kolanie, jakby ją wymęczył pisarz zaciężny a nie ochotnik. Brak zderzenia się dwóch racji: przeora i majora. Brak dostatecznie pogłębionej różnicy postaw. Ja tu dostrzegam coś gorszego: unik ze strony autora. Jestem ostatnim człowiekiem w Warszawie, który by komukolwiek sugerował symplifikację czy wulgaryzację. Tu nie Tirana, przymusu nie ma. Uważam jednak, że pisarz zaangażowany powinien się deklarować wyraźniej. Choćby dlatego, że mętniactwo ideologiczne z reguły odbija się niekorzystnie na kształcie artystycznym.

Ale już następna kartka manuskryptu powinna rozjaśnić czoło wybrednego zleceniodawcy, gdyż napisana jest „pod niego”.

Kronikarz: Na przeszło stumetrowej wieży jasnogórskiej świątyni jeszcze się gnieźdzą obserwatorzy artylerii niemieckiej. Przed Bramą Lubomirskich jeszcze patrolują żołnierze ze swastyką na hełmie i z napisem „*Gott mit uns*” na klamrze pasa. Ale już się rozlega w eterze zapowiedź Wielkiej Zmiany. Jednak nie z radia londyńskiego, które chętniej mówi o działaniach wojennych na Zachodzie i Pacyfiku niż o zwycięskich walkach Czerwonej Armii na ziemiach polskich, dowiaduje się Częstochowa o rozpoczęciu styczniowej ofensywy radzieckiej. Wiadomość ta nadchodzi z Lublina. (Oczywiście, nieprawda. Słuchano wtedy radia londyńskiego, które informowało słuchaczy polskich o każdym sukcesie Rosjan szybko i dokładnie, ale warto tę łapówkę wcisnąć Hazdrubalowi do ręki!). O świcie dwunastego stycznia znad środkowej Wisły rusza ofensywa Pierwszego Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Koniewa. Kierunek: Częstochowa-Wrocław! Z rejonu przyczółka sandomierskiego

ruszają do natarcia czołgi 54 Pancernej Brygady Trzeciej Armii gen. Rybałki. Lawina wydarzeń rośnie! (Muzyka).

A oto macie swój wyęskniony mariaż Sienkiewicza z rokiem 1945! Badura, na scenę! Aby Hazdrubal był syty i Ziółkowski cały!

Kronikarz: A tymczasem młody Służak w obcym mundurze nie może się oderwać od kart „Potopu”. Druga wojna światowa huczy dookoła, a on sprawy sprzed trzech stuleci przeżywa jakby rozgrywały się współcześnie, tuż za oknem częstochowskiej kwatery, za szklaną ścianą czarodziejskiej powieści. Czyj to habit jaśniej na fortelnym szanću? Ojca Stefana z introligatorni czy przeora Kordeckiego, białej skały pośrodku szwedzkiej topieli? A gdy zbyt długo czyta przy latarce pod kocem po nocach, przerywanych alarmem lotniczym i zmianą warty, jawią mu się we śnie zakonnicy przy działach, Kmicic wykradający się z fortecy na krwawą wycieczkę, Szwedzi mierzący z muszkietów do procesji...

Nie, to jeszcze za mało! Henryku, nie żałuj sobie. Im więcej odpustowej taniochy i czytankowej słodyczki, tym lepiej. Tylko bez fałszywego wstydu i zasłaniania klejnotów rodowych resztkami pióropusza, bez wewnętrznych oporów i zahamowań. Czarnowidz Sylwester sądzi, że sam Chopin grywałby dzisiaj w nocnych lokalach na pianinie, a Słowacki, cherubinek eteryczny, odbębniałby tekst do kantaty dożynkowej, którą już wkrótce usłyszymy na Stadionie Dziesięciolecia. Więc po co żałować gryzipiórka Ziółkowskiego? Jedyna forma odwetu na zleceniodawcy: pojechać na całego. Kompromitując siebie, kompromitujesz patronat. Gałczyński, wysłany kiedyś na reportaż do Moskwy, przyrównał ją do... Taorminy. Trudno o zgrabniejszą ucieczkę w przód. Tego Badurę, — nie ma się co krzywić, zabieg jest konieczny, — powinno jeszcze uskrzydlić widzenie senne, ozdobione cyta-

tami z „Potopu”. Z muzyką kolegi Stawczyka i biciem kościelnego zegara w głębi! Dopiero wtedy zwycięstwo Orfeusza nad piekielną fauną będzie całkowite. Już docent Frąs i pani Bawolikowa, para ubesiów w konfederatkach barskich, łzę patriotyczną rękawem ociera, już Hazdrubał, cały zapłakany, jędrną pierś Basiulka jak jabłko królewskie z ręki wypuszcza, a nasz druh i sokół słowiański, Polewoj, uśmiecha się przyjaźnie z kart „Historii Polski w 24 obrazkach”...

Słowem: Gustliku w krainie sienkiewiczowskich czarów, śnij o wieku siedemnastym! Dla dobra „Teatryku Wyobraźni”. Śnij przez dwie minuty i dwadzieścia sekund a więc na jedną kartkę maszynopisu z podwójnym odstępem, czytana nie za szybko, ale i nie za wolno.

Kronikarz: Aż którejś nocy krajan z Opola szarpie Badurę za rękaw: „Gustlik, trzym sznabel! Po polsku w śpiku pokrzykujesz. Miarkuj się, bo cię do bunkra zawrą!”

Badura: A po jakiemu mam śnić? Śnię jak umiem.

Kronikarz: Młodzieniec przewraca się na drugi bok i po chwili znowu do zaczarowanej książki powraca.

Recytator: (Echo. Na tle muzyki. Kto przeczyta? Chyba towarzysz Żurek? Głos ma słodziutko-księżykowaty. Rycyna w krtani. Niedawno otrzymał premię za recytację wiersza Bączkowej o Lumumbie). A tymczasem gruchnęła wieść po szwedzkim obozie, że kopacze przechód znaleźli podziemny, idący pod sam kościół i klasztor i że tylko od dobrej woli jenerała Millera zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze... „Mamy już Częstochowę! Wysadzimy ten kurnik!” — huczało w szwedzkim obozie. Dość jedną nitkę prochową zapalić i Jasna Góra rozpadnie się w gruzy...

Badura: Klasztor w powietrze wysadzą!

W tekście „Potopu” trzeba to i tamto skrócić lub poprzestawiać. Wszyscy tak robią i nikogo, poza garstką belfrów od polonistyki, podobny brak pietyzmu dla kla-

syków nie razi. Pułkownik Bączek dopisał niedawno Wyspiańskiemu trzy bite kartki maszynopisu, i też dobrze. Sienkiewicz, nie Lenin: jego teksty są tykalne).

Recytator (Na tle muzyki i śpiewu ptaków. Koleżanka Malinka eksploduje w gorsecie. Melorecytacja na tle ptasiego świergotu! Od takich sztuczek bieleje włos!). Oto ptaszekowie leśni pod opiekę Matki Bożej się udają, a wy zwątpiliście o Jej mocy?... Starzy ludzie powiadają, że niech jeno jaki dom ma się zawalić, zaraz jaskółki i wróblowie, gniazda wiosną pod dachem mający, wyprowadzają się precz na dwa i trzy dni przedtem. Owoż, gdyby pod klasztorem były prochy, to by te ptaki tu nie przyleciały! A więc wszystko, co Szwed (czytaj: Borys Polewoj!) prawi o tych prochach pod naszymi stopami, to łgarstwo wierutne. Otucha i nadzieja wróciły do serc. Zakonnicy bijąc się w pierś (poseł Gamma też by się mógł w pierś uderzyć!) udali się do kościoła, a żołnierze na mury...

Badura (przez sen): Chwała Bogu, klasztor ocalony! (Muzyka).

Około drugiej w nocy, gdy odurzona wiosną Warszawa spała od kilku godzin, Henryk po wypiciu czarnej kawy i dwóch kieliszków koniaku (diabli z chorą wątrobą, niech pęknie w kawałki!) raz jeszcze przekroczył próg oportunistu. Nie, „oportunistu”, to brzmi za twardo. Czy nie grzeczniej powiedzieć: „poszedł na zdrowy kompromizm”? Pomimo wątpliwości i zastrzeżeń, jakie go trapiły od dwóch tygodni, postanowił się jednak posłużyć wersją Polewoja o bombach zakopanych pod klasztorem.

A wpłynął na to i taki szczegół: nie chcąc budzić śpiącej w sąsiednim pokoju żony (i tak zaklejała sobie, biedaczka, uszy woskiem, gdy stukał po nocy na maszynie; połowice literatów, to niedostrzeżone przez kościół męczennice) udał się na palcach do kuchenki. I co spostrzegł w przedpokoju? Że z bocznej kieszeni zam-

szowego palta Helenki wygląda rąbek liliowej koperty. Nie białej, ale liliowej! To go zaalarmowało, bo przecież nie trudno się domysleć, jaką treść kryją listy w liliowych kopertach. Czy jest taki mąż, który nie „sprawdza” korespondencji swej żony? Czy jest taka żona, która nie zagląda do poczty swego męża? Od razu rozpoznał kabo-tyńskie zawijasy Bączka. A więc jednak korespondują ze sobą! Jego zacna, pocziwa Helenka („Jeszcześmy mebli nie spłacili!”) otrzymuje liściki od tej niedbale za-balsamowanej mumii. Koperta bez znaczka pocztowego. Ciekawe, w jaki sposób toto doszło? Pułkownik pisał:

„Droga Leno! Piszę do Ciebie w wielkim sekrecie. Nie mów o tym liście Heńkowi. Po co ma się martwić i denerwować, skoro i tak jest od jakiegoś czasu w nie-najlepszej formie. Strumiłło mi mówił, że Heniek, cho-dząc ulicami, już zaczyna na głos mówić do siebie. Słyszę też, że nie podchodzi do telefonu i nie odpowiada na listy. To niepokojące. Otóż jestem w posiadaniu poufnej, absolutnie ścisłej informacji (źródła, niestety, ujawnić nie mogę: dałem słowo honoru, dla żołnierza rzecz waż-na!) że prezes z docentem (oni tylko przed nami zgry-wają się na przeciwników, perfidni komedianci, po cichu zaś grają ze sobą rączka w rączkę, to taka wyższa szkoła jazdy) postanowili zgrabnie wykończyć Twojego Heńka. W tym właśnie celu Hazdrubał nastawił na niego pułap-kę w postaci słuchowiska o ocaleniu Jasnej Góry przez wojska Koniewa, mając nadzieję że Heniek odmówi, a wtedy łatwo go będzie na górze pomówić o postawę antyradziecką. Wiadomo, co to u nas znaczy. Wpłyn więc, proszę, na Heńka (wiesz przecież jak bardzo go lubię i cenię), by się nie dał sprowokować, lecz bez szemrania machnął tę klasówkę pod gust zwierzchnika. List ten po przeczytaniu proszę zniszczyć.

„Ucałowania rączek Pięknej Pani przesyła szczerze oddany — B.”.

Czyżby ten Bączek jednak był przyzwoitym człowiekiem? Podobno i tacy się zdarzają. A może to intryga naszych renesansowych Włochów z Wołomina? Nelson już nie podwójny, ale poczwórny? Tak czy inaczej, czas wracać do zasypanej śniegiem Częstochowy. Galerniku, do wiosła!

Kronikarz: Tymczasem napięcie w mieście i na Jasnej Górze rośnie. Plotka goni plotkę. Ulice zatłoczone uciekinierami. Niemcy wyparci z Kielc. Podobno już ktoś widział patrol radziecki pod miastem. Gustlik Badura wpada zdyszany do introligatorni O. Stefana:

Badura: Dziś w nocy fyram do lasu. Już jest tak daleko. Jutro skoro świt nasz regiment wyciąga na zachód. Schluss z Niemcami! Przepowiednia mówiła: „Jak czarny orzeł na wschód się rzuci, to z połamanym skrzydłem powróci”.

O. Stefan: Dobrze. Drzwi do wozowni zostawię na noc otwarte. Cywilne ubranie leży pod deskami. Kennkarta w marynarce.

Badura: Bóg zapłać, farożku! A teraz słuchajcie, co wam powiem. Czarne kisty na lorach przywieźli. „*Schnell, schnell!*” wołali. Feldwebel z Ortskommandatur je widział. O wnijście do Luftschutzkeller się pytali. Feldwebel mówi, że to fliegerbomby, że dycht pod kirchą je zakluczą. Musicie je zaś ruk-cuk odsicherować!

O. Stefan: Co takiego? Bomby pod klasztorem?

Badura: Tak, tak, te szwedzkie prochy pod skałą!

O. Stefan: Prochy? Już ci się Niemcy ze Szwedami pomylili. Po com ja ci tego Sienkiewicza pożyczał!

Badura: Tylko tego cywil-ancugu nie zapominajcie, proszę... Dziś w nocy! No, i na te czarne kisty dajcie pozor!... Po wojnie z pielgrzymką tu wrócę, to się zobaczymy!

O. Stefan: Z Bogiem, Gustlik! Nie daj się złapać! Chyba wiesz, co oni z dezterterami robią. Do przeora biegnę! (Muzyka).

Czas pomyśleć o alibi. Dla asekuracji przed samym sobą i przed opinią środowiska, choćby tych dziesięciu sprawiedliwych w Warszawie, którzy gardzą propagandą (nietylę ze względów politycznych, co z uwagi na staromodne mniemanie o etosie pisarskim), czas wprowadzić „głos na stronie”, sceptyka w habicie, zakapturzonego „defetystę”-psujaczka. Czujny Hazdrubal i tak zmasakruje go czerwonym ołówkiem nie do poznania, ale niechaj zostanie na papierze choćby jakiś ślad, jeśli nie oporu, to przynajmniej *reservatio mentalis*, ostatni wybieg zeznającego mimo woli. Moralista Pascal gorszył się wprawdzie niegdyś tym palcem ukradkiem skierowanym w stronę ziemi na równi z krzywoprzysięstwem, nie miał wyrozumienia dla bezsilnego protestu nieszczęśnika łaknącego choćby pozoru samorozgrzeszenia, ale nie wiadomo, czy nie poddałby swego pryncypializmu rewizji, gdyby mu przyszło żyć w Hazdrubalicach. Tak, ten sceptyk w habicie potrzebny jest jak zdrowie. W razie komplikacji zawsze się będzie można wyłgać wymówką, że poetyka zamówień społecznych bez „czarnego charakteru” obejść się nie może, a to, co pozytywne, pod sam koniec fabuły i tak odniesie zasłużone zwycięstwo.

Kronikarz: W nocy z 15 na 16 stycznia nikt w klasztorze nie zmrużył oka. Ostatnie godziny niemieckiej okupacji. Gustlik Badura, już w cywilu, przepadł bez wieści. Większość Niemców wycofała się z miasta, część załogi zamknęła się w bunkrach, tuż za klasztorным murem. Przeor zwołuje kilku starszych Paulinów na naradę:

O. Stanisław: A więc już niedługo... Front się zbliża. Ostatnie ciężarówki opuszczają miasto. Już jutro mogą tu być Rosjanie. A tymczasem nasz klasztor...

O. Kalikst: Doszła już do mnie ta plotka.

O. Stanisław: ...każdej chwili może wylecieć w powietrze!

O. Kalikst: Strachy na Lachy, ojcie przeorze.

O. Stanisław: Musimy znaleźć te zakopane skrzynie. Trzeba rozbroić bomby, jeśli...

O. Kalikst: ... jeśli to prawda, a nie wymysł panikarzy. Trzeba nam było skorzystać z oferty majora Herbsta!

O. Stefan: Nonsens!

O. Stanisław: Dajcie mi skończyć. Tuż przed rozpoczęciem ofensywy, a zaraz po wizycie majora Herbsta, przyszło do mnie dwóch funkcjonariuszy Gestapo i zażądało wstępu do podziemi.

O. Kalikst: I my się dopiero teraz o tym dowiadujemy!

O. Stanisław: To moja wina. Nie chciałem siać paniki. Myślałem, że myszkują po piwnicach w poszukiwaniu wina. Przepędzili braci z magazynu do Arsenału, bez świadków przetrzasnęli zakamarki. A wsiadając do samochodu oświadczyli mi, że musieli zapieczętować wejście do podziemi, by konspiratorzy w habitach nie ukryli tam tajnej drukarni lub krótkofalówki.

O. Kalikst: Mimo to nie wierzę w te bomby. Nikt ich nie widział. To nie takie proste zakopać pod klasztorem dwieście bomb lub ukryć je przed naszym czujnym okiem.

O. Stefan: Był taki, który nas ostrzegł! Fedwebel mu powiedział.

O. Stanisław: Musimy być przygotowani na najgorsze i — robić coś, na Boga!

O. Kalikst: Po co by Niemcy mieli wysadzać nasz klasztor w powietrze? Nie ulegajmy psychozie. A może to bajeczka, wymyślona przez Sowiety? Nie chcę bronić Niemców, dobrze wiem do czego są zdolni, ale...

O. Stanisław: ... ale co? Ale ich bronisz!

O. Kalikst: To demagogia, dodatkowa dolegliwość każdej wojny. Otóż radbym przypomnieć, że byli tutaj z turystycznej ciekawości różni wysocy dygnitarze z Berlina i straszliwie się oburzali na radio londyńskie, iż niesłusznie oskarżyło Luftwaffe o zbombardowanie Jasnej Góry we wrześniu 1939 roku. Mamy w zbiorach złoty medal pamiątkowy, wybity przez bawarską mennicę z na-

pisem „Tschenstochau pod opieką niemieckiego żołnierza”. Przywozili tu neutralnych dziennikarzy i fotografów. Chcieli pewnie rozwiać nieufność swoich własnych katolików, Włochów, Hiszpanów...

O. Stefan: O klasztorze benedyktynów na Monte Cassino też mówili i pisali, że jest pod opieką spadochroniarzy Goeringa, a później... Nie bądźmy naiwni!

O. Kalikst: Ja jestem naiwny? Obawiam się, że naszego bibliotekarza i archiwistę urzekły literackie i historyczne reminiscencje. „Nova Gigantomachia” Kordeckiego nie schodzi mu z pamięci... A co do Benedyktynów na Monte Cassino, powiem tylko tyle: opat Gregorio Diamare s k o r z y s t a ł z oferty ewakuacji klasztoru...

O. Stefan: I co z tego? Czy opactwo nie legło w końcu w gruzach?

O. Stanisław: Nie pora na takie rozmowy! Nerwy nas wszystkich ponoszą. Nie tym tonem, Kaliś!

O. Kalikst (rozdrażniony): Wyobraźnia historyka! A jakże: już Szwed Miller podkop pod klasztorną opokę szykuje, górnicy z Olkusza skałę drążą, by prochy pod sanktuarium założyć. Ale nie żyjemy w wieku siedemnastym. Trzymajmy się lepiej faktów: na Bramie Lubomirskich wisi ogłoszenie władz niemieckich, zalecające żołnierzom przyzwoite zachowanie się na terenie sakralnym...

O. Stefan: Nie rozpłacz się z wdzięczności!

O. Stanisław: Kaliś! O czym ty mówisz? Gubernator Frank z żoną i córką, klauzury nie szanując, do wnętrza klasztoru jak para dzikusów wtargnęli! Fotografowali się w samym sercu sanktuarium. On, doktor praw, nie wyjmował rąk z kieszeni. Jego adiutant czapki nie zdjął przed ołtarzem. Historia surowo osądzi tych złoczyńców!

O. Kalikst: Matka Boska gwizdże na to, czy jakiś ludożerca zdejmuje przed jej wizerunkiem czapkę czy też łypie na nią złym ślepiem spod hełmu! „Historia surowo osądzi”! Nie wierzę w podobne frazesy...

O. Stefan: ... tylko nie tym niefrasobliwym tonem!

O. Kalikst: Dobrze, będę mówił frasobliwym tonem.

Upływ czasu, to nie tylko woda na młyn głosicieli relatywizmu moralnego, ale i jeden z celniejszych dowodów na istnienie Boga. Wiecie, dlaczego bardziej dowierzam siłom pozaziemskim niż historii czyli ludzkiej pamięci? Dam wam przykład...

O. Stefan: ... nie będziemy chyba dyskutować teraz o teologii i historii! Nóż mamy na gardle!

O. Kalikst: ... otóż Brzetysław czeski zajął Śląsk, spustoszył Gniezno i Kraków, po czym z wielkim łupem wrócił do Pragi. Gdyby ta nikczemność wydarzyła się współcześnie, zaciskalibyśmy pięści i myśleli o odwecie, ale ponieważ stało się to w pierwszej połowie jedenastego wieku, ani nas to dzisiaj ziębi ani parzy. Być może, że ten lub inny mąż świętobliwy, widząc krakowską katedrę Chrobrego w płomieniach, pocieszał się wtedy: „Historia ich surowo potępi!” Omylił się, biedaczek. Historia, to pobłażliwa pani. Nikt dziś Brzetysława nie przeklina. Zbrodnia przedawniona. Jeśli tyle kwitnących kultur i cywilizacji zginęło w ciągu wieków i nikt dziś za nimi nie płacze, pozostaje nam tylko wiara w instancję mniej zawodną: w tę na niebie...

O. Stanisław: Kaliś! O czym ty mówisz! Stąpajmy po ziemi. Blisko połowę terenu klasztornego Niemcy zamienili na koszary! A te śpiewy pijackie bez szacunku dla świętości miejsca! A te nocne libacje *Blitzmädel*! Stała inwigilacja, aresztowania i deportacje...

O. Stefan: Naszego „filozofa” takie „drobiazgi” nie przyprawiają o bezsenność!

O. Kalikst: Z czterech pomników w Częstochowie Niemcy zniszczyli pomnik Piłsudskiego, Pułaskiego i Narutowicza, ale nie tknęli pomnika księdza Kordeckiego!

O. Stefan: Za to Aleję Najświętszej Marii Panny zamienili na Aleję Adolfa Hitlera!

O. Kalikst: Powiem wam prawdę, chociaż tego nikt nie lubi. Nasz klasztor w ciągu tej wojny poniósł w sumie bez porównania mniejsze straty niż większość rodzin polskich poza tymi murami. A przecież nam, osobom du-

chownym, chyba bardziej przystoi męczeństwo niż kobietom i dzieciom... Abbé Pierre w swych „Braciach z Emmaus” pisze, że każdy z nas powinien sobie zawczasu przygotować odpowiedź na pytanie, jakie usłyszysz, stanąwszy przed tronem Najwyższego: „A tyś się jednak jakoś uchował w latach pogardy, przyjacielu?”...

O. Stefan: Protestuję! Demagogia!

O. Kalikst: Owszem, wzywano sześciu braci na śledztwo. Ojciec Romuald bohatersko zginął w Dachau, dwóch braci zesłano do Chorwacji, jeden ukrywa się w lesie. Ale to i wszystko. Podczas gdy są u nas, na wsi, rodziny, które...

O. Stefan: Dosyć! Ja tego słuchać nie mogę. Bolszewik by tego nie powiedział, co ty wygadujesz w tej chwili!

O. Stanisław: Oburzające! Przerywam dyskusję, którą, doprawdy, trudno nazwać dyskusją. Do rzeczy! Brat Felix, najmłodszy z nas, przedrze się w stronę Rosjan. Może mu się uda natrafić po drodze na jakiś polski oddział? Trzeba zawezwać saperów na pomoc. Tutaj jest kartka do Sióstr Zmartwychwstańek. Doktor Wiśniewski da ci motocykl. Pruj, bracie, w imię Boże! I tak za wiele czasu straciliśmy na gorszącą sprzeczkę. (Muzyka).

Co dalej? Już czwarta nad ranem. Za dwie godziny rozlegnie się pierwszy turkot za oknami, Warszawa zbudzi się do nowego dnia pracy. Henryk zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. Czuł zmęczenie pod powiekami, a przecież jeszcze nie wprowadził do akcji Polewoja. Ogarnął go nowy przypływ zniechęcenia do swej pisaniny. Po co to wszystko? Dlaczego nie jest lekarzem albo architektem? Dlaczego nie wykonuje jakiegoś naprawdę pożytecznego zawodu? Dlaczego krąży o świecie po pokoju jak zwierz w klatce, wymyślając sobie niepotrzebne kłopoty? Tego Kaliksta Hazdrubał nie puści, to jasne. Żadna z tych „komisji społecznych”, które odwie-

dziły teatr „Ateneum”, nie dałaby swego *placet* na ten wybryk. Narazi się nie tylko *Głosowi Kurii*, ale i tygodnikowi, „krzewiącemu kulturę świecką”. Także i emigranci udzielą mu „godziwej odprawy” w stylu: „Niesmaczne wystąpienie zaciężnego literata. Tow. Ziółkowski żałuje, że straty Paulinów w czasie wojny nie były większe”. Więc może ojca Kaliksta od razu usunąć z tekstu? Czy znając prawdę o Oświęcimiu, można w ogóle mieć wątpliwości, że Niemcy chcieli wysadzić Jasną Górę w powietrze? Cały świat chcieli zniszczyć, a klasztor w Polsce mieliby oszczędzać? Czy genezy zastrzeżeń Kaliksta nie należy się dopatrywać w niechęci autora słuchowiska do... Hazdruśbala? Gorsząca demonstracja prywaty i przekory: skoro prezesowi zależy na ukazaniu Rosjan w aureoli wybawców, tym samym Henryk ustami Kaliksta radby podważyć wiarygodność wersji Polewoja. Czy słusznej skądinąd zasady niezależności pisarskiej nie należałoby bronić na innym, bardziej dla opinii przekonującym, przykładzie? Czy w ogóle warto się upierać o prawdę historyczną?

Zniechęcony, wrócił do biurka, by dokończyć swej radioramoty, zanim nad głową, o piętro wyżej, nie rozdzwoni się budzik w pokoju Sylwestra. Dziwak, ten Osiński! Zrywa się z łóżka już o szóstej, bo podobno o tej porze, wprost z kłębow snu i ciepłej pościeli, wykluwają się najlepsze wiersze liryczne. Pewnie o robakach. Ja zazdroszczę ludziom, którzy po Oświęcimiu mogą jeszcze wierzyć w Boga, a on nie stracił wiary w sens poezji. Coś tam jednak jest na rzeczy w niechęci działaczy do literackiej hałastry. Stanowczo za wielu ludzi w Warszawie pisze a za mało oczyszcza ulice i chodniki. Jak to tylko mawiają na samym czubku partyjnej piramidy? „Węgla nie wydobywają, statków nie budują, ale głos podnoszą! My, kurzamać, pracujemy, a oni przyglądają się nam z założonymi rękami!”

No, to do roboty! Wskrzeszajmy tamten styczeń dalej!

Kronikarz: W tym samym czasie, gdy oddział uderzeniowy generała Romincewa, złożony z 42 pułku strzelców gwardii, a wzmocniony czołgami, artylerią przeciwpancerną i saperami, prze na Częstochowę, 37-letni podpułkownik Borys Mikołajewicz Polewoj zawezwany zostaje do sztabu marszałka Koniewa:

Polewoj: Melduję się na rozkaz. Wezwany zostałem w nagłej sprawie. Fonogram Dwa-Olga-Osiem — S.

Łączniczka: Musicie chwilę poczekać. Tow. Sidorenko nie skończył telefonować. Zakurzycie?

Polewoj: O, amerykański! Nieźle się wam tu powodzi.

Łączniczka: To wy jesteście ten znany literat? Zdaje mi się, że coś waszego czytałem?

Polewoj: Bo ja wiem czy „znany”?

Łączniczka: Obsypują was pochwałami i nagrodami.

Polewoj: Ee, jest takie powiedzenie: choćbyś karmił krowę czekoladą, nie wydoisz kakao.

Łączniczka: Tylko bez przesadnej skromności.

Polewoj: Jestem korespondentem wojennym *Prawdy*. Machnąłem tuzin pożytecznych nowelek, to wszystko.

Łączniczka: Skromność, to rodzona siostra próżności. Któż to tylko powiedział? Ale tow. Sidorenko już jest wolny...

Sidorenko: Zdrastwujcie, Borysie Mikołajewiczu! Dawnośmy się nie widzieli. Czy nie od czasów Stalingradu? Siadajcie, proszę, i od razu — byka za rogi. Mamy dla was ważne zadanie. W Dębicy, na lotnisku, czeka samolot, którym... Chwileczkę, czy słyszeliście o klasztorze Paulinów w Częstochowie?

Polewoj: Słyszałem. Cudowna ikona, stary kościół...

Sidorenko: Tym lepiej. Oto papierek, podpisany przez marszałka Koniewa osobiście, który upoważnia was do zatrzymania pierwszego lepszego oddziału przechodzącego przez Częstochowę. Załadajcie fachowców-minerów, przyda się wam też pluton wartowniczy. Udacie się do

tej polskiej Ławry Peczerskiej. Nasze czołgi powinny tam być za kilka godzin...

(Za chwilę pozwolisz sobie na fragment nieprawomyślny, który z pewnością padnie ofiarą cenzury Hazdru-bala, wywołując jego niezadowolenie, ba: zmusi prezesa do napisania skargi, bo ukazuje przyjaciół radzieckich z Polewojem na czele w niezbyt korzystnym świetle, co jest, ma się rozumieć, aktem niewdzięczności, jeśli nie wręcz demonstracją wrogości! Radca Wołkow zmarszczy czoło).

Polewoj: Domyślam się: trzeba to gniazdo ciemnoty i zabobonu wysadzić w powietrze. I słusznie: nowe życie można zbudować tylko na gruzach przeszłości. Polskim komunistom ta Lhasa tybetańska nie będzie potrzebna do szczęścia. Jak rewolucja, to rewolucja!

Sidorenko (śmieje się): Ot, literat, gorące serce, gorąca głowa. Entuzjazm, ojciec fanatyzmu. *Eto wasza achiłesowa piata!* Nie tak dogmatycznie, przyjacielu! Wręcz przeciwnie: trzeba zbadać, czy monastyr nie został przez Germańców podminowany. Zwiadowcy donieśli, że podobno założono tam skład dynamitu. Zakonnicy proszą o pomoc. Twierdzą, że żyją na beczce prochu. Rzecz trzeba dyskretnie zbadać na miejscu. Delikatna sprawa...

Polewoj: Wszyscy żyjemy na beczce prochu. Do czorta z humanitarnymi gestami! Jakże to? Dla pasibrzuchów w habitach, dla reakcjonistów w sutannach mamy pod sam koniec wojny narażać życie i zdrowie naszych wspaniałych chłopców? Przecież uczymy ich, że religia to opium dla mas, że walka klas jako napędowa siła rozwoju ludzkiego... Chyba nie łudzimy się, że w tym klasztorze zebrało się kółko przyjaciół ZSSR, by pomodlić się o rychłe zwycięstwo Czerwonej Armii?

Sidorenko: Mnie nie potrzeba agitować. Kursy „Pol-Wychu” mam w małym palcu. Ja też, wyobraźcie sobie, jestem ateistą. Ale na tym etapie, Polewoj, dla wygrania

wojny ojczyźnianej, w imię wyższego celu... Walczymy na obcej ziemi. Kompromisy, widzicie, przejściowe kompromisy, są nie do uniknięcia. Nie będę już was często-
wał cytatai z Lenina. Mało to rubli łożymy na utrzymanie Ławry Troicko-Siergijewskiej w Zagorsku? Patriarcha Aleksy błogosławi „organom Stalina” na Kreszczatiku. Czy nie oglądacie naszych filmów wojennych? Niemal w każdym z nich można obejrzeć scenę prześladowania cerkwi przez faszystów i obronę jej przez władzę radziecką.

Polewoj: Taktyka! Ale chyba już niepotrzebna. Zwycięstwo mamy w kieszeni. Jeszcze tylko dotłuc gada w jego legowisku...

Sidorenko: Jeszcze mają ponad 200 dywizji na wschodzie!

Polewoj: Dawaj Warszawę, dawaj Berlin! Za kilka miesięcy jesteśmy w Berlinie!

Sidorenko: Jeśli nas Eisenhower nie uprzedzi.

Polewoj: Nie wypuszczając pochodni rewolucji z rąk, idziemy na zachód. I to z ważną misją. Słusznie pisał Gorbатов: „Za przykładem starych bolszewików bierzemy kij do ręki, by każdą piędź oswobodzonej ziemi wytrześć z brudu i kurzu jak stary dywan!”

Sidorenko (cierpko): Teraz są już elektryczne odkurzacze. „Piędź ziemi” przetrześć jak „stary dywan”? Literacko nie brzmi to najlepiej. No cóż: Gorbатов, to nie Tołstoj! Ale o co właściwie wam chodzi? Ja też nie jestem zwolennikiem poświęcania zasad na rzecz taktyki, ale dostałem rozkaz i przekazuję go dalej. Tutaj nie kółko dyskusyjne. Tutaj wojsko.

Polewoj: Tak jest, wojsko!

Sidorenko: Wy o starożytnych Grekach pewnie się uczyli, co? Bo ja się uczyłem.

Polewoj (zaskoczony): Coś tam wiem... Ale co to ma do rzeczy?

Sidorenko: No, to ja wam wyjawię głębszą myśl: nie każdy mąż Ksantypy jest Sokratesem, nie każdy lokator

beczki jest Diogenesem, nie każdy posiadacz wanny jest Archimedesem, ale każdy podpalacz świątyni na pewno jest Herostratesem.

Polewoj: Trafne, tak jest!

Sidorenko: Otóż zrozumcie: nam wcale nie zależy na przypodobaniu się klechom, rymskiemu papie czy Polaczyszkom w Lublinie. W grę wchodzi nasz własny interes. Jeśli Niemcy rzeczywiście podłożyli bomby pod klasztor czy też materiał wybuchowy z zapalnikiem chemicznym...

Polewoj: Domyślam się: gdyby do eksplozji doszło w dwa tygodnie po zajęciu Częstochowy przez nasze wojska...

Sidorenko: ... tak, wtedy cały świat powie, że to nasza sprawa.

Polewoj: „Świat powie”! Świat nigdy o nas nic dobrego nie powie! To niewdzięcznicy! Można by, co prawda, nie zdążyć z rozbrajaniem tych depozytów Belzebuba i w ten sposób pozbyć się gniazda reakcji raz na zawsze a później ujawnić że sprawcami byli Niemcy, ale skoro taki jest rozkaz...

Sidorenko: Taki jest rozkaz. Trzeba pokrzyżować plany nowej prowokacji Himmlerów i Goebbelsów, podobnej prowokacji jak niegdyś pożar Reichstagu czy napisać na radiostację w Gliwicach w 1939...

Polewoj: ... Katyń...

Sidorenko: Tak, goebbelsowskie kłamstwo o Katyń. No, to w drogę! I tak zmarnowaliśmy sporo czasu na pogawędkę. Z kim innym pewnie bym tyle nie gaworzył, ale z pisarzami trzeba jak z jajkiem, bo nigdy nie wiadomo czy po iluś tam latach nie opiszą człowieka zatrutym atramentem...

Polewoj: Ależ towarzyszu... za kogo wy mnie macie?

Sidorenko (szyderczo): Za częśćkę przyszłej legendy. Jeśli się wam nie powiedzie, to pech: postępowiec zginął w obronie bastionu zabobonu i wstecznictwa. Jeśli się

operacja uda, święty Borys Polewoj, zbawca Jasnej Góry, będzie miał ulicę lub ołtarzyk w Częstochowie...

Polewoj: Nie wiadomo co gorsze. Sekcja zwłok wykaże.

Sidorenko: Zdaje się, że jesteśmy w jednym wieku, a to zachęca do przymierzania swych biografii. Ja wam szczerze powiem: nie lubię literatów. Nieżywi klasycy, czemu nie? Ale ci dzisiejsi, obrotni i na rękach noszeni, niech ich wszystkie katusze! A dlaczego, zaraz wam wyjaśnię. Za młodu pisywałem wiersze. Czort mnie podkuśił, by pójść do znanego poety i przeczytać mu kilka kartek. A wiecie co on mi powiedział? Że moje utwory świadczą o talencie malarskim i wobec tego powinienem się zająć plastyką. Za kilka miesięcy idę ja, ot, durak ze mnie, do znajomego malarza i pokazuję mu swoje akwarelki. A wiecie, co on mi powiedział? Że te obrazki wskazują na poetycki charakter wyobraźni i wobec tego powinienem pisywać wiersze. Tego mi już było za wiele? Zacząłem pracować w kijowskim aparacie partyjnym. Z początku mi dokuczano: „Taki talent! Poeta i malarz w jednej osobie! Nie zmieści się w naszych ramach!” — „Nie ma się co pieścić, musi się zmieścić — zarzeli starsi towarzysze — w dobrej armii rekruta się dopasowuje do munduru, nigdy zaś na odwrót!” I mieli rację. Ot, wybiłem się! Odnalazłem treść życia, a to najważniejsze. Zamiast być poetą czy malarzem, wychowuję politycznie. *Politiceskij rukowaditel!* Rzeźbię w człowieku. Czasem tylko, wiecie, gdy czytam jakąś zachwalaną książkę...

Polewoj: ... na przykład Borysa Mikołajewicza Polewoja.

Sidorenko: ... mówię sobie w duchu: „Ty byś, bracie, napisał ją lepiej!” Nie, to nie pod waszym adresem. Ale ja się rozgadałem, a tu wojna na karku. Robota się pali w rękach. Powodzenia, towarzyszu pułkowniku! (Muzyka).

Przerwa na papierosa i czarną kawę. Po wystukaniu tej sceny na Remingtonie (położył poduszkę pod maszynę, by nie budzić Helenki, której jeszcze zostały dwie godziny snu) Henryk poczuł się na chwilę lepiej, zadowolony ze swej pomysłowości i jeszcze nie przerażony własną odwagą. Cóż za cudowne *faux-pas*, ta wzmianka o Katyniu! Miał ochotę pogratulować sobie tego potrzasku, nastawionego na prezesa. Hazdrubał znajdzie się w kłopotliwym położeniu. Choćby dla tej satysfakcji warto niejedno poświęcić. Jeśli tę wzmiankę prezes usunie, o czym Frąś natychmiast roztrąbi po mieście, tym samym przyzna, że nie wierzy w oficjalną wersję o sprawcach zbrodni czyli że przypisuje ją Rosji. Jeśli jej nie wykreśli, nazajutrz po premierze słuchowiska nadejdą setki niepodpisanych ale soczystych listów od słuchaczy, którzy już mu przypomną co o tej sprawie sądzi społeczeństwo. Tak źle i tak niedobrze. Więc może jednak w ostatniej chwili każe tę nieszczęsną audycję zdjąć z anteny? Ciekawe, czy Hazdrubał wykreśli zdanie o literatach-podstępnych gadach, co to po iluś tam latach obryzgują swoich przełożonych zatrutym atramentem? Jeśli je usunie z manuskryptu, przyzna się przed Henrykiem, że boi się takiego obrachunku. Czy ta dziwaczna rozmowa Polewoja z Sidorenką brzmi wiarogodnie? Czy to bractwo rozmawiałoby ze sobą aż z taką otwartością? Wątpliwe. Przecież oni, sztuczni i papierowi, nie mówią swoim językiem, tylko mądrzą się pretensjonalnie niczym Ziółkowski. Ale o to niech się już cerber z czerwonym ołówkiem martwi. Czy autor słuchowiska nie skrzywdził Polewoja, przedstawiając go jako zacieklego hunwejbina? Ale bądźmy uczciwi: po co się silić na bezstronność, jeśli się kogoś szczerze nie lubi? Pisarzu, ty „współrzeźbiarzu charakteru narodu” (jak mówi Zenek), nie jesteś księgowym, który bawi się w sprawiedliwe „habet” i „debet”! Masz święte prawo do najbardziej jadowitych przywidzeń! Gorzej, że najtrudniejsza rafa jeszcze nie ominęta: krasnoarmiejcy Polewoja w roli wybawców Jasnej Góry. Innymi słowy:

przyjąć „sugestię” Hazdrubala czy ją odrzucić? Od tej odpowiedzi wykręcić się nie da. Tutaj leży Ziółkowski pogrzebion.

A swoją drogą: co też porabia w tej chwili ów nie-szczęśny Borys Polewoj, którego nie znam osobiście, nie widziałem w życiu na oczy, ale o którym przyszło mi pisać tej nocy, czując żabę rozkładającą się w przełyku? — pomyślał Henryk w przerwie, spowodowanej koniecznością zajrzenia do wypisów z księgi bojowej armii Koniewa. — Z pewnością ten ulubieniec nowych carów nie przeczuwa, że jakiemuś zdesperowanemu histerykowi w Warszawie „zasugerowano” wypracowanie o jego wiekopomnym wyczynie na jasnogórskim szańcu. Czy jak ataman serwilizmu, Szołochow, w oczekiwaniu na nocny pocałunek Muz moczy stopy w cebrzyku i wyjada palcami kiszzone ogórki ze słoja? Czy też wrócił z przyjęcia, wydanego przez Furcewą dla myśliścieli mongolskich, i, niezadowolony ze siebie, nie może zmrużyć oka? Rzucił się w ubraniu na tapczan, podłożył ręce pod szumiącą głowę i gryzie się myślą, że znowu zmarnował dzień na jałowym zajęciu, nie napisawszy ani jednej kartki. Może przypomina sobie, że wtedy, przed czternastu laty, dla Borysa Pasternaka zabrakło miejsca na pokładzie „Pobiedy” odbywającej swój miesięczny rejs dookoła Europy, z Odessy do Leningradu, pod hasłem „Wypoczynek dla zasłużonych”, ale Borys Polewoj dostał kabinę bez trudności. Czasem „opłaca się” nie napisać „Doktora Żiwago”. Lecz na krótko, bo na dłuższą metę wygrywają jednak ci niesfori. Już Gorki mówił, że trzech umiejętności potrzeba pisarzowi: „Jedna — to drzeć łyko, druga — pleść z niego łapcie, a tej trzeciej — nikt nie zna, bo siedzi głęboko, i to u nielicznych”. Co robi w tej chwili nasz duchowy kuzynek, Borys Mikołajewicz z przedwcześnie posiwiąłym lokiem? Może popija z przyjaciółmi w swej dacz, ozdobionej reprodukcjami Picassa; pod gołębiem z gałązką oliwkową wisi pamiątka z lat wojny: stara barania uszatka; i tonem bywalca, który daw-

no już przejrzał mechanizmy światowych sukcesów, powiada: „Przestańcie się w kółko zachwycać Sołżenicynem. Trzeba znać kulisy. Gdyby nie hałaśliwy akompaniament, jaki towarzyszy jego twórczości, akompaniament płynący zza granicy... Nie łudzicie się chyba, że chwałę go tam za walory artystyczne?”... Może układa w myślach pełną dramatycznego napięcia nowelkę o „chińskiej prowokacji” nad rzeką Ussuri? A może, nie syt rozgłosu we własnych opłótkach i tych odgórnie zarządzonych tłumaczeń od Władystoku po Erfurt, po kryjomu, przy drzwiach zamkniętych, pisze książkę-bombę zegarową, której mikrofilm zabierze kiedyś ze sobą w podróż zagraniczną i zdetonuje w innym świecie, by choć na kilka miesięcy awansować na czołowego prozaika literatury rosyjskiej? Czy myśli o uwięzionych kolegach, o losie Daniela i Siniawskiego? A może lituje się nad nimi jak ów przeznacny mistrz podwójnej buchalterii serca, liryk Świetłow, który powracającego z łagru przyjaciela Kosterina, przywitał słowami szczerego współczucia nad... samym sobą, wołając ze łzą w oku: „Nic mi nie mów! Wiem wszystko. Siedemnaście lat obozu, to piekło! Ale wierz mi, że cierpiełem przez te lata bardziej od ciebie! Tyś cierpiał tam, za drutami, ty tylko fizycznie ja zaś moralnie: męczyła mnie w Periedelkino myśl, że m szmata i zwykła świnia!” — A może to wszystko nieprawda? Któż zna całą prawdę o człowieku? A jeśli to przyczajony spadkobierca tęsknot Rylejewa i Bestużewa? Może on cierpi jak my wszyscy, brat-towarzysz niedoli, do mrocznych piwnic spychając kłopoty, urazy i porażki, aż któregoś dnia jak niegdyś Majakowski czy Cwietajewa... Może nęka go myśl o tej grudniowej, ostatniej nocy Jesienina w leningradzkim hotelu „Angleterre”, gdy zdesperowany poeta...

Ej, ty na szybkim koniu! Eschatologię, waćpan, układasz? Nie tylko dla siebie, ale i dla nieznanomego *vis-à-vis* w „stolicy lepszej przyszłości”.

Znowu ten wcibski Sylwester! Obrastając mnie jak

jemioła, nie tylko prowokuje chichoty Frąsiów, podejrzewających nas o przynależność do „mniejszości erotycznej”, ale zaczyna mi podkraść sny, i to takie, które wcale mi się nie śnią. — „Dziwny sen miałem tej nocy — powiedział niedawno na wieczornej przechadzce — sen o tobie, Henryczku! Nie zdziwię się, jeśli mi zarzucisz błagę. Otóż śniło mi się, że poleciałeś na zjazd literatów do Moskwy. Pan Jarosław wolał kongres w Paryżu, Pucio zatęsknił do ryb na Mazurach, — wysłano ciebie. Przy sposobności — wyobraź ty sobie! — spotkałeś się z Polewojem. Przegadaliście pół nocy. Wypiliście sporo, recytując wiersze Achmatowej i Pasternaka. Borys, „duszaczłowiek”, przypadł ci do serca. O Częstochowie mówiliście zaledwie przez minutę. — „A czort wie, jak tam wtedy było naprawdę — roześmiał się Polewoj — pewnie tak jak opowiadałem kiedyś waszej koleżance, Ossolińskiej!” — Na pożegnanie rozgruchaliście się, Heniu, jak dwa gołąbki, i to wierszem Puszkina: *„Izdrewle sładostnyj sojus poetow mież soboj swiazujet: oni żrecy jedinych muz, jedynyj płamień ich wołnujet; drug drugu czuždy po sud’bie...”* Ot, braterstwo w poezji, komunია dusz, Henryczku! Nasz stary słowiański świerzb! „Mów mi: Borys” na Krasnoj Płoszcadi. A następnego dnia rano — cóż za niezwykły, przewrotny sen! sam wyjść nie mogę ze zdumienia że pamiętam każdy szczegół i każde słowo! — zatelefonował do ciebie sekretarz prasowy ambasady PRL w Moskwie, towarzysz Zgryż. I wiesz co powiedział? „Ważna sprawa! — powiedział. — Nie nadaje się na telefon. Za pół godziny jestem u was w hotelu. Pójdziemy na spacer. Powiem wam tylko tyle: bomba!” — Na spacerze tenże Zgryż złapał cię za rękaw i wystrześlił: — „Musicie natychmiast wracać do Warszawy! Telefon z KC. Wiecie co się stało? Hazdrubał z sekretarką podczas pobytu służbowego w San Remo poprosili o azyl polityczny we Włoszech! Już zachodnie radiostacje zapowiedziały cykl jego rewelacji pod tytułem: „A teraz powiem całą prawdę”. Bomba, co? „Najgłośniejszy skarży-

pyta ten, co odszedł od koryta!" Ale to jeszcze nie wszystko! Docenta Frąsia zawieszono w czynnościach: podobno perfidnie, przez zaufanego emisariusza, pułkownika Bączka, ostrzegł Hazdribala, by przypadkiem nie wracał do kraju, bo grozi mu aresztowanie za bigamię. Prezes, taki stary wróbel, a jednak stracił głowę i — został. Dochodzenia w toku. Najwyższy czynnik szaleje. A wy, towarzyszu Ziółkowski, na osobiste życzenie pewnej wpływowej osobistości, macie objąć schedę po Hazdribalu. Serdecznie winszuję!" — „Na osobiste życzenie Bawolikowej!" — krzyknąłeś histerycznie i, ku zdumieniu przechodniów, rzuciłeś się do bicia Bogu ducha winnego towarzysza Zgryzia... Cudny sen, nieprawda?"

— *Se non è vero...* Dziwne rzeczy ci chodzą po głowie, przyjacielu! — roześmiałeś się w twarz Sylwestrowi, ale nie brzmiało to zbyt szczerze. I odruchowo wytarłeś rękę w chusteczkę: przypomniało ci się, że opiekuńcza dłoń twej ex-opiekunki była wiecznie spocona.

Już wpół do piątej. Czas nagli!

Rozwodzisz się nad troską prawdziwą i urojoną, ale o najważniejszej zgryzocie milczysz wytrwale. A więc jeszcze umiesz się wstydzić przed sobą, skoro ją przemilczasz. Nie udawaj, że już nie przypominasz sobie, czy ten cień o długim ramieniu nazywa się Bawolakowa czy też Bawolíkowa. Naiwny zabieg! Wiesz dobrze, że to Bawolikowa. Przez „i", a nie przez „a"! Zbyt często adresowałeś do niej koperty, oddawane w umówionym miejscu. Nie okłamuj więc siebie. Nie próbuj tamtych, wstydliwych lat wymazywać z pamięci, bo i tak ich, póki życia, nie zapomnisz. Spychanie tej sprawy na dno świadomości, to próba utopienia ryby w rzece. Niejedno makabryczne wspomnienie z lat wojny i obozowego koszmaru czas jakby już zabił — 67 dni czekałeś w drezdeńskiej celi śmierci na wykonanie wyroku! — obraz tamtych upokorzeń, cierpień i okrucieństw wyblakł już nieco po tylu latach, podczas gdy ten powojenny kolec, ostry i zatruty, nadal przebija błonę czasu. Może dlatego, żeś osaczony

został przez ludzi mówiących twoim językiem ojczystym i głoszących hasła, które kiedyś były ci bliskie. Nie udawaj, że nie pamiętasz, kto „przejął” twój „rewers” z rąk Rajsowej. Bawolikowa! Ona wie o tobie wszystko. Więcej niż zacna Helenka, która uważa ciebie za pozera i symulanta, ale nie za byłego podopiecznego Bawolikowej. Nawet Sylwester, zając z tego samego potrzasku, zna tylko część prawdy. Hazdrubał czy Fraś mogą się jedynie domyślać, że masz kleks w życiorysie, ale o „rewersie” i jego konsekwencjach wiedzieć mogą, poza „wyłączoną z obiegu” Rajsową i Bawolikową, tylko dwie lub trzy osoby w dalekim ukryciu, których nie znasz i znać nie chcesz. Wtedy, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, po odzyskaniu wolności, schodziłeś Sylwestrowi z drogi, on też spotkania z tobą unikał jak ognia, — dzisiaj zaś, sąsiad, przyjaciel, a może anioł-stróż, mieszka nad tobą. Owszem, widywałeś go czasem w kawiarni lub na zebraniu organizacji pisarskiej, byłeś nawet na wieczorze jego poezji, ale nie wdawałeś się z nim w rozmowę: za wiele o sobie wiedzieliście; ściślej mówiąc: ty wiedziałeś o nim więcej niż on o tobie. Gniła w was pamięć o „klubie kawalerów księżycowych”, pół salonie pół haremie Luny Rajsowej — jak kiczowato i niewiarygodnie brzmią te słowa po latach; wtedy ociekały łzami i krwią! — przedziwnej instytucji o którą i ty się otarłeś, tuż po „amnestii”...

Luna Rajsowa! Widmo „minionego okresu”! Szara eminencja, pułkownik KGB „wypożyczony” — my im frachtowce i węgiel, a oni nam „doradców” — przez centralę „wiadomemu resortowi”. Także i ten eufemizm ujawniał zabobonny lęk przed nazywaniem rzeczy po imieniu: terror nazywano „błędem” lub „wypaczeniem”, pierwszego dozorcę więzienia ludów — „gospodarzem”. O Rajsowej mówiono wtedy sciszonym głosem, że ma swój „własny sznurek” do Sierowa i wyżej, ponad głowami swych polskich zwierzchników. Że nie tylko „rozpracowuje sektor katolicki i akowski”, ale i chętnie „odżywia

się męskim mięsem”. Co najmniej dziewięciu intelektualistów w młodym i średnim wieku, właśnie tych „kawalerów księżycowych”, którzy we właściwym momencie „przejrżeli i uświadomili sobie, że trwanie na pozycjach negacji jest zajęciem jałowym, dla interesów narodu i państwa szkodliwym” (tak później pisałeś w neopozytywistycznych, „wieloswiatopoglądowych” wydawnictwach!) zawdzięczało wszechwładnej Lunie nie tylko umorzenie postępowania sądowego, przedterminowe zwolnienie z więzienia, w jednym czy drugim przypadku nawet odcięcie od stryczka, ale i późniejsze kariery życiowe. Najbardziej zagorzały ex-komunista, opanowany chęcią obrachunku z przeszłością (chętniej się przy tym bijąc w pierś cudzą niż własną), nie wymyśliłby równie typowej w swym negatywnym uproszczeniu postaci. Nawet nosiła się jak komisarka z antysowieckiego komiksu: krótko obcięte włosy, biała bluzka, czarna spódnica, buty do połowy łydek, wypchana torba na długim pasku, jak u konduktorki przewieszona przez ramię, w której mogła mieć klasyków marksizmu-leninizmu albo służbowy pistolet. I tylko perfumy, kolczyki i grubo nałożona kredka do ust zdradzały jej upodobania pozabiurowe. Oczywiście, miała krowio łagodne, wręcz dobroduszne. Głos zaś przesłodzony, podobny do tego, jakim speakerki radiowe w audycji wigilijnej dla Polaków za granicą życzą wesołych świąt „kochanym braciom i siostram, rozrzuconym po całym świecie”.

Gdy po raz pierwszy dostrzegłeś tę warstwę czerwieni na jej obrzękłych wargach, przypomniało ci się, że przed stu laty do fabrykacji pomadki do ust używano rozgniecionych owadów, pasożytów znanych pod nazwą „wesz kaktusowych”. Tej samej nocy, przy wstępnym przesłuchaniu, z głodu, niewyspania i strachu — dobroduszna Luna za biurkiem bawiła się pistoletem — wbiłeś sobie w głowę, że roje tych czerwonych wesz zaraz wyjdą Rajsowej ze szczelin między pożółkłymi zębami i okleją jej usta krwawą papką. Ostre perfumy przypo-

mniały ci zapach lizolu, którym skrapiano więzienne ustępy. Brązowe od nikotyny plamy na palcach skojarzyły ci się z trudnymi do zmycia śladami ludzkiej krwi. Prymitywne, „anty bolszewickie” powiastki, drukowane przed wojną przez klerykalne gazetki na prowincji („*Iwan w papasze za lasem lud wyrzyna kordelasem*”), brednie z których natrzasałeś się kiedyś w słowie i piśmie na szkolnej ławce i w kręgu „Płomienistych”, na twoich oczach stawały się ciałem. Odkrywałeś z przerażeniem, że „Mały Dziennik” w Niepokalanowie miał rację. Takie komisarki, panie życia i śmierci, istniały naprawdę. I gdybyś wtedy powiedział im co o tym wszystkim myślisz... Którejś nocy do kancelarii oficerka, prowadzącego śledztwo, wprowadzono nieznanego więźnia z podbitym okiem. — „Konfrontacja!” — zakomenderował mężczyzna za stolikiem. Nieznajomy, nie podnosząc na ciebie oczu, już od proga zaczął swoją lekcję: — „Przyznaj się, Heniek! Nie ma sensu się zapierać. Ja już się przyznałem i więcej mnie nie męczą. Wiedzą o naszej organizacji wszystko. Prowokator się wcisnął, wszystkich zasypał. Jakto? Nie przypominasz sobie jak razem montowaliśmy siatkę na Śląsku, ty i ja, na polecenie „Jasnego” z centrali? Przegraliśmy, Heniu! Koniec roboty. Trudno, poddajemy się. Głową muru nie przebijesz! Dowódcy uciekli, a nam każą to gównu wyjść!” — Roześmiałeś się nieznanemu w twarz, nietyle z odwagi, co z irytacji. Oficerek zamierzył się kolbą pepeszy. W tej samej chwili — czyżby oni to wspólnie wyreżyserowali? — w drzwiach stanęła Rajso-wa: — „Prymitywne to i naiwne! Chałupnictwo! — skarciła oficerka. — Tutaj trzeba głową ruszyć! Pozwólcie, że ja się zaopiekuję panem Ziółkowskim. Wyprowadzić tamtego! Panie Henryku — płynnym gestem wskazała ci krzesło — proszę siadać i nie mieć nam za złe. Porozmawiajmy ze sobą jak dwoje ludzi kulturalnych...” Tak się zaczęło. — „W imię czego ma pan gnąć za murami? — zaczęła dobrodusznie. — Szkoda zdrowia, młodości i talentu. W imię powrotu do czegoś, co minęło

bezpowrotnie? Nawet nasi wrogowie mówią już o „nieodwracalności przemian”. W imię tęsknot, których spełnić się nie da? Cały świat pogodził się z nowym porządkiem rzeczy nad Wisłą, a tylko jeden samuraj Ziółkowski miałby dmuchać pod wiatr historii? Conradowski mit wierności? Wzruszające. Ale dla kogo, panie Henryku, dla kogo? Dla tych, którzy jeszcze dobrze was nie zaprzyięgli, a już was zdradzili?” — „Uczono mnie — westchnąłeś ciężko, świadom beznadziejności i bezcelowości podobnych pogwarek z funkcjonariuszami przemocy — że bez nadziei nagrody i bez obawy kary powinniśmy być moralni z samego poczucia odpowiedzialności za los własny i innych ludzi”. — Nie byłeś przy tym pewny, czy nie powtarzasz cytatu z jakiegoś budującego traktatu o człowieku i jego obowiązkach. — „Ależ ten właśnie program — ucieszyła się Rajsowa, oczy jej wypełniły się dobrocią — wypisaliśmy na naszych sztandarach. Czuję, że się dogadamy, panie Henryku!”

O ile między mężczyznami, którzy się bliżej stykali z tą samą kobietą, wytwarza się niekiedy więź sympatii, coś na kształt „szwagierkowatej” zażyłości czyli *bruderschaft*’u do kwadratu, o tyle „kawalerowie księżycowi” jeszcze w kilka lat po zniknięciu ich moźnej protektorki z ubeckiego Olimpu, woleli nie garnąć się do siebie: nikt nie lubi świadków swej moralnej klęski. — „Jeśli tę zasłużoną wiedźmę rewolucji Belzebub powoła do swej chwały, — wymknęło się Sylwestrowi po Październiku — idę o zakład, że jej pogrzeb nie zamieni się w nasz zjazd koleżeński!” — Warto by się dowiedzieć, co się teraz dzieje z tą Erynią? Może schorowana, w gumowej pończosze, podpierając się laską, spaceruje w cieniu Łazienkowskich platanów? I gdyby cię przypadkiem spotkała w alejce pogroziłaby ci palcem: — „Ale mnie pan zdemonizował w swoich majakach! Po co ta przesada? Strach ma wielkie oczy. Wszystko pan sobie uroił. Przyjrzyjcie mi się dokładnie, a legenda o wszechwładnej Lunie, postrachu minionego okresu, rozpadnie się w mgnieniu oka:

jestem nikłą, nieszkodliwą, Bogu ducha winną rencistką szóstej kategorii. W życiu nie miałam pistoletu w ręku. Z panem Jakubem przynieśliśmy trochę orzeszków dla wiewiórek”. — Może pisuje bajki dla *Świerszczyka*? A może pamiętniki dla dorosłych, z których wynika nie-zbiecie, że „inni szatani byli tam czynni”? Ciekawe, czy pod jesień pracowitego życia nie wylądowała przypadkiem jako lektorka czy referentka w jednym z tych instytutów wydawniczych w Warszawie, gdzie we wspólnym pokoju, w słonecznej harmonii, pamiętając o swoich urodzinach i prezentach na imieniny, rzekłbyś: lwy i jagniątko przytulone do siebie na starym gobelinie, urzędują po społu dawni oprawcy i ich były ofiary. Kto sobie żyły podcinał w celi, zasłania taktownie bliznę bransoletką, by jej widokiem nie sprawiać przykrości koledze przy tym samym biurku. Drażliwych tematów nie porusza się z zasady, wspomnienia z tamtego okresu zasypano chlorem i głęboko zakopano w ziemi, wywoływanie duchów źle widziane. Mówi się przyjemnym półgłosem o pogodzie, muzyce, encyklopedystach francuskich lub o drugiej wojnie punickiej. Zaraz podadzą herbatkę. Niezły temat do powieści lub sztuki teatralnej. Gdyby go wolno było poruszyć! Choć właściwie to już czas przeszedł dokonany. Ilu ludzi w Warszawie, poza tymi którym zatrutym kolcem wbiła się w życiorys, pamięta jeszcze o Lunie Rajsowej? Komu, poza tobą, ta „hydra pamiętek” nie daje spać po nocy? Któż jeszcze, po tylu latach, uważa się za zakładnika przeszłości? Potem była tępa, bezbarwna Bawolikowa, już bez rozmów o bezdrożach formalizmu, ale i bez pistoletu na biurku. Dzisiaj są Frąsiowie w konfederatkach na kołtunie i naukowo zapracowani habilitanci, przerabiający poufne raporty na prace doktorskie. Ci nowi wyrażają się o Rajsowej jeszcze soczyściej od ciebie, ale i oni mają swój „sznurek” na wschodzie. Życie płynie naprzód i czas już, doprawdy, zapomnieć o widmach przeszłości...

Ale nie zmieniaj tematu! Wracaj do tamtych wydarzeń! Wykrztuś wreszcie całą prawdę o „rewersie”.

Przystojny, do Włocha podobny, Sylwester — za zbrodnię poczytano mu ułożenie słów do akowskiej piosenki, miał wtedy osiemnaście lat! — z miejsca wpadł Rajsowej w oko. — „Niegrzecznik z pana! — mówiła matczynym głosem do Osińskiego, ocierając mu chusteczką pot z czoła. — Ale ja się o to nie gniewam. Mnie się nawet ta czupurność podoba. Cieszę się, że nie prosi pan o przebaczenie grzechów i wypuszczenie na wolność. Jakże my, ludzie walki, gardzimy miazgą bez charakteru, tymi głupcami którzy się w śledztwie tłumaczą, że mieli trudne dzieciństwo i do szkoły piełi się pod górkę, że już w siódmej wiosnie życia śnili o czerwonej gwiazdzie nad Polską. Sylwester zaś jest nie tylko ładnym, ale i dumnym chłopcem, za co go szczerze cenimy i lubimy...” — Makabryczne były te czułości w krzykoszczelnych gabinetach „pierwszej damy” Bezpieczeństwa! Którejś nocy, nie mogąc na pryczy uśmierzyć kłębowiska myśli, przeraziłeś się odkrycia, że nie tylko miłość, ale i nienawiść podsuwa więźniowi majaki erotyczne z piekła rodem. Niewyżyty psychiatra, Sylwester, wyjaśniłby ci dzisiaj fachowo: „Ambiwalencja, typowa dla schizotypika. Wstręt i pożądanie w łatwowymiennym sprzęgu”... Nigdy nie miałeś w sobie skłonności sadystycznych, przez całe życie brzydziłeś się przemocą. Dopiero ta wiedźma trującym grzybem rozrosła ci się w mózgu. Pogromczyni w randze pułkownika. Samica, zasługująca na cięcie biczem. Lepki od brudu paroksyzm męki: widzisz ją we śnie nad sobą, czerwone owady okleiły jej wargi, miarowo i boleśnie policzkuje cię ciężkimi piersiami. Ohyda: w półśnie w półmalignie zdzieraleś nieraz z jej tłustego, białego brzucha przepoconą koszulę, miażdżyłeś tę galaretę pod sobą, a gdy w przystępie nienawiści z furją przebijałeś ją na wylot, tak jak zaostrzonym paliki .m przebija się strzygę w grobie, jedną ręką dusiłeś ją za gardło, a drugą zrywałeś stanik, by nasycić oczy widokiem nagiej piersi,

przelewającej się przez palce. Nareszcie rzezi! Do uszu twoich dochodził jej chrapliwy jęk, jęk czarownicy ginącej w mękach na palu, i strzępy niedorzecznych zdań, wyłaniających się z głębi celi: „Strzyga, upiór z zębami, raz zabity, odżywa na nowo”, „Samica strzygoni chojnówki, to jeden z najgroźniejszych szkodników, plaga lasów sosnowych, groźniejsza niż poproch cetyniak i brudnica mniszka”, „Nie śpieszta się, pierony, przy wózku! Do końca wojny zaś daleko, a buchenwaldzkie przysłowie powiada: k.... nie przejdź..., roboty nie przerobisz!” — Jak ci później w zaufaniu powiedziała Bawolikowa, purytanka zgorszona swobodą obyczajów swej przełożonej, kochliwa inkwizytorka „rozpracowywała” Sylwestra osobście, i to nie bez powodzenia, skoro już w kilka tygodni po opuszczeniu więzienia młody człowiek, choć nie mówił słowa po francusku, wysłany został na rok do Paryża, co go zaledwie ucieszyło, ale nie zachwyciło, gdyż marzeniem jego było skończyć przerwane wskutek aresztowania studia medyczne.

A jak było z tobą, rycerzu bez skazy? Ominęły cię wprawdzie załoty groźnej Putyfary, czego nie przypisujesz chyba odporności swego charakteru; po prostu: przejścia obozowe i więzienne nie wpłynęły korzystnie ani na twoje zdrowie ani na twój wygląd; przynajmniej na coś ci się przydał status męczennika, ale „za to” towarzyska Luna zainteresowała się niezdrowo twoją „nieprzeciętną inteligencją”, zaletą której istnienia najwidoczniej sam dotychczas u siebie nie podejrzewałeś, wyróżniając cię nocnymi rozmowami o kulturze i sztuce, i — co najważniejsze! — menażką rosołu z kury. Nawet nie przypuszczałeś, że oddasz za nią więcej niż biblijny Ezaw za swój przysmak, a mianowicie: godność i szacunek dla samego siebie. Jak się podczas jednej z następnych sesji okazało, *luna rossa*, poza służbą w bezpieczeństwie i towarzysztwem młodszych od siebie mężczyzn, miała i trzecią pasję w życiu: literaturę piękną, którą, o czym mówiła ze szczerym żalem, ofiarowała na ołtarzu spraw ważniej-

szych, gdyż trzem bogom jednocześnie, w tak trudnym okresie historii, służyć nie można. A jakże, umiałeś się znaleźć, wołając znad menażki pełnej rosołu: „Literatura jest najważniejsza! To sprawa życia i śmierci!” — Niech cię już lepiej prowadzą w swoich kartotekach jako egzaltowanego pięknoducha niż krnąbrnego politykiera, knującego przeciwko władzy ludowej. Bałeś się tej niewysokiej, otyłej policjantki, uszminkowanej na literatkę: za jej plecami czały się setki pułków obcej armii i rozciągała się bezmierna przestrzeń aż po Kamczatkę. Do uszu twoich dochodziły wprawdzie przemądrzałe pretensje Rajsowej pod adresem przedwojennej poezji, w powietrzu jak muchy wokół żarówki wirowały zwroty: „epatowanie kołtuna”, „czcze opisywactwo”, „bezdroża eklektyzmu”, „wyobrażnia na zwolnionych obrotach”, „natręctwo rymu”, „katarynka strofy”, „zbrodnia przymiotnika”, „bez-sens dopełniacza”, ale słowa te nie układały się w jedną całość: twój lęk pozbawił je lepiszczą. Patrzyłeś na mięsiste, lepkie od pąsu wargi, i miałeś ochotę rozdeptać je butem. Świat, który cię osaczył, był koloru brudnej czerwieni. Przesłodzone perfumami powietrze raziło nozdrza zawiesiną buraczanego bimbru i kwaśnym fermentem ludzkiej krwi. — „Wy się lepiej mnie trzymajcie — powiedziała Rajsowa — pomóc wam może dzisiaj tylko niewielu, zaszkodzić zaś każdy! Z Ziółkowskim na czele, bo to samobójca na raty, opętany chęcią szkodenia samemu sobie. Trafna diagnoza, co?”

No, i stało się: przypadłeś miłośniczce literatury do gustu. Raz w życiu, w Dreźnie, ocalił cię przed zagładą brunatny „obrońca”, rozczytany w romansie kryminalnym, a teraz miały cię wydobyć z matni niewyżyte ambicje twórcze westalki „wiadomego resortu”. „Niewiarygodne, ale prawdziwe” pisze się o takich sytuacjach w książkach. Przekonana o swoim talencie pisarskim, pani Luna wręczyła ci któregoś wieczora kilka nowelek z prośbą o szczerą krytykę. Instynkt cię nie zawiodł: oceniłeś je obiektywnie, ganiąc konstrukcję, błędy stylistyczne i

językowe, chwając natomiast zmysł fabuły i dar obserwacji... — „Brawo! — twarz Rajsowej pojaśniała radością. — Kto inny na waszym miejscu, po przeczytaniu tych iuvenilów, rozplynałby się w tanich komplementach, wy zaś mówicie prawdę! Kto wie, może rzeczywiście aresztowano was przez pomyłkę? Usterki językowe zawsze można wyczyścić, od tego są poloniści. Ale zmysł fabuły i dar obserwacji, to kwestia talentu. Jutro porozmawiamy o... współpracy kulturalnej!”

Całą noc nie zmrużyłeś oka, domyślając się o co chodzi. Ogarnęła cię ciemność, podobna do tej dzisiejszej, już w innej celi: na Jezuickiej. Znikąd pomocy, znikąd ratunku, i wciąż to samo: poddaj się. Racje, motywy, argumenty, linia samoobrony, — jakby to coś pomóc czy odmienić mogło. Troski. Całe roje czarnych trosk. Cisną się natrętnie jak muchy zmarłemu do oczodołów. Więc cóż miałeś w końcu zrobić? Rozbić głowę o drzwi celi? Czy byłeś wtedy w pełni sił fizycznych i psychicznych? Byłeś wrakiem. Czy mogłeś nie ulec i pokusić się o bohaterstwo, którego by nikt, poza tobą, nie dostrzegł i niedocenił? W zasadzie mogłeś: byli tacy, którzy się nie ugięli do samego końca; po iluś tam dziesiątkach lat uczyć będą o nich w szkole. Czy nie przeraził cię fakt, że więźniów, oskarżanych o Bóg wie jakie zbrodnie, już zwalniano do domów, a ciebie już drugi rok więziono bez wyroku? Rajsowa już pierwszej nocy powiedziała ci wyrażnie: „Z tej trupiarni wyjdą na wolność wszyscy. Z wyjątkiem kilkunastu hitlerowców-zbrodniarzy wojennych i ich żalosnej ofiary: głuptasa Ziółkowskiego!” — Lecz ta myśl, poza lękiem przed śmiercią bezowocną, dokuczała ci najboleśniej: na każdego mieszkańca tego kraju przypadł w czasie wojny wysoki przydział cierpienia, tylko najsprytniejsi przeżyli te lata w wacie, bez palmy męczeństwa lub miecza w dłoni, ale dlaczego właśnie ty, nie karp królewski lecz szara płotka w tym stawie, zaledwie u progu dojrzałego życia, po powrocie z piekieł, płacić masz za przynależność do wspólnoty podwójnie? Prze-

cież już w pół roku po wyjściu z Buchenwaldu, jeszcze nie wrócił do sił, ledwie doczekałeś się powrotu Helenki z robót przymusowych w Niemczech, uwięziono cię znowu pod zarzutem współpracy z organizacją „Nie”! Przy czym sprawa była idiotyczna, bez cienia heroizmu. Czekaleś na pociąg w Rokitnicy, podszedł do ciebie nieznajomy mężczyzna w berecie i powiedział: — „Czy byłby pan łaskaw rzucić okiem na mój bagażyk? Skoczę umyć rączki!” — Musiał być z Warszawy, skoro powiedział „bagażyk” i „rączki”. Walizkę wcisnął między twoją nogę a filarek peronu i przepadł bez śladu. W chwilę później otoczyło cię trzech umundurowanych z pepesami i w nie twojej walizce znaleźli ulotki. Logika podoficerów na posterunku była równie ostra jak ich bagnety. — „Po pierwsze: nikt w takich czasach nie daje nieznajomemu walizki do popilnowania. Po drugie: nikt w takich czasach nie bierze od nieznajomego walizki na przechowanie. Po trzecie: w walizce, oprócz ulotek, była koszula męska z tym samym numerem kołnierzyka co wasz. A w ogóle, to możecie dostać kolbą w zęby!” — Po kilku dniach przewieziono cię w kajdankach samochodem do Warszawy, i wieko więzienia znowu zapadło nad twoją głową, tym razem na przeszło dwa lata, o tyle gorsze od poprzednich, że już ogołocone z wiary w rychły koniec wojny, w cudowną odmianę losu. Znowu owiał cię znajomy odór niewoli: lizol, karbol, stęchła wilgoć, podchloryn wapna w kiblu, szuwaks na butach strażnika. Zabolą cię myśl, że tak jak podczas ciężkiej choroby cały świat kurczy się do rozmiarów łóżka, znowu wszystko zmaleje w tobie do tych czterech kroków wzdłuż i dwóch kroków w bok. Nie będziesz miał innego świata poza ciasną i mroczną trumną z zakratowanym okienkiem.

Kronikarz: Przenieśmy się do Częstochowy!

Po czołgistach z drugiego gwardyjskiego batalionu przez miasto przeszli strzelcy 42-go pułku i oddziały pontonowe. Naczelne dowództwo upatrzyło Częstochowę na

punkt dowodzenia marszałka Iwana Koniewa przed jego uderzeniem na Kraków. Ale jeszcze przed przybyciem głównych sił radzieckich podpułkownik Borys Polewoj, zgodnie ze swoimi pełnomocnictwami, udał się z czterema saperami i plutonem wartowniczym na Jasną Górę, gdzie lejtnantowi Kapustinowi, studentowi politechniki leningradzkiej, powierzył rozminowanie terenu klasztornego i odnalezienie ukrytych materiałów wybuchowych. Na polecenie saperów ewakuowano szpital ze wschodniego skrzydła, a Paulini przeszło dobę spędzili w schronie przeciwlotniczym.

Sceptyk Kalikst nie ukrywał swego niezadowolenia:

O. *Kalikst*: No, proszę, szukają tych bomb, i nic! Znaleźć ich nie mogą? Czy to igła w stogu, taki skład bomb lotniczych? Zawsze mówiłem, że to jakaś niewyrażna historia.

O. *Stefan*: Pomódlcie się lepiej, by te bomby znaleźli jak najszybciej.

O. *Kalikst*: Do tego już doszło! Za soweciarzy się modlić będę!

O. *Stefan*: Dlaczego nie? Miłujcie nieprzyjacioły wasze... *Gesta Dei per... sovieticos!* Opatrzność różnymi posługuje się narzędziami. Przeor Kordecki wierzył kiedyś, że Tatarzy przepędzą szwedzkich heretyków...

O. *Kalikst*: Nie przepędza się diabła Belzebubem.

O. *Stefan*: Chyba wolicie chwalić Boga w rozminowanym niż zaminowanym klasztorze?

O. *Kalikst*: Sam fakt, że rozkopują każdy schowek pod klasztorem i nic znaleźć nie mogą, jest dla mnie dowodem, że padliśmy ofiarą normalnej w czasach wojny psychozy. Nie wiadomo, czy ten Ślązak w niemieckim mundurze nie powtórzył nam zwykłej plotki?

O. *Stefan*: Do tego chłopaka mam pełne zaufanie.

O. *Kalikst*: Co tam „zaufanie”! Na intuicji polegać nie można. Efekt jest na razie taki, że po sanktuarium rozpetzli się na odmianę inni żołnierze.

O. *Stefan*: Zawsze ci mówiłem, że degradacja kontem-

placji prowadzi z czasem do osłabienia refleksji moralnej, a kończy się na zacietrizowaniu politykierskim, niegodnym służby Bożego.

O. Kalikst: Kontempluj, gdy cię czerwone morze zalewa!

O. Stefan: Co obiecywali sobie Niemcy po zamachu na Jasną Górę, co obiecują sobie Rosjanie po przyjsciu nam z pomocą, jest sprawą w tej chwili drugorzędną. Ważne jest, by klasztor ocalał.

Krzyk z daleka: Ojciec Stefanie! Jakiś Ruski szuka ojca przeora. Zdaje się, że coś znalazł, bo biega w kółko jak opętany. (Przerywnik muzyczny).

Kronikarz: W kilka minut później lejtnant Aleksiej Kapustin telefonuje do podpułkownika Polewoja:

Kapustin: Towarzyszu pułkowniku, tutaj Alosza. Rozwiązałem zagadkę. Znalazłem zapalnik typu chemicznego. Wygląda jak puszka od konserw. Tak, zapalnik z opóźnionym działaniem. Blaszka cynowa, na którą oddziałuje kwas. Gdy płyn przegryzie blaszkę, następuje wybuch. Gdyby podłączyć taki zapalnik do całego systemu min, wiadomo co dalej: ręka, noga, mózg na ścianie... Koniec meldunku.

Sierżant: I co? Ucieszył się?

Kapustin: Tak sobie.

Sierżant: Podziękował nam choć za 24 godziny rycia pod ziemią?

Kapustin: Coś tam czknął w słuchawkę, jak to wyższy oficer. „A teraz szukać tych min!” rozkazał. I zaraz do klasztoru popędził. Z dobrą nowiną do przeora. My się natyrali jak bure suki, a jemu podziękują, pewnie i jakiś kosztowny podarek wręczą w upominku, bo popy na złocie leżą. A pamiętacie jak było? Już po kilku godzinach poszukiwań pracę chciał przerwać. Mruczał, że nas, komunistów, do takiej roboty wyznaczono, że każdy czerniec mu śmierdzi. A teraz — trzeba znać tych pisatieli z Agitpropu! — pysznić się będzie jak paw, że to jego wiekopomne dzieło!

Sierżant: Albo też pary z ust nie wypuści. Katolicki klasztor w Polsce, to delikatna, polityczna sprawa. Bo ja wiem, czy o tym mówić i pisać pozwolą? Może dopiero kiedyś... za dziesięć lub dwadzieścia lat?

Kapustin: Iii, prawdy nigdy ukryć się nie da... Grunt, że wojna dobiega końca. Tej nocy znowu wracałem z Bachczyseraju. Droga z Sokolinego do Jałty przez Aj-Petrińską Przełęcz należy do najpiękniejszych na Krymie. Po com ja, durak, wyjeżdżał kiedyś do Leningradu?

Sierżant: Ja, dzygit bez konia, ja z kiszłaku, mnie się tam już nic nie śni. Jak by pozwolili, tutaj bym się kiedyś osiedlił, ale czy pozwolą? (Muzyka).

Tyle hałasu o nic! O ten zlepek banałów, włożonych w usta sztucznie stworzonych bohaterów. O ten tekst bez głębszego podłoża, skażony brakiem wewnętrznego przeżycia głównych postaci i odbębnieniem scenek dialogowych. Jakto tylko piszą w poradnikach literackich? „Postawa życiowa autora wpływa na jego postawę artystyczną. Jeśli w tej drugiej czujemy nieporadność lub fałszywą stylistyczną pozę, to znaczy że autor po prostu pisze o rzeczach, których nie przemyślał”. Biedna Malinka! Choćby na głowie stanęła, nie wyczaruje z tych karteek teatru. Proszę się rozejść: dobrego słuchowiska o Polewoju nie będzie, bo być nie może.

No, więc co? Maskarada dobiega końca. Mimo żałosnych wybiegów, uchylania furtek za sobą, poszukiwania alibi, oszukiwania siebie i innych, jednak skapitulowałeś, Henryku Ziółkowski! Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Grzęznąć w kompromisach, nie stłumiłeś legendy w zarodku, nie odśloniłeś jej kulis i mechanizmu, nie zadziwiłeś świata odwagą przekonań, nawet nie błysnąłeś przymysłnością przymytnika. Nie skorzystałeś z poufnej relacji, udostępnionej ci przez Frasia, woląc się oprzeć na wersji oficjalnej, bo tak jest przecież bezpieczniej. Na niewiele się przydał w tej sztuczce Ślżzak Badura i mal-

kontent Kalikst. Cóż z tego, żeś nie pożałował sadzy przy nakreśleniu sylwetki Polewoja i część swoich zastrzeżeń włożył w usta Sidorenki? Jeśli nawet ten czy inny fragment twojej radiowej historyjki wzburzy Hazdrubala, zgorzszy Bawolikową, rozczaruje Frasia, zdziwi Stawczyka, speszzy Malinkę, zirytuje radcę Wołkowa, zasmuci Sylwestra a przerazi biedną Helenkę, prawdy ukryć się nie da: raz jeszcze wywiesiłeś białą chorągiew. Sylwester ma rację, gdy mówi, że heroiczny oportunizm gorszy jest od zwykłego tchórzostwa.

Koniec wieńczy dzieło. Jedźmy dalej!

Kronikarz: Borys Polewoj gościem Ojców Paulinów na Jasnej Górze. Podejmowano go serdecznie. Ojciec Kalikst skrzywił się wprawdzie, gdy podpułkownika Czerwonej Armii jeden z braciszków nazwał *defensor fidei*, obrońcą wiary świętej, niczym Sobieskiego, ale zgodził się, aby razem z ojcem Stefanem oprowadzić Rosjanina po kościele.

O. Kalikst: Prosimy, serdecznie prosimy!

Polewoj: Dziękuję za okazaną mi gościnność i za świetne trunki. Cieszę się, że udało nam się na czas przyjść tej zabytkowej świątyni na ratunek. Strach pomyśleć, co by się stało, gdybyśmy się spóźnili. Skutki eksplozji byłyby fatalne. Główna nawa kościoła ległaby w gruzach. Duży ładunek wybuchowy umieszczony był bezpośrednio pod kaplicą w której mieści się sławna ikona. Czy możemy się udać w tamtą stronę?

O. Stanisław: Ojciec Stefan, nasz historyk, oprowadzi pana pułkownika i jego żołnierzy po naszym sanktuarium.

Polewoj: Alosza, rebiata, czapki z głów! Wchodzimy do środka. Od jak dawna Paulini zamieszkują Jasną Górę?

O. Stefan: Zakon przybył z Węgier. Rok 1382.

Polewoj: A ikona? Jakie są jej dzieje?

O. Stefan: Pierwszy historyk polski, Długosz, pisze

że autorstwo obrazu przypisywane jest św. Łukaszowi Ewangelście.

Polewoj: Ale to pewnie legenda?

O. Stefan: Legendy nie są wrogami prawdy. Początki obrazu giną w pomroku pierwszych wieków naszej ery. Wchodzimy do kaplicy...

Ojcowie (na tle muzyki organowej) „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą”...

O. Stefan: Tę modlitwę odmawia lud w Polsce od dwunastego wieku.

Polewoj: Dziwnie tu jakoś przybyszowi...

O. Stefan: Królowie stąpali po tej posadzce przed wiekami. A ilekroć przy dźwiękach trąb i biciu w kotły Regina Poloniae zza rozchylonej zasłony wejrzy na swe dzieci, krzyk radości i płacz wiernych rozlega się w tych murach. I tak jest już od wielu pokoleń. Tutaj podajemy sobie ręce poprzez stulecia, od wieków zagrożeni, od wieków niezmożeni...

Polewoj: Czy wy wierzycie w cuda?

O. Stefan: Cuda zdarzają się, ale nigdy ludziom duchowo biernym.

Polewoj: Hm... (Muzyka).

Już dniało, gdy Henryka ogarnął żal, że przed rokiem, podczas swego pobytu w Kolonii nad Renem, nie skorzystał z okazji, by zostać na stałe za granicą. Wzgląd na Helenkę? Dałaby sobie radę i bez niego. Lęk przed utratą czytelników? Mało to Polaków żyje poza krajem. A jest i chyba jakiś dostęp do czytelnika niepolskiego? Frazesy o „dezercji”? Nikt w to nie wierzy. Nawet ci, którzy je głoszą. Sam fakt, że bez uzyskania przepustki na wartowni nie można opuścić koszar, jest chyba dostatecznie ważnym powodem, by do nich nie wracać. Państwo, które uważa obywatela za swoją własność, tym samym traci do niego wszelkie prawo. Tęsknoty, nostalgia, przyjaźnie i poczucie wspólnoty? Nie przesadzajmy. Babcia Ko-

nopnicka dawno już nie żyje. Ładnie to wygląda na papierze, ale nieco inaczej w życiu. Już się wahał, już snuł odważne projekty, gdy w ostatniej chwili jednak mu zabrakło odwagi. O ile łatwiej jest przepływać pod kulami graniczne rzeki wpływ niż wstać od prezydialnego stołu na zagranicznej konferencji! Na tym właśnie międzynarodowym spotkaniu zauważył, że jego, oficjalnego przybysza z Warszawy, — przez omyłkę wzięto go nawet za dozorcę delegacji! — organizatorzy imprezy traktują o całe niebo lepiej niż emigrantów. Czyżby nawet w sferze ducha obowiązywała czołobitność wobec tego, co „oficjalne”? Ba, zgrywający się na wielbicieli Wschodu Niemcy przepraszały go za „gruby nietakt”, jakim, ich zdaniem, był nieoficjalny przyjazd kilku Polaków z Londynu. — „Teraz, gdy budujemy mosty na wschód — wionął mu w ucho dymem z cygara siwiejący blondyn z oznaką Unii Pokoju w klapie — nie dopuszczamy do głosu uchodźców politycznych w ogóle a Żydów z Polski w szczególności, *das ist klar*. Wiemy z własnej historii, ile szkody mogą wyrządzić emigranci, szkalujący swój kraj za granicą...” Henryka ogarnął niemiły domysł, że gdyby go środowisko twórcze w Polsce miało za hycla nad hyclami i otaczało bojkotem towarzyskim, zagranica padłaby przed nim płackiem. Pawłów tam nie cenią, wołą Szawłów. Nic się tak nie opłaca jak strzykanie śliną na zachód. Chcesz dostać zaproszenie z Waszyngtonu na objazd Stanów Zjednoczonych? Wygłoś najpierw serię antyamerykańskich pogadek w hazdrubalowym eterze. Francuzi, Anglicy, Niemcy też zapraszają do siebie ananasów o długoletnim paszkwilankim lub ubecko-politruckim dorobku, właśnie tych „słodkich brutalii” i supercwaniaków, którzy we własnym kraju cieszą się nie najlepszą opinią. Któż się tam, na zachodzie, zastanawia nad tym, jakie wrażenie tego rodzaju „premie” robią na nadwiślańskich *zapadczykach* i opozycjonistach? A w ogóle: komu tam naprawdę zależy na tym, aby w Europie Środkowej i Wschodniej nie hulał zamordyzm? — „Co tydzień nowe, niezwykle uda-

ne, symposium pod hasłem „Wschód i Zachód przy jednym stole” — westchnął młody Chorwat w kularach zjazdu. — Odprężenie, zbliżenie, wymiana, wspólny toast nad zwłokami antykomunizmu, wroga świata Numer Jeden. Ale mnie się ta euforia nie udziela. Zaczyna się niewinnie: od nieszkodliwych frazesów a kończy się na nieudzielaniu azylu i tajnym wydawaniu uciekinierów”. — A towarzysz niedoli z lat buchenwaldzkich, obecnie działacz emigracyjny w Paryżu, powiedział Henrykowi przy bufecie: — „Rzecz jest dziecinnie prosta. Jeśli się na obczyźnie w rekordowo szybkim czasie wynarodowisz i dorobisz większego majątku, „socjaliści” w Warszawie padną przed tobą na kolana, bo przecież oni wierzą w pieniądź żarliwiej niż kapitaliści. Będą cię zapraszać na święta państwowe i fetować jako gościa rządu lub „naszego sławnego rodaka”, a jeśli im jeszcze pošlesz jakiś stary szyszak do muzeum, sam premier przypnie ci order do piersi. Ale jeśli, przyjacielu, naprawdę będziesz się troszczyć o sprawy polskie i nie dojadając, nie myśląc o własnej przyszłości, zaczniesz pisywać na poddaszu broszurki polityczne lub przemawiać na wiecach do takich samych jak ty chorych na Polskę nieboraków, okrzyczą cię zdrajcą i wrogiem narodu. A więc zastanów się!”...

Zrozumiałe, że nie ma idealnych miejsc na ziemi — Henryk przebierał ziarenka swego różańca wątpliwości dalej — zwłaszcza dla nas, w „świecie nieproszonych gości”. I pewnie nie ze wszystkimi rodakami, którzy opalają się w słońcu wolności, byłoby mi po drodze. Na przykład: z tą pozamorską zacnością nad zacnościami... — „Często słyszałem o mieszkańcach innych planet, ale dopiero dzisiaj zobaczyłam podobne zjawisko na własne oczy — powiedział niedawno Sylwester po powrocie od Bączków (po cóż on tam chodzi?). — Nie na talerzyku przyleciało do nas, lecz zwykłym samolotem. Rodaczka zza Oceanu, Reprezentantka Kół Postępowych! Idealny sprzymierzeniec, który bronić będzie dobrego imienia naszego kraju przed kampanią nienawistnych sił. Frąsiowie

z kwiatami kopnęli się na Okęcie. Spocona, w okularach w zielonej oprawie z perełką, obwieszona kamerami, klepiąca przechodniów po ramieniu, nabierająca rodzinnej ziemi do plastikowego woreczka. Ofiarna, życzliwa, pobożna i pełna dobrej woli działaczka. Złote serce. A umysł? Pełen swoistego wdzięku! Dopiero pod sam koniec pobytu w Starym Kraju zgodziła się na występ przed kamerami telewizji. Hazdrubał oddał sympatycznego gościa pod opieką kol. Ossolińskiej. I wtedy okazało się, że 35 lat pobytu w ojczyźnie wolności i demokracji spłynęły po zacnej osobie jak woda po kacze. „Polityką się nie interesuję — powiedziała *mater dollarosa* do mikrofonu — wy już sami wiecie, co dla was jest dobre a co złe. Grunt, żeśta się, biedaki, jakoś uchowali. Powiem tylko tyle: za żydków, szwabów, hajdamaków i *egg-heads* wziąć się trzeba, bo to jest zaraza! *Hippies* włosy obciąć, i wygnąć do roboty! *You don't work enough!* Za wiele *entertainment*, czytania książków i picia kawy. Moda też jest bolszewicka: majtki dziewczynom wyzierają spod spódnicy. Rozwody, *antibaby-pills*, naród w piątek mięso je, za wiele kina i teatru. Warchoły po kątach warcholą i wódkę piją. Ustępów macie za mało. Ale Bogu dziękujta, że czarnego i żółtego luda nie macie w swojej chacie. A już te portorykańskie robactwo, wierzta mi, ludzie, gorsze jest od Ruska! *O, much worse!*” — Ossolińska wyłączyła mikrofon. Wywiadzik, chociaż zawierał akcenty szczerze i barwne, jak się domyślasz, nie ozdobił programu naszej telewizji! Ciekawe wydarzonko, co?” — Ciekawe. Ale czy z takich zdjęć migawkowych można wyciągać wnioski? Przecież tamten świat nie jest zaludniony li-tylko pasażerkami latających talerzyków. Nie naginajmy rzeczywistości do własnych uprzedzeń, Pegazie na biegunach.

Właśnie! Dlaczego by się nie przeprawić na drugi brzeg? Gdy przed iluś tam miesiącami odwiedzał Włochy, by przygotować serię telewizyjną „Na śladach Kopernika”, spostrzegł ze zdziwieniem, że cień polskiego lęku

sięga poza granice kraju. Jeszcze nie rozpakował walizek w rzymskim hoteliku, a już go jeden rodak ostrzegł życzliwie przez telefon przed drugim rodakiem: — „Uwaga na Mazurka! — zasyczało w słuchawce na swojską nutę — to stypendysta, a pan chyba wie za jaką cenę wypuszczają naszych prymusków za granicę!” — W niespełna godzinę później meldował się ów stypendysta, Mazurek, prosząc o stuprocentową dyskrecję. Z jego rewelacji wynikało z kolei, że Henrykowi wolno się w Rzymie zobaczyć z każdym, byle nie z tym podejrzanym indywiduum, które przed godziną jemu, Mazurkowi, wystawiło świadectwo niemoralności. W kawiarence na Piazza Navona, przy szklance Campari-Soda, dowiedział się, komu nie przedłużą w konsulacie PRL paszportu, bo jest „spalony” (widziano go na emigracyjnych uroczystościach na Monte Cassino) i będzie musiał wracać do kraju, kto w „tajemniczy sposób” dorobił się już Forda Capri, kto siorbie przez słomkę cienką zupkę z księżego garnuszka w rozgłośni watykańskiej, kto „kombinuje” jednocześnie z włoską KP i Amerykanami. Owiewały go szepty, dręczone pytaniem z czego kto żyje i jakim prawem nie umiera z głodu. Już pod wieczór pierwszego dnia pobytu nad Tybrem Henryk odkrył ze smutkiem, że Polacy są wszędzie tacy sami. Geografia ich nie zmienia, zamożność ich nie uszlachetnia, nawet odmienne biografie nie bardzo się liczą, skoro emigranci, a więc ludzie którzy mogliby żyć według własnej partytury, także ulegają infekcji wszechłęk, płynącego ze wschodu, i uważają się nieraz, choćby ze względu na chorą ciotkę w Krakowie, za zakładników. Pokrewna katalepsja. — „Zamroziłem kontakty towarzyskie z naszymi emigracyjnymi ultrasami — zwierzył mu się na Placu św. Piotra półrodak półcudzoziemiec o pięknym, historycznym nazwisku — ja się w politykę nie bawię, raz: że nie chcę utrudniać pracy episkopatowi w jego delikatnej sytuacji, dwa: bo władze w Warszawie gotowe mi jeszcze nie dać wizy do Polski, a nigdzie się tak dobrze nie poluje jak w ojczystych lasach. Nic mnie

tak nie cieszy jak widok wiejskiej dziatwy garnącej się do mojego Alfa Romeo. Pan wie, że oni teraz już w butach chodzą! K m i e ć polski zawsze był pobożny, pracowity i gościnny...”

„Kmieć!” — powiedział ów markiz z innego gwiazdzbioru. Przyjeżdża do nas jak Anglik do kolonii: rozdać tubylcom paciorki. A mnie, o dziwo, to smuci i złości; mnie, który patrząc na wiecznie młody błękit rozpięty nad starym placykiem na Zatybrzu, przypomi nał sobie westchnienie Tucholsky’ego z paryskiego parku Monceau: „Siedzę na ławeczce, opalam się, wypoczywam po ojczyźnie mojej”...

Odwiedzałś za miastem grób angielskiego poety. Pochyliłś się, zamyślony, nad napisem wyrytym w kamieniu: „Tutaj leży ten, którego nazwisko wypisano na wodzie”, gdy nawet tam, poza kręgiem codziennej krzątany, doszedł cię bzyk komara ze znajomych mokradeł: „Trzymaj się pan lepiej od tego Jureckiego z dala! Wszyscy się nad nim litują, że *clochard*, wagabunda, głodomor, że gołębiom ziarnka podkłada przed bazyliką, a pan wie, ile on waży? Sto dziesięć kilogramów żywca! Co jakiś czas w rozpacz wpada, żegna na zawsze, i tak, chwalić Boga, już ósmy rok smaży się w tym włoskim piekle. Bez grosza przy duszy. Czy to nie frapujące?”

Zostałbym t a m — pomyślał — nie dla przygody czy wygody (jakaż to znowu wygoda, być emigrantem? potulnemu skrybie-*exemplum*: Ziółkowski! — z pewnością się tutaj, pod opiekuńczymi skrzydłami guwernantek, powodzi materialnie lepiej), ale z pobudek idealistycznych. By powiedzieć światu prawdę. I pisać bez cudzych „sugestii” i samocenzury. Właśnie: prawdziwą powieść współczesną o tematyce krajowej, nie okaleczoną monografię Polski Podziemnej, szkic o „minionym okresie” bez szminki, niesfałszowaną historię KPP czy relację o losach mojego brata pod kręgiem polarnym napisać i wydać można z pewnością tylko na emigracji. Samym swoim niepowrotem zrehabilitowałbym się w oczach czy-

telnika za niejedno bezceństwo propagandowe, popełnione w przeszłości. Odzyskałbym przyjaźń Kalinowskiego w Londynie, mógłbym spojrzeć w oczy jego wspaniałemu synowi. Więcej: założyłbym protest moralny, przemówiłbym w imieniu tych, którzy, wybaczcie wytarte słowa „usta mają zamknięte”. Lecz czy oni, na Zachodzie, bo tam od wieków leży instancja odwoławcza, nie znają prawdy o naszym świecie? „Oświecić, to zmienić na lepsze” — czy hasło to nie poniosło bolesnej porażki za naszej pamięci? *Siècle des lumières* ulotnił się przez oświecimski komin. Czy tylko niewiedza leży u podstaw obojętności na zło? Czy nie wiemy, jak się kończą pojedynki między etyką a interesem? A jakże mógłbym napisać książkę w stylu „J'accuse”. Któż, dotknięty niemotą o tym nie marzy od lat: krzyknąć na całe gardło? Ale musiałbym przedtem uwierzyć w opinię międzynarodową, w „sumienie świata”, istnienie niewidzialnego trybunału, rozpatrującego krzywdy, zadane ludziom i narodom. Dzieci po czterdziestce, nie wierzymy w bociana. Czyż nie nazwano nas kiedyś „natchnieniem świata” by w niedługi czas później... W kuluarach kolońskiego kongresu jakiś schorowany emigrant, uciekinier z Hiszpanii, polował na zagranicznych delegatów, by im opowiedzieć co przeżył w swoim kraju, spędziwszy dwanaście lat w więzieniu. Uciekano od trędowatego, bojąc się zapewne, że nieszczęście jest zaraźliwe. — „W nogi, panowie! Schowajmy się w barze! — zakomenderował znany szwajcarski humanistarysta — zbliża się ten stary nudziarz z Katalonii, postrach wszystkich zjazdów i kongresów, maniak sprawiedliwości dziejowej. Zaraz nas uraczy nowym memoriałem!” — „*Ein Spielverderber*” — powiedział ktoś ironicznie. Biada pokonanym. Mało to podobnych Katalończyków straszy w świecie? Czy potrzebny jest jeszcze jeden, — z Warszawy? Słowem: tu źle i tam niedobrze. Zastanów się więc: gdzie lepiej być skazanym na bezsilność i gestykulację? Tu, w koszarach? Czy też tam, za mostem westchnień? Więc może nie warto żałować nie

zazanego nektaru emigracji, jeśli i w nim nie brak octu i goryczy? Wylatując z Okęcia na Zachód, odczuwasz lęk niedorzeczny, że mógłbyś nie wrócić i zgubić się w obcym świecie na zawsze. Gdy stewardessa zapowiada: „Za kilka minut lądujemy w Warszawie”, cieszysz się, jeśli w szczelinie między chmurami dojrzysz wstęgę Wisły, lecz w tej samej chwili dokucza ci domysł, że to może twoja ostatnia podróż za granicę, że drugi raz już cię nie wypuszczą. Może ktoś napisał raporcik, żeś się spotkał ze „spalonym” Ypsilonem albo w czasie publicznej dyskusji nie dał „wrogiemu” Iksowi „godziwej odprawy”? Ale po co się w ogóle bawić w hamletiady, skoro z góry wiadomo, że Hamlet dawno już umarł ze strachu na serce, a reszta jest gonitwą myśli, żalosną ciuciubabką, suchym branzlem, szukaniem argumentów na usprawiedliwienie niedowładu woli, i — mówiąc językiem pani Bawolikowej — „nieuleczalną próchnicą charakteru”. Sylwester ma rację: to choroba więźnia, który się „zasiedzia”. Wtedy, przed laty — pamiętasz? — w niemieckim więzieniu, myśl o przeprowadzce z gorszej celi do lepszej też cię napawała lękiem.

Ale znowu przemyślnie zboczyłeś z drogi, nie chcąc wracać myślą do... Wyrzuć z siebie wszystko, zanim ta noc grafomaństwa i niedobrych wspomnień dobiegnie końca. Jak było z tym... „rewersem”? Rajsowa, osoba słowna, nie zapomniała o twojej „recenzji”. Wprawdzie nie nazajutrz, jak przyrzekła, ale dopiero po dwóch miesiącach — dobra policja nigdy się nie śpieszy; pewnie chciano byś zmiękł i „dojrzał” w podziemnej poczekalni? — przewieziono cię któregoś wieczora do willi w Leśnej Podkowie. Gdy konwojenci w limuzynie, o dziwo, nie robiąc tajemnicy z celu podróży, na głos wymienili tę nazwę, pomyślałeś sobie, że w ciekawych żyjesz czasach: jeden literat będzie się tej nocy krwią pocił w willi UB pod Warszawą, a inny, który sztukę nienarażania się władzy posiadał w stopniu doskonałym, niedaleko stąd, w swej nobliwej siedzibie, wśród obrazów książek i pełnych

srebra kredensów, o tej samej godzinie z olimpijskim spokojem cieniować będzie delikatną nowelę psychologiczną przy mahoniowym biurku lub pakować podróżny neseserek, bo czas już najwyższy pozdrowić primaverę na Sycylii. Czy odłoży pióro na chwilę? Czy nadstawi ucha? Czy posłyszysz twój krzyk w piwnicy?

Za stołem, obok Rajsowej, siedział nieznajomy olbrzym w słonecznych okularach i przez cały czas „spotkania” czytał *Trybunę Ludu*, i to z takim zaciekawieniem, jakby się dorwał do powieści sensacyjnej, a ten autentyczny dreszczowiec, jaki rozgrywał się o dwa metry od niego, jeszcze mu nie wystarczał. — „Tam, na mieście, — zagaiła tow. Luna, pobrzękując czerwonymi koralami na bluzce — jak mówi poeta: *„stał się cud odrastających pędów z pnia strzaskanego przez burzę dębu”*, a tutaj: Ziółkowscy ślepną pod ziemią jak krety. Dwie postawy wobec życia, dwie postawy wobec ojczyzny. Blisko dwa i pół roku pobytu w więzieniu śledczym powinny człowiekowi myślącemu i czującym po polsku wystarczyć jako przestroga na przyszłość. Zanim wyjdziecie na wolność i otrzymacie zajęcie odpowiadające waszym uzdolnieniom, podpiszecie rewers współpracy... kulturalnej z naszą instytucją. Nie róbcie takiej nieszczęśliwej miny! Wegetacja w więzieniu jest z pewnością gorsza od sukcesów literackich na wolności. Podpisując deklarację pełnej lojalności wobec organów bezpieczeństwa publicznego, co i tak jest w zasadzie obowiązkiem, więcej: nakazem sumienia, dla wielu prawych obywateli naszego państwa, w żadnym wypadku nie zostajecie naszym współpracownikiem, to chyba jasne. Konfidentów mamy pod dostatkiem, i to przeważnie wśród ludzi, których w najśmielszych snach nie podejrzewalibyście o podobne uzdolnienia i skłonności. W tym jednak, szczególnym wypadku, szłoby raczej, i to tytułem próby, o pewien rodzaj ekspertyzy środowiskowej, — tak to nazwijmy. Może się bowiem zdarzyć, życie narzuca podobne konieczności, że partia, ściślej mówiąc: ludzie przez nią do określonych zadań

powołani, prosić was będą o wydanie poufnej, bezstronnej opinii o tej czy innej sprawie, o tym czy innym kole-dze"... Luna nie groziła, nie biła pięścią w stół, — ten styl pracy i sposób bycia był jej obcy. Kabotynka z pistoletem snuła natomiast refleksje nad zawilością i kruchością życia ludzkiego. „Nie bierz tych monologów na serio — dodawałeś sobie otuchy — niech sobie pieprzy, gadatliwa kupcowa! To wszystko nieprawda, parodia, tandetny skecz!" Niestety, za ścianą od czasu do czasu rozlegał się krzyk bitego człowieka. Dobroduszne ślepia inkwizytorki zaszyły mgiełką zadumy. — „Człowiek, panie Henryku (ilekroć częstowała cię tym „panem Henrykiem", kurczyłeś się jakbyś w twarz dostał), to nie tylko istota nieznana, ale i zwierzę szczególnie podatne na kaprysy losu. Czas są niespokojne, walka o umocnienie władzy ludowej i utrwalenie zdobyczy klasy robotniczej jeszcze nieskończona, coraz trudniej dożyć wieku biblijnego, przypadki chodzą po ludziach, gdzie rąbią, tam drwa lecą, o pomyłkę nie trudno, ludzie są tylko ludźmi, samowoli w aparacie nie brak — zapatrzyła się w dal — w tych dniach musieliśmy udzielić nagany niejakiemu Gabrysiowi, być zresztą może, że nie nazywał się on Gabryś, nie chodzi o nazwisko, chodzi o przykład; tak czy inaczej, wywiązał się z zadania niewłaściwie. Dyskretnie mu powiedziano: „Z transportu więźniów do granicy masz nie dowieść trzynastu żołnierzy NSZ'etu!" — widzi pan, panie Henryku, jak otwarcie z panem rozmawiamy — a, że ten głuptas Gabryś był przesądny i trzynastki bał się jak ognia, z własnej inicjatywy zastrzelił jeszcze czter-nastego więźnia: z Armii Krajowej. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że w naszych wyjątkowych warunkach spontanicznych odruchów tego czy innego Gabrysia uniknąć się nie da. Samo życie narzuca pewien margines niepraworządności..." Nastąpiła długa cisza. Słysząc było parskanie wody w zepsutym kaloryferze i łoskot własnego serca. — „Z drugiej zaś strony („zasię" powiedziała!) okrucieństwo nie leży w naszym charakterze narodo-

wym — rozmyślała na głos Rajsowa — brak nam niemieckiej systematyczności. Niemcy lubią dokładność, mówi się że ich ulubioną lekturą jest książka telefoniczna i rozkład jazdy kolejowej. Ale proszę nie myśleć, że ja to pochwalam — plotła dalej, wyraźnie nie była w formie, raz nawet ziewnęła ukradkiem: skutki „przepracowania” — wrodzony bałagan, nasza specyfika, humanitarny hamulec, kij wepchnięty między szprychy. Tak, panie Henryku, terror nam nie leży. Tysiąc lat chrześcijaństwa zrobiło swoje. Czy ja nad tym ubolewam? Nic podobnego! Spróbuj u nas po cichu sprzątnąć jakiegoś łobuza. Niełatwa sprawa. Primo: rzecz się rozniesie. Secundo: na kim tu polegać? Jeden się spóźni, drugi weźmie łapówkę i strzeli na wiwat, jeszcze inny stawia się na zbiórkę pijany lub przypomni sobie, że religia nie pozwala zabijać bezbronnych ludzi. Powtarzam: terror, fetysz lewaków, panie Henryku, u nas się nie przyjmie. Zwycięży złote polskie serce, ale na naszych warunkach. „Dajmy sobie, bracia, pyska, swój swojego niech uściska”, ale pod sztandarem socjalizmu. I tak jest lepiej. Jeśli chodzi o mnie, wypowiadam się za perswazją i szczerą wymianą poglądów. Ludzi nie trzeba niszczyć, ludzi trzeba przekonywać”... Nadstawiłeś ucha, czy za ścianą nie biją przesłuchiwanego więźnia. Na szczęście ten akompaniament umilkł. Znowu długa cisza i bulgot wody w zepsutym kaloryferze. Czy ta ponura farsa trwać będzie w nieskończoność? Czy tej „przepracowanej” kabotynce nie szkoda cennego czasu na jednego więźnia? I wreszcie ulga! Coś autentycznego i rzeczywistego jak beton pod stopami: eksplozja chama za biurkiem. — „To nie jest cyrograf, gnoju jeden! — wtrącił się nieznajomy, nie odrywając oczu od gazety. — Nie zaprzędajesz duszy diabłu, do kurwy nędzy! Anglik czy Amerykanin, pisarz czy profesor, dumny jest, gdy mu władze powierzą poufną misję, która leży w interesie państwa. Tylko wy, zasańcy, macie pluskwy w nosie, „sumienie wam nie pozwala! Ale — spokojna głowa. Już my was, kwamać, wszystkich, od góry do

dołu, jednego wcześniej, drugiego później, zgnoimy! Nikt nie lubi zarżnąć świni, ale każdy lubi szynkę. Byle sobie rączek nie pobrudzić, panowie socjaliści! Nikt nie chce pracować w bezpieczeństwie, ale korzystać z owoców naszej ciężkiej pracy: z ładu wewnętrznego, bez którego nie będzie odbudowy kraju ani przyszłego, sprawiedliwego dla wszystkich, państwa ludowego, to byście chcieli, ścierwo literackie, co? O tym że wróg wewnętrzny i zewnętrzny chciałby zguby tego kraju, toście pewnie nigdy nie słyszeli, co?” — I wtedy po raz pierwszy zobaczyłeś Sylwestra. Strażnik wprowadził go pod ramię. Więzień, zamroczony, z trudem stał na nogach. Twarz miał posiniaczoną, wargę przeciętą. — „Stawiał się — wyjaśnił konwojent — musiałem go uspokoić”. — Rajsowa skarciła strażnika, przypominając mu, że w Polsce demokratycznej, w odróżnieniu od poprzedniej, faszystowskiej, więźniów bić nie wolno, po czym bawiąc się bursztynową broszką na bluzce, wyjaśniła, że lepiej, aby przy podpisaniu tego papierka obecny był kolega po piórze; ostrożność nie zawadzi; świadek taki jest potrzebny, gdyby ci kiedyś przyszło do głowy utrzymywać wbrew prawdzie, że nie podpisałeś rewersu dobrowolnie, lecz pod naciskiem. — „Niech pan siada, panie Henryku — położyła ci rękę na ramieniu — takich dokumentów nie podpisuje się na stojąco. Kto wie, czy nie uda nam się sprowadzić waszego brata z Rosji?” — I wtedy chciałeś krzyknąć: „Kłamstwo! On nie żyje od siedmiu lat! Znam szczegóły jego śmierci. Rozmawiałem z człowiekiem, który gnił z nim w tym samym baraku, na którego rękach zmarł z głodu!”; chciałeś podrzeć ten haniebny świstek i cisnąć babie w krowie oczy, lecz w tej samej chwili dostrzegłeś kroplę krwi, która z rozciętej wargi zsunęła się Sylwestrowi na brodę, i — odruchowo sięgnąłeś po pióro. Z sercem w gardle, nawet nie rzuciwszy okiem na treść oświadczenia, podpisałeś co ci do podpisania dano, podpisałbyś wszystko co by ci podsunięto, byle wydobyć się wreszcie z głębi studni na światło dzienne i zaczerpnąć łyk świeże-

go powietrza. A mężczyzna, zaczytany w gazecie, nadal był w złym humorze: — „Jesteście wolny! W ministerstwie kultury i sztuki już wiedzą, jakiej udzielić wam pomocy. Z głodu nie zginiecie. Za pół roku brzuszki wam wyrośnie z nieróbstwa. Być może, że wyślą was w przyszłości za granicę. Gdyby się wam zachciało zdezerterować, pamiętajcie o tym dokumencie, on tu leży, dobrze schowany, w pancernej kasetce. My mamy długie ręce i swoje sposoby, mamy swoich ludzi i swoje pisma także i na emigracji. Nas, panie Ziółkowski, nikt nie wykiwa! A kto zacznie brykać, na tego spadnie twarda, robotnicza pięść!” — Ale pasja jaskiniowca za gazetą nie brzmiała przekonywująco. Kto wie, czy nie rozdzielili ról między sobą. Może ten prostak potrzebny był Rajsowej jako tło? W porównaniu z tępakim-służbistą mogła błyszczeć swym oficerskim polorem. — „I jeszcze jedno — dorzuciła niewyżyta nowelistka — powoli wysuszając bibułarzem twój podpis — taki sam rewers podpisze za chwilę młody, zdolny poeta, Sylwester Osiński, pseudonim w A.K.: „Czupurny”. Jak widzicie, tajemnic u nas, wbrew plotkom, nie ma, wszystko oparte jest na zaufaniu. Grzeczność za grzeczność, panie Henryku — delektowała się swoim ubeckim wersalem — zechce pan z kolei posłużyć młodszemu koledze za świadka, za świadka ślubu, że tak powiem... Tyle, jeśli chodzi o formalności. A za tydzień proszę do mnie, do domu, na herbatkę. Przyjmuję co drugi czwartek. Dojrzeje sprawa nowego tygodnika, dla niepartyjnych. Oto moja wizytówka. Do zobaczenia! W Alei Róż! — „Do wideł, do łopaty, do węgla z nimi, a nie na herbatkę! — zahuczało za płachtą gazety. Tekturowy Herod z policyjnej jasełki nie mógł sobie odmówić przyjemności odśpiewania pożegnalnej arii. — Zastrana inteligencja! Z robociarzami by nam tak gładko nie poszło, oni są z twardego drzewa, a wy z gumy! Liberalna swołocz poszlachecka z Wychodkowa rodem. Trzeba ich było zaraz po wyzwoleniu ustawić pod murem i rozstrzelać. Najlepsi synowie tego kraju zagospodarowują Zie-

mie Zachodnie, a wy resztki gówna wirującego w próżni historycznej, bawicie się w opozycję. Uważajcie, byście się przy tym nie potknęli o tasiemki swoich hrabiowskich kalessonów!...” — „Mój ojciec był szewcem!” — przerwał mu odważnie Sylwester, ale dryblas za *Trybuną Ludu* nie zwróciwszy na to uwagi, krzyczał dalej: „Macie szczęście, gówniarze, że tej rewolucji zabrakło konsekwencji moralnej i politycznej, że pertraktuje, kwamać, z wrogiem klasowym, zamiast go rozdeptać, żeście trafili na łagodną rączkę. Gdzie indziej dawno byście już ziemię gryźli. Ale u nas pierwsze rzędy zarezerwowano dla „poputczyków”. Starzy towarzysze postoją pod ścianą...” W tym miejscu Rajsowa porozumiewawczo przymrużyła oko, by cię poinformować, że nie podziela poglądów swego kolegi; a może chciała się pożalić, że przyszło jej współpracować z takim prymitywem? — „Nie zapomnij jeden z drugim — huczał dryblas dalej — że każdej chwili, choćby jutro lub pojutrze, wrócić tu możesz, i to nie na kilka latek, ale na wieczny odpoczynek! A teraz wypieprzać mi stąd, ale już! Wywietrzyć muszę po was skurwybyki!” — Zmiał gazetę, zgniótł ją w dużą kulę i z pasją wrzucił do kosza. Koniec tragigroteski. Jeśli ktoś woli: *happy-end...* (Tego dryblasa, nawiasem mówiąc, po Październiku spotkałeś przypadkowo w urzędzie celnym. Nawet się uśmiechnął na twój widok, ale kwaśno. Nie taił swego niezadowolenia z nowej, gorzej płatnej posady. Nachyliwszy się do ucha, rzekł rozgoryczony: „Reakcja mnie wykończyła. Służ partii wiernie, a partia ci pierdnie!”). Nazajutrz rano, po dietetycznym śniadaniu: płatki owsiane na mleku, opuściłeś więzienie, by stwierdzić, że za murami też nie było wolności. Ale przynajmniej tętniło życie. Dawne światło miasta uległo zmianie: przed wojną było wiślane, siwe; tuż po wojnie różowe od ceglanego pyłu, a teraz unosiła się w powietrzu z lekka pożółkła biel. Miejsce jednokonnej furki do wywożenia gruzów zajęły ciężarówki. Przybyło domów i ludzi. Moda męska przewyciężyła dawne bezkrawacie. Bierut nie prowadził

już na procesjach Bożego Ciała celebransa pod baldachimem. Więcej plakatów wisało na mieście. — Sylwestra wypuszczono dopiero w miesiąc po tobie. Ciekawe, dlaczego? Może Rajsowa chciała „dopracować” go na wielki połysk? Może podobał się jej bardziej w więziennym drelichu niż w cywilnym garniturku? Nie wypada go o to pytać. A co było potem? Na coś wyrósł, protegowany Luni Rajsowej? Odnosiłeś sukcesy i — odnosiłeś koper-ty na umówiony adres. Z czasem — *en avant! en arriere!* zmiana dam! — „przejęła” cię Bawolikowa. Jak mówi poeta: „*ideał sięgnął bruku...*”

Aż któregoś dnia...

„*Jam tych mar nie wołał, przyszły same*”. Znów się pruje włóczka wstydliwych wspomnień. Herbatki „kawalerów księżycowych” vel „lunatyków” w salonie pani Rajsowej, — tej makabry zapomnieć niesposób. Herbatki z cytryną, gdyż w sklepach „za żółtymi firankami” cytryn i owoców południowych było wtedy dla dygnitarzy pod dostatkiem. To tylko dzieci na peryferiach miasta, widząc po raz pierwszy w życiu banana, wołały: „Żółty ogórek!” Kto nie lubił herbaty, dostawał kawy z francuskim koniakiem. Whisky wtedy nie pito, gdyż Anglosasi zagrażali pokojowi. W gustownie umeblowanym mieszkaniu gawędzono o kulturze, ściślej mówiąc: słuchano tego, co leżało na sercu możnej protektorce. Monologi groźnej dyletantki od czasu do czasu przerywał telefon, ale nie ten z ostrym dzwonkiem, lecz kameralny, z łagodnym brzęczykiem, — „gorąca linia” łącząca panią domu z anonimowymi siłami, opiekującymi się naszym krajem. Rajsowa urzędowała nieustannie, o wszystkich porach dnia i roku, we wszystkich pozycjach swego mleczno białego ciała. Inni „łamali praworządność” tylko w godzinach urzędowych. Dla niej zaś dzień był za krótki i noc była za krótka. Niewielu ideowców z takim zapałem pracowało dla partii. — „Atrakcyjna, to może ona i nie jest, na pewno są od niej kobiety ponętniejsze — mówiono w biurach KC — ale jaka pożyteczna i wartościowa!”

— Jeszcze dzisiaj kilku ex-podopiecznych Rajsowej nie może przeboleć nagłego zmierzchu jej kariery, który zbiegł się z tak zwanym „zdemaskowaniem beriowszczyzny”. Miejmy nadzieję, że Sylwester do nich nie należy.

Gospodyni czasem się kokieteryjnie zaperzała, pewnością siebie maskując swój małokalibrowy umysł. Podobno w przedwojennej Łodzi skończyła gimnazjum kupieckie, marzyła jednak o studiach wyższych. Polegając na wrodzonej bystrości i dyplomie szkoły partyjnej, chętnie zabierała głos na każdy temat. Najchętniej mówiła o literaturze. Ilekroć po niezbyt mądrej wypowiedzi Rajsowej nastawało na chwilę tak zwane „kłopotliwe milczenie”, bardziej wyrobieni „lunatycy” umieli je szybko wypełnić zgrabnym wtrętem. — „Panowie, nie posiadacie wiedzy o życiu, jeśli nie poznacie mechanizmu uwarunkowań klasowych! — wodziła krowim okiem dokoła. — Wyobraźnia moralna i sumienie społeczne, to za mało! Potrzeba wysiłku poznawczego!” — „Słusznie — przywrócił jej jeden z bywalców, wypuszczając obwarzanek dymu pod sufit — więcej racjonalizmu, mniej woluntarystycznych drgawek, bez palpacji „serc nienasyconych”, potrzebny jest zimny skalpel!” — Boże, jak oni sztucznie gadają! Henryk przypomniał sobie pewną prze-mądrzałą dyskusantkę z grupy „Płomienistych”, najładniejszą dziewczynę na Gęsiej, dawno już obróconą w popiół. „Mózg jak zyletka!” — zachwycił się nią niegdyś Jaroszyk. Dawne dzieje. — „Zaklinam was, kolego, — mówiła tamta, przed wielu laty — abyście w mojej obecności nie wymieniali nazwiska Sienkiewicza! Ja nie chcę o nim słyszeć! To czarnopodniebienny wstecznik i stetryczały klerykał!” — Tamte ewolucje miały przynajmniej swój urok. Tutaj zaś, w Alei Róż, spod falbanek kabotyńskich konwersacji wyglądały policyjne buty i namydłona pętla hyla.

Najsmutniejszym ze wszystkich seansów w salonie pani Luny był jednak ten, który omal się dla ciebie nie zakończył — makabra! — „misją specjalną”... Herbatka

w „Luna-parku” zaczęła się niewinnie. — „Nasza proza — powiedziała Rajsowa do krytyka filmowego o kozackiej urodzie — znalazła się w ślepym zaułku. Minoderia, pretensjonalizm, piękne zmęczenie na otomanie, bezjajcowie, papier... Chwileczkę, telefon!” — Uśmiech stęzał na twarzy elokwentnej krytyczki literackiej, głos jej nagle stwardniał: — „Jeśli tak, trzeba go wykończyć! — rzucała służbowo w słuchawkę. — Pobłażliwość do niczego nie prowadzi. Są ludzie, którzy naszą cierpliwość uważają za przejaw słabości. Trudno, proszę go przekazać komu należy!” — Te ponure przerywniki telefoniczne sprawiały Rajsowej przyjemność. Kto wie, czy nie przygotowywała ich zawczasu. Demonstracja siły na oczach i uszach haremu miała w sobie walor dydaktyczny: nie zapominajcie, przyjaciele, że rozmówki o literaturze rozmówkami, ale w każdej chwili możemy zdjąć jedwabne rękawiczki i... Tuż po odłożeniu słuchawki „bestia intelektualna” mądrzyła się dalej: — „Powtarzam: minoderia! Moda i życie wewnętrzne. Zalew narracji w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Lusterko przed pępkiem, ulubiona rozrywka każdego narcyza. Nic a nic mnie nie obchodzą autowiwisekcje królików doświadczalnych! Nie chcę, żeby mi karty powieści zamieniano na kozetkę psychoanalityka. Za wiele problemów nieautentycznych, z nudów wydumanych. Literacka kaligrafia. A tymczasem świat, w którym żyjemy, jest światem ludzi prawdziwych, a nie manekinów, jest polem walki i budowy... Przepraszam, znowu ktoś dzwoni! A tak prosiłam, by nie przełączano na numer prywatny!” — „Lunatycy”, nie patrząc na siebie, w milczeniu palili papierosy. Baczono, by nie strząsnąć popiołu na drogocenny dywan, przypominający gobelin zarekwirowany w magnackiej rezydencji. Sylwester czyścił paznokcie złamaną zapalką, a pani domu uderzała pulchną łapką w kredensik — „Co? Ma konto bankowe w Szwajcarii? A to ciekawe, bardzo ciekawe! Podłączymy go do sprawy „Weroniki”. Zadzwońcie, proszę, za godzinę, teraz mam gości!... O czym to tylko mówi-

łam? Aha! Otóż powiedzmy sobie szczerze: dialog wewnętrzny, istna plaga współczesnej prozy, powinien być policyjnie zakazany, a zapisy sennego mirażu, chwyt aż nadto ułatwiony, należy karać wysoką grzywną. Ale to jeszcze nie wszystkie grzechy dzisiejszej beletrystyki. Są i inne, znacznie groźniejsze...” Nie! Nie warto streszczać tych monologów ani dociekać gdzie i od kogo ta bezpieczniara nałykała się tyłu esów floresów! — „Na przyszłym spotkaniu — zapowiedziała z uśmiechem — czeka nas przyjemna niespodzianka: Artur mówić będzie o kryzysie liberała-indywidualisty, Dominik przyrzekł nam szkic „Co zrobić z Kafką?” — Nie, na tę wiedzmę z suflerskim hyziem satyry układać nie potrzeba, sama się tworzy. Stokroć ważniejszy był epilog tej herbatki. Skończyły się intelektualne dusery, zaczęła się odprawa. Ulotniły się perfumy, powiało siarką. Ledwie goście w lokajskich ukłonach, obcałowawszy pulchne łapki Rajsowej — pojawiły się na nich brunatne plamy, świadczące o chorej wątrobie — opuścili mieszkanko, dopuściła cię do konfidencji, poczułeś brudną ścierkę na twarzy. — „Panie Henryku, do dzieła! — Rajsowa zniżyła głos, by podkreślić dyskretny charakter zadania — godzina próby wybiła! Już czas, trąbka do boju wzywa nas!” — Już wiedziałeś: lakierki z nówek, marsz do gnojówki! — „Jeśli wierzyć niesprawdzonym pogłoskom — nachyliła się zalotnie — wasz kolega ze szkolnej ławy, nic tak nie łączy jak szczenięce lata, domyślcie się już chyba o kogo chodzi, osobistość wpływowa, jak na mój gust aż za bardzo wpływowa, nosi się z zamiarem bryknięcia w siną dal! Sensacja, co? Sprawa jest pilna: za trzy dni wyjeżdża służbowo do Mediolanu. Czasu więc mamy mniej niż niewiele. Gdyby to był pierwszy lepszy Jasio na wojewódzkim szczeblu, można by go załatwić od ręki, ale to gruba ryba, rekin, wieloryb! Ma swoje własne kontakty w stolicy zaprzyjaźnionego mocarstwa. Więcej powiedzieć nie mogę. Jak się do niego dostać? Musicie z nim porozmawiać w cztery oczy, on ma do was zaufanie...” Próbo-

wałeś jej wyjaśnić, że się do takich „misji” nie nadajesz, ale Rajsowa puściła twoje zastrzeżenia mimo uszu. — „Trzeba go zręcznie pociągnąć za język. Stare, wypróbowane sposoby są najlepsze: zwierzcie mu się, że chodzi wam podobny zamiar po głowie — poczułeś jej oddech w uchu, jak spowiednik w konfesjonale pachniała miętowymi cukierkami. — Potrzebny nam jest dowód rzeczowy, który przekona jego protektorów na górze, że podejrzenie nie było wyssane z palca. Wystarczy kilka nieostrożnych słów na taśmie. Ekwipunek mamy nowoczesny, ostatni krzyk techniki, dopiero co za ciężkie dewizy sprowadzony z Ameryki, wielkości pudełka papierosów, mikrofon w spince od mankietów. Nie róbcie takiej miny, jakbyście mieli za chwilę umrzeć na serce. Żaden tam dreszczowiec! Kto akceptuje podstawy ideowe naszego ruchu, nie może się peszyć szczegółami technicznymi. Jak wyście sobie wyobrażali to małżeństwo z przodującą ideą? Bez nocy poślubnej? Inni podobnych oporów nie mają. Zresztą, nikt tutaj nie mówi o rewersie, nikt nie czyha na wasz nietknięty hymen polityczny. Po prostu mamy do was zaufanie, a w życiu już tak bywa: zaufanie za zaufanie, i dlatego wyróżniamy was zadaniem, tak jest, to nie żarty: wyróżniamy właśnie was, a nie kogo innego, chociaż kandydatów do podobnych misji mamy pod dostatkiem... W tym wypadku jednak, powtarzam, jesteście bezkonkurencyjni: chodziliście z tym królem cwaniaków do jednej budy i, o dziwo, żywi do was jakiś tam sentyment... Mówiąc między nami: rzecz się wam z pewnością opłaci. Rozbudowujemy delegaturę przy UNESCO. Proszono mnie, bym wskazała kogoś odpowiedniego na to stanowisko, kogoś kto naprawdę zasłużył na dłuższy pobyt w piekle kapitalistycznym, he-he. „Zgniły Zachód”, koszmar, *univers hallucinatoire*, jak mawiają moi tęskniący do Paryża chłopcy. Buźkę, oczywiście, trzeba zamknąć na kłódkę! Dyskrekcja, to pół wygranej bitwy. Tylko nie zauroczyć. Ani słowa Helence, ani mru-mru Sylwestrowi. Chyba we właściwej wymieniałam ich kolejce? Najpóźniej

za dwa dni czekam na dobrą nowinę. Powodzenia, panie Henryku! Odważnym szczęście sprzyja. Kto nie przekracza Rubikonu, nie zostaje Cezarem!”...

Jeszcze tego samego wieczora w knajpie na Ochocie po raz pierwszy w życiu wypiłś litr wódki. Wracając piechotą do domu, szczęśliwie napotkałeś w bocznej uliczce dwóch chuliganów. Dałeś im wszystkie pieniądze, jakie miałeś przy sobie, dałeś im nawet zegarek, prosząc ich pijackim bekiem:

— Błagam was, chłopaki! Bijcie mnie! Zbijcie mnie, do nieprzytomności, ale nie zabijcie! Ja nie chcę być świnią! Ja chcę być człowiekiem!

Z początku się wahali, jakby węszyli podstęp.

— To nie pijak, to jakiś wariat! — zawołał jeden z nich.

Dopiero później, gdyś się im w rynsztoku wyświadał, zlitowali się nad tobą: ogłuszyli cię fachowo kilku ciosami, nie kalecząc twarzy i nie odbierając słuchu. Co było dalej? Dalej poszło jak z płatka. Nad ranem znalazł cię pod płotem patrol milicyjny. Nie zawieźli cię do izby wytrzeźwień, zawieźli cię do kliniki. Tam się okazało, że masz pęknięty obojczyk. Jako „ofiara chuligańskiej, rabunkowej napaści” przeleżałeś tydzień w łóżku. To cię ocaliło przed wykonaniem „misji specjalnej”. Czy Rajsowa uwierzyła w twoją nocną przygodę? Czy Hazdrubal wie, że miałeś go odwiedzić z „pudełkiem papierosów” w kieszonce kamizelki? Nie wiadomo.

Jedynie ta mać Bawolikowa, gdyś ją niedawno przypadkiem spotkał przed wejściem do pałacu Staszica, odsłoniła zepsute zęby w złośliwym uśmieszku: — Widzę, że znowu chodzicie po mieście ze spuszczoną głową. Czyżby wam jakieś nowe zgryzoty nie dawały spać po nocy? Chyba się nie wybieracie do tej knajpy na Ochocie, gdzie chuligani napadają na porządných ludzi?...

W przyjemnym, zaiste, żyjemy świecie! Jak się nazywa ten amerykański film, o którym ostatnio mówiono

w ministerstwie? „Zatrzymajcie ziemię w obiegu! Chcę wysiąść!”

Zaraz szósta. Trzeba się śpieszyć. Jak tę powiastkę o ocaleniu Jasnej Góry skończyć? Chyba tak:

Kronikarz: W kilka dni później, gdy ofensywa armii Koniewa doszła do Odry, Borys Polewoj na odprawie w sztabie dywizji zderzył się w drzwiach zarekwirowanej willi z doradcą politycznym armii, tow. Sidorenką. (Plener, w głębi odgłosy bitwy).

Sidorenko: Polewoj! Ozdobo literatury radzieckiej! *Kak pożywajecie?*

Polewoj: Żyje się. Byle do końca wojny.

Sidorenko: Gratuluję! Sam Sierow jest zadowolony z waszej wyprawy do Częstochowy. Spisaliście się na medal. A raczej na order świętego Grzegorza. Mam nadzieję, że was w klasztorze obdarowali po królewsku, przyznajcie się?

Polewoj: Plotki! Sami wiecie, że jest takie przysłowie: „Popie oczy, wilcze gardło, co zobaczy, to by żarło”.

Sidorenko: W każdym razie Niemcom nie powiodła się nowa prowokacja. A więc jednak coś tam znaleźliście. Wyobraźcie sobie, że z początku sam nie wierzyłem w tę historyjkę. Myślałem, że to bajka nie tyle wujaszka Grimma co ciotki Propagitki. Ale jeśli wy, literat, czyli człowiek organicznie niezdolny do mówienia nieprawdy, twierdzicie, że...

Polewoj: Przecież był jakiś wysłannik z klasztoru?

Sidorenko: Ten... ten dywersant? Myślałem, że cygani.

Polewoj: Jaki dywersant? O kim wy mówicie?

Sidorenko: Ach, zapomniałem wam wtedy powiedzieć, że zanim dotarł do nas zakonnik na motocyklu — pyszny był to widok, he,he, niczym mała w kąpieli! — uprzedził go ktoś inny. Otóż pierwszy zaalarmował nasze czujki jakiś młody Ślązak, ni to Polak ni to Germaniec, czort go wie co za jaki. Beczał, przysięgał się, że prawdę

mówi, że on dobry Polak, a nie gitlerowski syn, papiery miał nawet w porządku, ale w czasie rewizji chłopcy znaleźli u niego niemiecki stempel wojskowy na bieliźnie...

Polewoj: ... domyślam się epilogu.

Sidorenko: Jak to na wojence bywa: zastrzelono go jako szpiona. Dziś widzę, że jednak prawdę mówił. Szkoda chłopca.

Polewoj: Ot, wojna! Nas wszystkich szkoda.

Sidorenko: Święte słowa, obrońco Częstochowy. Wpadnijcie pod wieczór do mnie na kieliszek. Mój adiutant zdobył na nieprzyjacielu skrzynkę francuskiego koniaku. Musimy to oblać. A może wy już tylko wina mszalne pijacie, Polewoj? Ha, ha! Ojcie Borysie... ojcie przeorze z Jasnej Góry!

Polewoj: Dobry żołnierz nie wylewa za kołnierz. Zjawię się punktualnie na ten francuski koniaczek. Do wieczora, towarzyszu Sidorenko!

Sidorenko: Do wieczora, księżu pułkownika. Ha, ha! Towarzyszu... przeorze! Jak ja o tym kiedyś mojej żonie opowiem, pięknie ze śmiechu... (Muzyka).

Speaker: Usłyszeli państwo słuchowisko Henryka Ziółkowskiego pod tytułem „O czym się Sienkiewiczowi nie śniło”. Reżyseria: Dorota Malinka. Oprawa muzyczna: Waldemar Stawczyk.

Koniec. Murzyn zrobił swoje.

Już szósta. Skończył w samą porę. Na górze, u Osińskich, zaterkotał budzik. Sylwester, ranny ptaszek, z pewnością wypełził już spod kołdry, by skoro świt złożyć wiersz liryczny na papierze. Potrzeba fizyczna czy akt kreacyjny? Szczęśliwy głuptas, przynajmniej wie po co żyje. Za pół godziny wstanie Helenka i zacznie się skarżyć, że przez całą noc nie zmrużyła oka, że ten nocny stukot maszyny wpędzi ją do grobu. Później rozlegnie się za ścianą zdławiony charkot odkurzacza, przeraźliwy gwizd imbryka w kuchence i zacznie się jeszcze jeden niepotrzebny dzień.

A jednak zrobiło mu się czegoś żal. Przez chwilę nie wiedział czego. Dopiero studząc czoło o okienną szybę, uprzytomnił sobie, że jednak nosi w sobie małą, cichą radość, od lat przechowywaną na samym dnie pamięci: swoje dzieciństwo w tym mieście! Że jedną z niewielu, jeśli nie jedyną, lampą rozjaśniającą mroki życia jest wspomnienie naszych pierwszych, na pół prawdziwych na pół nierealnych spotkań ze światem.

Moja Warszawa! Nie ta autentyczna, lecz ta najprawdziwsza: zastygła na siatkówce kilkuletniego chłopca. Powiało nagle światłem, ruchem, zapachem, smugą barw i tajemnic. Jak po uchyleniu furty zaczarowanego ogrodu. Wiatr rozwiął piasek czasu. Kamyki mozaiki odsłonięte. Wszystko jest ważne. Wszystko jest bliskie. Oto magiel w sąsiednim podwórku, w drugiej oficynie. Groźna machina, wypełniona kamieniami po brzegi. Korba większa od ciebie. Bielizna nawinięta na dębowe wałki. Rozciąganie prześcieradeł. Klamerki szczypią w palce. Śmiech matki, siłującej się z malcem przy płótnie: kto kogo przeciągnie na swoją stronę? Jabłka, cukrem spoczone. Już parskają w szafliku. Podglądanie ojca spod stołu: właśnie wypycha gilzy tytoniem przy pomocy tajemniczej maszyny. Dziwne słowo: „Herbewo”. Niedźwiedzi pomruk ciecica w baraním kożuchu. Niechętny zez spod gęstej brwi. Senne ruchy miotły przed bramą, pełną chłodu i kociego moczu. Misterium darcia pierza u sąsiadki. „Sztanga” do trzepania dywanów, niezastąpiony przyrząd gimnastyczny. Śpiewak w studni podwórza, schylony po dziesięciogroszówkę, zawiniętą w papierek. Błysk młotka na Karcelaku, to sprzedawca uderza w grzebień, by zademonstrować zalety swego towaru. Zapach mokrych trocin, bijący z areny cyrku Staniewskich. Zgrzyt chałwy w zębach. Biała kita, rytmicznie rozchwiana nad czarnym czołem kucyka. Przedświąteczna wyprawa do piekarni po blachy z ciastem, wczoraj oddane do wypieku. Kartka z nazwiskiem, przyklejone do foremki, też się przypieкла. Wydłubywanie palcem kruszonki z jeszcze gorącego cias-

ta. Fenomen gazowej lampy: pomarańczowo-zielony roz-
błysk płomyka pod sufitem podczas „przepalania” nowej
koszulki. Podstawianie gołych nóg pod strumień beczko-
wozu. Szczęście niewysłowione: pobiec z chmurą rozkrzy-
czanych rówieśników za strażą ogniową na miejsce poża-
ru! Strażak bijący w dzwon. Serce bijące w chłapięcej
piersi. Rozgniewane oko papugi w ogrodzie zoologicznym
za mostem. Ciepły dygot gołębia w dziecięcej ręce. Za-
chwył nad krążkiem, wydmuchanym w puchu, po środku
ruchliwej główki. Pierwsza podróż statkiem parowym
na Bielany. Srebrne monety słońca na rzece. Ręka zanu-
rzona po przegub w pianie Wisły...

Dziwne uczucie: ujrzeć nagle przed sobą nieśmiałego,
pięcioletniego chłopca w porciętach z takim trudem poła-
tanych przez matkę, uszy odstające, oczy zaczerwienione
po jaglicy, kolana podrapane, łuk przewieszony przez od-
stającą łopatkę, i wiedząc, że to ty właśnie, ty sprzed
czterdziestu kilku lat, w przypiływie czułości podejść do
niego, pogłodzić go po twarzy i włosach, i westchnąć do
siebie i do niego: „Szczęśliwyś, głuptasku. Nie wiesz, co
cię w życiu czeka...”

Sentymenty! — oderwał czoło od szyby — literatur-
ka! Ucieczka w tanią lirykę! Trzeba to było zawczasu spi-
sać i ogłosić w kobiecym piśmie. Może by starszym pa-
niom przypadło do gustu? I wyłudziło łezkę z krowiego
oka twojej ex-opiekunki?

Gdybym miał syna — pomyślał jeszcze Henryk —
czułbym na sobie kotwicę nie do zerwania. Obudziłbym
go pocałunkiem w czoło, rozmazał mu czuprynę na gło-
wie, a potem zrobiłbym mu śniadanie i odwiózł do szkoły.
Podczas wielkiej pauzy podglądałbym go przez drucianą
siatkę parkanu jak się mociuje z kolegami na szkolnym
dziedzińcu...

Gdyby żyli moi rodzice...

Gdybym naprawdę kochał Helenkę i czuł dla niej
coś więcej niż tylko litość...

Gdybym był młodszy i mógł zacząć życie od nowa...

Gdybym był w pełni sił twórczych, a nie u ich kresu...

Gdybym był człowiekiem wierzącym i religijnym...

Gdybym miał więcej szacunku dla siebie...

Gdybym nie był pokaleczony odłamkami złych wspomnień...

Gdybym miał chociaż łut nadziei, że się coś zmieni u nas lub na świecie...

Gdybym mógł, jak kiedyś, liczyć dni do końca wojny i wyjścia na wolność...

Gdybym miał przed sobą wyraźny cel w życiu...

Gdyby mnie, poza tą łzą sobaczą, co się na papierze czerni, łączyło coś z tą klatką bez pręta...

Gdyby...

Dość długo szukał dużej koperty. Nie miał ochoty rzucić okiem na plik papieru. Bez czytania, bez poprawek, wcisnął maszynopis do środka. Czerwonym ołówkiem napisał na wierzchu: „Doręczyć prezesowi Hazdrubalowi do rąk własnych. Bardzo pilne!”

Tylko bez melodramatu, litości nad sobą, pożegnajnego kiczu! Trzeba się śpieszyć, zanim zgiełk miasta wedrze się do środka. Pamiętając gdzie Helenka przechowuje lekarstwa, udał się na palcach do łazienki. Zdziwił się, że aż tyle mają tabletek i proszków. Zażywał je powoli, odczuwając zadowolenie z własnego spokoju. Nawet ręce mu nie drżały! Poczłł gorzki smak w ustach i w przełyku. Wrócił do siebie i wypił resztę koniaku z butelki. Następnie położył się w ubraniu na tapczanie, głowę wcisnął w poduszkę i — czekał na sen. Z zadowoleniem zauważył, że nie łapią go bóle żołądka ani wątroby. Tylko powieki zaczynają mu ciążyć ołowiem.

Nie jest to więc takie straszne — pomyślał w ostatnim przebiegu świadomości.

I zapadł w ciemność.



Hazdrubal dyktował Basiulkowi komunikat do prasy o rychłym uruchomieniu stacji pod Gąbinem, trzy razy

silniejszej od Raszyna, może nawet najsilniejszej w Europie, która zaspokoi potrzeby co najmniej sześciu milionów radioabonentów, gdy zadzwonił z miasta docent Frąs:

— Głupia historia, prezesie! Dzwonię ze stacji Pogotowia, zaalarmowany przez Osińskiego. Ziółkowski jadł się tej nocy proszków nasennych i popił je koniakiem. Ledwie go uratowano! Jego żona twierdzi, że od dawna cierpiał na bezsenność. Zarzeka się, że to nie była próba samobójstwa...

— I ja tak myślę — odrzekł Hazdrubal po namyśle. — To nie w jego stylu. Gdybym miał wierzyć donosom, jakie na niego regularnie pisuje ten hycel Sylwester — ale, błagam was, zachowajcie tę informację dla siebie! — mógłbym przez chwilę sądzić, że to moralny bankrut i ostatnie zero, ale, jak dobrze wiecie, taki już ze mnie dziwak, że poufnym raportom z reguły nie dowierzam. Do ludzi trzeba podchodzić z zaufaniem. Znam Heńka od wielu lat. To mój przyjaciel. On nie z tych, wiecie, co to odbierają sobie życie. Nie ma pogodniejszego człowieka w całej Warszawie. Otóż to: nie wolno barbituratów mieszać z alkoholem. Miał facet szczęście. Pozdrówcie go ode mnie. Wyślę go na festiwal filmowy do Moskwy, to się trochę rozerwie. Przy sposobności zorganizuję mu spotkanie z Polewojem.

A gdy w niespełna godzinę później zziązany goniec przywiózł kopertę z maszynopisem słuchowiska, Hazdrubal, nie otwierając przesyłki, zwrócił się do Basiulka:

— Już nieaktualne. Musztarda po obiedzie. Zwrócić autorowi, gdy wyzdrowieje. Szkoda jego wysiłku. Spóźnił się. Wczoraj wieczorem... wyobraź sobie...

— Co się stało?

— Ci z Monachium nadali słuchowisko o Polewoju i Częstochowie!

— Niemożliwość! — pisnęła dziewczyna. — Oni też?

— Słowo honoru! Mam nasłuch w ręku.

— Ale chyba takie... antyradzieckie?

— Nic podobnego. Nasz Ziółkowski lepszego by nie napisał. Ubiegli nas, cholerny świat! Okazuje się, że na Zachodzie też czytują *Głos Kurii* i komunikaty PAP'a. A po nich, sama rozumiesz, jakoś nam nie wypada...

— Ale... po co im to? Nic z tego nie rozumiem.

Taktyka, perełko, wyższa szkoła jazdy. Że niby są tacy *fair*, rozumiesz? Nie wadzą się z mieszkańcami Kraju Rad, tylko z władzami. Narody są dobre, tylko rządy mają z piekła rodem. Szlachetnie chytreńkie są ci z konkurencji. Rozmiękczacze, rozumiesz?

— I co teraz będzie?

— Nic nie będzie. Odrąbione! Całą parą wstecz! Biedny Ziółek! Tyle się napracował! I wszystko na nic. Ale lepiej mu o tym na razie nie mówić, bo się jeszcze chłopisko zmartwi...

Basiulkowi się wydawało, że prezes znacząco przy-mrużył oko.

— Na pewno się zmartwi — przywodziła grzecznie, strząsając grzywkę na czoło, bo wzorowa siła zawsze przytakuje szefowi.

Wiosną 1970

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 3 DECEMBRE 1970
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 4^e trimestre 1970

Cena 19,50 F (dol. 4; sh. 32)